



Ten kolumbijski autor może być moim następcą.
GABRIEL GARCÍA MÁRQUEZ

Jorge Franco

DZIKA BESTIA

Prószyński i S-ka

Jorge Franco
DZIKA BESTIA

Przełożył
Andrzej Flisek

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
EL MUNDO DE AFUERA

Copyright © Jorge Franco, 2014
All rights reserved

Opracowanie graficzne okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
Jezus Acevedo

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8097-716-7

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Valerii, mojemu wewnętrznemu światu

EGZEMPLARZ PRASOWY

BIULETYN INFORMACYJNY NR 034
SIŁY ZBROJNE KOLUMBII
GWARDIA NARODOWA

Medellín, 9 sierpnia 1971 r.

Dowódca IV Brygady pułkownik Gustavo López Montúa informuje, że w dniu 8 sierpnia br. o godz. 18:20 w El Poblado, dzielnicy Medellín, został porwany Diego Echevarría Misas. Tego barbarzyńskiego czynu dokonano w pobliżu miejsca zamieszkania porwanego, rezydencji znanej jako Zamek. Trzech uzbrojonych bandytów, zastraszywszy towarzyszące panu Echevarrii osoby, obezwładniło go i uwiozło w nieznanym kierunku białym jeepem comando o numerze rejestracyjnym L4531.

Apelujemy do mieszkańców Medellín oraz całego departamentu Antioqui o udzielenie wszelkich informacji mających związek z porwaniem i mogących przyczynić się do odnalezienia i uwolnienia don Diega, jak również schwytania i postawienia przed sądem porywaczy.

1

Prawie nie słyhać wiatru, który niczym jedwabisty parasol tłumi nieznośny jazgot zakładów włókienniczych, hut, autobusów, aut, motocykli, a nawet zmęczone dudnienie pociągu, przecinającego Medellín po raz ostatni tego dnia. Zamkowe wzgórze jest strome i trzyma się arogancko na uboczu, z dala od zgiełku dnia codziennego. W górę pnie się brukowa droga, tak wąska, że z trudem mogą się na niej minąć dwa samochody. Wzgórze nosi nazwę Balsos, kiedyś bowiem wszystkie jego zbocza porośnięte były drzewami balsa. Przelatujące tuż nad górskim łańcuchem samoloty rozdierają jednostajnym buczeniem panującą ciszę. Pasażerowie siedzący z prawej strony maszyny mogą zobaczyć z lotu ptaka zamek i jego ogrody. A jeśli komuś dopisze szczęście, dostrzeże księżniczkę machającą dłonią do przelatujących nad nią ludzi.

W dole, na samym dnie, dolinę rozcina rzeka, która wydziela nieprzyjemne zapachy i nad którą kołują sępy, obserwujące czujnie zawartość strug bluzgających z kanałów ściekowych. Leniwy prąd wlecze ze sobą śmieci, fekalia i brunatną pianę. Po obu stronach rzeki, w skromnych i spokojnych dzielnicach mieszka nieco ponad siedemset tysięcy ludzi. Nie brak też fabryk, zatruwających powietrze chmurami dymu.

Słyszeliśmy opowieści o bandytach i napadach rabunkowych, o kradzieży w pewnym domu, z którego złodzieje buchnęli srebrne sztuce, czy o napadzie na bank, o mordobicjach w kantynach, skokach w bok, o ojcu, który kropnął jednego chłopaka za to, że ten zwiął z jego córką, o tym, że komuś objawił się szatan, czy o zaklęciu, dzięki któremu pewna kobieta przygruchała sobie męża.

Zamek sąsiaduje z dwiema szkołami żeńskimi, kościołem, klasztorem, w którym zakonnice sprzedają okrawki hostii, oraz z naszymi przestronnymi i nowoczesnymi domami, wznoszącymi się pośród pustych placów i wawozów. Na drzewach roi się od górskich tukanów, piłodziobów, błękitników, kacyków, turkawek, a także kolibrów, które księżniczka nazywa zalotnikami. Nocą zasypiamy przy rechocie żab i skrzypieniu cykad, a o świcie budzi nas ptasi rejwach. Tak jak księżniczkę.

W nocy pada deszcz, o poranku rozkwitają kwiaty, a my galopujemy w górę i w dół przez puste parcele. Uwielbiamy włóczyć się w pobliżu zamku, zawsze jednak trzymamy się na odległość ze strachu przed tym, co może kryć w sobie takie

zamczysko: baszty, lochy, krypty i duchy, chociaż w zamkowych murach mieszkają przecież księżniczki i królowie. W tym naszym, na wzgórzu, mieszka księżniczka. Podglądamy ją, jak bryka w ogrodach i ucieka przed wiecznie zdyszana kobietą.

– *Isolde, Isolde!* – rozlega się donośny bas Heddy, nawołującej dziewczynkę, która czmycha pośród anturiów i mussaend, a blask jej sukienki wplątuje się w helikonie. Skacze przez rabaty w świecie, który nie ma jeszcze dla niej granic. Fryga, nawiewając Heddzie, zdzierającej gardło z wyniosłych wieżyc i odgadującej trasę tej rejterady po chichocie dziewczynki, którą śmieszają męski głos i twardy akcent guwernantki. Chowa się, żeby zmusić kobietę do wyjścia na słońce. – *Isolde, wo bist Du?*

W zamku są lokaj, dwie pokojówki, dwie kucharki, szofer i ogrodnik Guzmán, który czasem daje się wciągnąć dziewczynce w zabawę w chowanego. Hedda pyta go, czy jej nie widział, a on odpowiada, że fruwała tu gdzieś dopiero co. Hedda woła ją znowu, szuka jeszcze przez chwilę, ale w końcu brak jej powietrza, daje za wygraną i chroni się w chłodnych murach zamku, aby ugasić pragnienie wodą i odzyskać oddech, zanim pójdzie na skargę do Dity.

– Wsiąkła jak kamfora. Chowa się przed lekcją haftu. Nie przychodzi też na arytmetykę, nie przykłada się do geografii, ucieka do puszczy.

Dita uśmiecha się, słysząc, jak guwernantka nazywa jej ogród. Zapewne skojarzenie to wywołują u Heddy drzewa kauczukowe, śliwy, areki i rozłożyste albicje saman. Spogląda na zegarek na nadgarstku. Robi to tak często, iż można by sądzić, że ciągle dokąds się śpieszy. Mówi, że sprawdza, która godzina jest w jej rodzinnym Herscheid, bo ona wciąż żyje tamtejszym czasem. Prosi Hedde o cierpliwość, niech Izolda jeszcze z kwadrans się pobawi.

Hedda nie kryje rozgoryczenia. Nie zostawiła Niemiec po to, żeby teraz wystawiano na szwank jej autorytet; jeśli dziewczynka nie chodzi, jak wszystkie inne dzieci, do szkoły, winna podporządkować się dyscyplinie, która uczyni z niej przyzwoitą kobietę w tym dzikim kraju. Dita widzi minę Heddy, znowu patrzy na zegarek i mówi, że już dobrze, już pójdzie jej poszukać.

Woła tylko raz i dziewczynka wyłania się spomiędzy paproci, ze źdźbłami trawy we włosach i dziadami uczepionymi skarpetek. Podbiega do matki i mówi:

– Nie chcę haftować.

Dita obiecuje, że po podwieczorku będzie mogła wrócić do zabawy. Wówczas, ze zwieszoną głową, córka idzie do sali gobelinów uprawiać się w sztuce haftowania.

Wyszywa zwierzątko, które wcześniej naszkicowała na kawałku tkaniny. To królik z długimi, położonymi do tyłu uszami, dwoma wielkimi zębiskami i kręconym rogiem wyrastającym na środku czoła. „Nazywa się almiraj¹”, powiedziała, gdy stwór wyłonił się spod jej pióra. Hedda prychnęła, ale nie sprzeciwiła się,

wychodząc z założenia, że niech robi, co chce, byleby haftowała.

Później z mamą i Heddą je podwieczorek w jadalni obok – *pandqueso*² z gorącą czekoladą. Uwija się szybko i przypomina Dicie, że obiecała puścić ją do ogrodu.

– Jeszcze słońce świeci – szczebioce i podbiega do okna.

Guwernantka wzdycha ciężko, ale zanim ktokolwiek zdąży otworzyć usta, Dita zdoła się rozmyślić, słońce skryć się za górami, zanim wyląduje ostatni dzisiaj samolot, zaledwie odrobinę przed tym, nim rozryczą się fabryczne syreny oznajmiające koniec pracy – dosłownie na sekundy przed tym wszystkim – księżniczka wybiega do ogrodu i podskakując radośnie, mknie w stronę lasu, rozświetlona złocistym blaskiem gasnącego z wolna dnia, muskana ciepłymi podmuchami wiatrów szemrzących w jej królestwie.

Nie ma już Guzmána, który mógłby mieć ją na oku. Siedzi przed radioodbiornikiem w domku na skraju ogrodu i słucha wieczornych wiadomości. Hedda, zamknięta w czterech ścianach swojego pokoju, jak co dnia zamęcza się tym samym pytaniem: Co ja robię w tym dzikim kraju, rozgniatając nogą karaluchy i opędzając się od komarów, tak daleko od ciebie, czy też może od wspomnienia o tobie, daleko od twego milczenia, odgradzona od niego przepastnym oceanem. Kucharki zaglądają do spiżarni, zastanawiając się, co by tu przygotować na kolację, pokojówki prasują prześcieradła i narzuty. Dita siedzi przed toaletką i patrzy w lustro, układa włosy na lakier, pudruje się i perfumuje, jak każda cnotliwa małżonka oczekująca męża u schyłku dnia.

Na Medellín sływa gęstniejący zmierzch, don Diego łagodnie napomina prowadzącego limuzynę Gerarda, żeby włączył światła, przecież już ledwo co widać. Wzdychająca w oknie Hedda pierwsza dostrzega świetlistą łunę torującą auto drogę wysadzoną cyprysami. Zbiega na dół i wypada przed zamek.

– *Isolde, Isolde*, twój tata wrócił! – krzyczy w stronę ogrodu.

W tej samej chwili rozlega się klakson i Guzmán biegnie czym duch otworzyć bramę. Dita wstaje od toaletki i wygładza suknię. Pokojówki i kucharki powtarzają nowinę: Pan wrócił! Lokaj Hugo idzie krótkim, sprężystym krokiem do drzwi wejściowych i klnie w żywy kamień niesforne rękawiczki, bo za każdym razem dwa palce pakują mu się do jednej dziury.

Gerardo otwiera drzwi auta i don Diego wysiada, cały w czerni. Wdycha głęboko zapach lilii i rusza ku szerokim schodom, gdzie oczekuje go już Hugo, pochylający z szacunkiem głowę.

Dziewczynka wynurza się z lasu, przeskakując przez hortensje, chryzantemy, santoliny i begonie. Omija korzenie drzew kauczkowych wijące się po ziemi niczym anakondy. Don Diego słyszy tupot stóp córki pędzącej co sił w nogach, jej przyśpieszony oddech i wołanie: Tatusiu, tatusiu! – głosem rwącym się z radości i wysiłku. Patrzy na nią spod portyku, na tę jaśniejącą w półmroku księżniczkę

z cudacznie skołtunionymi włosami – cztery splątane kędziory opadają jak rogi błazeńskiej czapki, na czole sterczy stożkowaty wiecheć, a na czubku głowy ma zatknięty jakiś kwiat.

[1](#) Z jęz. arabskiego *al-mi'raj*, przypominający wielkiego królika stwór o żółtej sierści, jednym czarnym rogu na czole i krwiożerczym apetycie, występujący w arabskiej mitologii (przyp. tłum.).

[2](#) Tradycyjna w departamencie Antioqui przekąska w kształcie zamkniętego rogalika, wypiekana z masy wykonanej na bazie mąki kukurydzianej i świeżego sera, spożywana, między innymi, z gorącą czekoladą (przyp. tłum.).

2

– Zanim zszedłem na złą drogę, też marzyłem o tym, aby ją objąć i powiedzieć jak pan: Moja Izoldo. Ja nie pragnąłem pańskich pieniędzy, inżynierze, pragnąłem pańskiej córki. Ja też ślepiłem za nią jak jej rówieśnicy z sąsiedztwa, te bogate dzieciaki, pętające się całymi dniami wokół pańskiego zamku.

Don Diego patrzył obojętnie na ścianę i nawet nie mrugnął. Małpa Riascos czekał na jakąś reakcję, ale don Diego tylko odchylił głowę i zamknął oczy, jak to robił w swoim zamku, kiedy chciał zapomnieć o całym świecie. Małpa zerknął z obrzydzeniem do swojego kubka – na dnie zalegały grudki skisłego mleka.

– No tak, mnie też odechciałoby się jeść – mruknął i odstawił kubek na podłogę. – Nie mogę jednak skapować – ciągnął dalej – czemu nie ułatwi pan życia sobie i innym. Nie lepiej byłoby panu w domu? – zapytał, a potem zawołał Brewkę i kazał mu zabrać kubki. – Napiłem się tego gówna. Zobacz, co jest na dnie.

Brewka spojrzął na białawą breję wymieszaną z fusami kawy i uniósł brwi.

– No... mleko – stęknął, speszony.

– Chyba tylko z nazwy – odparł Małpa. – Tak trudno jest skombinować świeże mleko? Przecież dokoła roi się od krów.

– Mówiłeś, żeby nie wychodzić – bronił się Brewka.

– Dobra, dobra – burknął Małpa – ale przykazałem też, że macie mi dbać o don Diega, bo to on jest tutaj najważniejszy. Mam rację, inżynierze? – Don Diego trwał w bezruchu. Miał zamknięte oczy i ciężko oddychał. Skostniały od chłodu doskwierającego w Santa Elena, próbował się ogrzać, otulając się własnymi ramionami. – Żeby mi jutro nie brakło dla naszego gościa świeżo udojonego mleka, zagrzać mu je jak należy, żeby mi się nie skarżył, a z tego, co zostanie, zrobić serek – przykazał Małpa, nie odrywając wzroku od don Diega. – A teraz zmiataj i zabierz mi to paskudztwo.

Począł, aż Brewka wyjdzie, i ruszył w obchód po izdebce. Zerkał od czasu do czasu na don Diega, który leżał nieruchomo, jakby spał.

– Już panu mówiłem, że jedną z wielu moich zalet jest cierpliwość – zagaił Małpa.

– Kiedyś całymi popołudniami mogłem podpatrywać Izoldę w ogrodzie, siedząc na gałęzi drzewa ze zdrętwiąłym tyłkiem, pan wybaczy, że się wyrażam, ale po jakimś czasie nie wiedziałem już, jak mam się usadowić, przenosiłem się z gałęzi na gałąź,

ale nic nie pomagało, chociaż tak naprawdę zaczynało boleć dopiero wtedy, kiedy w ogóle nie wychodziła. A jeszcze jak spadła ulewa... Pan przecież wie, że jak w Medellín leje, to nie daj Boże, a jeszcze w pańskim zamku, gdzie ziąb od gór przewierca kości. Zimno panu, don Diego? – Małpa podał mu koc. – Proszę, niech pan się okryje. – Don Diego otworzył oczy, popatrzył na sztywną od kurzu, porwaną derkę i zacisnął usta. Małpa nie potrafił odgadnąć, czy to grymas udreki, upokorzenia, czy może w tej właśnie chwili stary przełknął swoje nieustępliwe milczenie. Bardzo mało mówił od czasu, kiedy oświadczył, że nie zapłacą za niego złamanego peso. – Najgorsze były ulewy i przenikliwy wiatr – ciągnął Małpa na stojąco, zakutany w ruaną, z rękami w kieszeniach. – Ale warto było czekać. Kiedy wreszcie wychodziła, to było tak, jakby... – Przerwał, zauważywszy, że don Diego zaciska oczy. Zaczekał z podjęciem wątku, dopóki nie stwierdził, że z twarzy starego zniknęło napięcie. – Jakiś blask rozjaśniał ogród – kontynuował – powiewała ciepła bryza, a kiedy się śmiała, to było tak, jakby, jakby... – Wzruszenie odebrało mu mowę. – Kiedy Izolda wychodziła na dwór, przestawało nawet padać, a ja z miejsca zapomniałem, że konar wpija mi się niemiłosiernie w siedzenie, bałem się tylko, żeby ktoś z zamku mnie nie zdybał. – Małpa przyciągnął sobie drewniany, z lekka koślawy stołek. – Za pozwoleniem, klapnę sobie. – Don Diego otworzył oczy, a że Małpa bacznie się w niego wpatrywał, na sekundę, po raz pierwszy tego wieczoru, skrzyżowali spojrzenia. Zaraz jednak don Diego powrócił do poprzedniego stanu – zamknął powieki, odchylił głowę i na nowo poczuł dojmujące zimno przenikające jego kości. – To było tak, jakby wyszło słońce! – zawołał z uniesieniem Małpa. – A ja truchlałem, że tyle światła może mnie zdemaskować, choćbym się skrył w najgłębszej gęstwinie. Wprawdzie drzewa były moim żywiołem, bo to przezwisko to dzięki mojej smykałce do łożenia po drzewach. – Małpa chciał się zaśmiać, ale z jego ust wydobył się smętny jęk.

Za drzwiami gruchnął głośny, irytujący rechot, jakby podsłuchiwali i nabijali się z niego, ale jak tylko usłyszał chichotanie Twiggy, zrozumiał przyczynę tej nagłej uciechy i zezłościł się jeszcze bardziej. Potarł twarz dłońmi, podrapał się nerwowo w głowę, potargał włosy i z beznadziejną rozpaczą w głosie poskarżył się, dlaczego kobiety są tak upierdliwe. Później pchnął z całej siły drzwi i wrzasnął, żeby się przymknęły.

Nastąpiła tak dramatyczna cisza, że w izbie słychać było tylko przyśpieszony oddech don Diega, wciąż leżącego z zamkniętymi powiekami. Na dworze świergotał lelek, ćwir, ćwir, ćwir, przypominający don Diegowi lelki wijące gniazda w zamkowych krzewach.

– Z czego pan się śmieje? – zdziwił się Małpa i śmiech zamarł don Diegowi na ustach. – Z tych tam? Ze mnie? Śmieje się pan ze mnie? – Małpa Riascos zarżał

nieszczere i wycodził: – A to dobre. – Jak pies okrążył dwa razy stołek, zanim znowu usiadł, oparł głowę o ścianę i rzekł: – Ciekawe, czy jak to wszystko się skończy, będzie panu do śmiechu, don Diego. A może to z jej powodu? Jakies wspomnienie z nią związane? Uśmiechnął się pan na wspomnienie o naszej Izoldzie?

Don Diego otworzył oczy, w których błysnęła furia.

– Naszej? – rzucił wzgardliwie.

Tym razem Małpa roześmiał się serdecznie.

– Mnie przytrafia się to samo, kiedy o niej myślę. Czasem daję się przyłapać na tym, że śmieję się ni stąd, ni zowąd, jak głupi do sera. Pytają mnie wtedy, czy przypomniała mi się jakaś uciezna chryja, ale ja mam to samo, co szanowny pan, to ona za tym stoi, uśmiecham się na wspomnienie o naszej Izoldzie, mimo że się pan złości, kiedy mówię: nasza. – Małpa wstał i podszedł do okna, zaślepionego deskami i kantówkami przybitymi zawzięcie do muru i wewnętrznej okiennicy. Stawiał kroki wolno, poruszając wargami, jakby rozmawiał sam ze sobą. Naraz uniósł nieco głos, żeby stary mógł go usłyszeć: – „Życie jest dobre dla tych, co potrafią znosić je w cierpieniu. Mnie twoje życie jawi się skąpane szczodrze w bólu, w udręce, w morzu łez słonych, jest jak pustynia słońca wypalona ogniem, ja dam ci przeto więcej szczęścia niż liści zielonych gniazdom bujne drzewa, a wieczór zmierzchowi obłoków pąsowych”. – Zamilkł i spojrzął z zaciekawieniem na don Diega, który z zaczerwienioną twarzą oddychał gwałtownie, z trudem łapiąc powietrze. – Wiem, inżynierze, że nie jest pan miłośnikiem poetów spod znaku ruany, ale gdyby nie maestro Flórez, nie dałbym rady czekać całymi godzinami na Izoldę. Wyuczyłem się jak pacierza wszystkich jego wierszy, chociaż teraz, po tylu latach, wiele z nich zatarło mi się w pamięci. Nauczyłem się ich dla niej, dla Izoldy. – Małpa zamyślił się. Podszedł do stojącego w kącie krzesła i położył dłonie na oparciu. – I proszę, co za ironia losu, komu przyszło mi je recytować. – Westchnął, po czym dodał: – I to w jakich okolicznościach. – Zabębnił palcami w oparcie. Spojrzął na zegarek. – Proszę mi wybaczyć, don Diego, ale zmuszony jestem przerwać naszą pogawędkę. Czekają mnie sprawy niecierpiące zwłoki. Między innymi muszę zadzwonić do pańskiego domu, minęło już kilka dni od ostatniego razu. Proszę sobie wyobrazić, że nie chcą poprosić do telefonu pańskiej małżonki. Podobno nie życzy sobie ze mną rozmawiać.

– Dziękuję, Dita... – wyszeptał don Diego.

– Co? Co takiego? – Małpa nadstawił ucha, lecz don Diego milczał. – Wszystko jedno, tak czy inaczej zadzwonię. Jeśli chcą pana zostawić tu na pastwę losu, to ich sprawa. – Raz jeszcze zaterkotał palcami w oparcie krzesła. Przez chwilę stał w milczeniu, czekając na jakąś reakcję don Diega, ale ten leżał nieruchomo jak kłoda na twardej, sfatygowanej pryczy, patrząc w sufit. – Dobranoc – powiedział

Małpa.

Wyszedł i zamknął drzwi na kłódkę. Ze spuszczoną głową pokonał kilka metrów pogrążonego w mroku korytarza. Zastał swoich ludzi w dużej izbie, poszeptujących o czymś i chichoczących w najlepsze.

– Małpa, Małpeczko. – Twiggy jednym susem stanęła przed nim. Uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic.

– Czy do ciebie nic nie dociera? – naskoczył na nią Małpa. – W jakim języku mam do ciebie mówić?

Twiggy zatrzepotała ciężkimi od tuszu rzęsami i zaszcebiotała dziecinnie:

– Brakuje mi ciebie, Małpeczko. Tęsknię za tobą, musiałam cię zobaczyć.

– Nie przychodź tutaj – burknął Małpa. – Jak będziesz mi potrzebna, sam cię znajdę.

Twiggy chwyciła brzeg wściekle zielonej minispódniczki, jakby od niej zależało jej życie, i szepnęła miękko:

– Przecież gdybym do ciebie nie przyszła, nigdy byśmy się nie widywali.

– Przestań – uciął Małpa. Stał pośrodku pokoju i popatrzył na Brewkę, Carlitosa i Chwasta. – A gdzie Pluskwa? – spytał, zdziwiony.

– Poszedł po mleko – pośpieszył z odpowiedzią Brewka.

– O tej porze?

– Sam kazałeś.

– Dwa pastwiska dalej pasą się krowy – dodał Chwast.

– Teraz poszedł doić krowę? – z uporem drążył Małpa.

– Nie – wyjaśnił Brewka – przyciągnął krowę tutaj. Lepiej mieć ją na miejscu, nie trzeba się będzie nigdzie szwendać.

Małpa aż przysiadł z wrażenia. Znowu potarł twarz i potarł włosy.

– Znaczy co? Poszedł ukraść krowę? – spytał, nie wierząc własnym uszom.

– No, tak. Przecież sam kazałeś – powiedział Brewka.

Małpa jednym ruchem ściągnął z siebie ruaną.

– Jak można być takim tępym bydlakiem! – zawołał. Twiggy przycupnęła obok, w bezpiecznej odległości. – Co ja ci powiedziałem? – zapytał, z trudem zachowując spokój. – Że masz zorganizować mleko czy ukraść krowę?

– Ale, Małpa – bronił się Brewka – najbliższy sklep jest o godzinę drogi stąd...

Małpa jednak nie pozwolił mu dokończyć.

– Jutro właściciel krowy zorientuje się, że brak mu jednej sztuki, zacznie jej szukać, nie znajdzie, pójdzie na posterunek, złoży zawiadomienie, pały zaczną węszyć po całej okolicy. Słuchasz mnie, Brewka? I co wtedy? No, który mnie oświeci, co się stanie, jak zjawi się tu policja i zacznie rozpytywać o tę zajebaną mućkę?

Nikt się nie odzywał, dopiero Twiggy bąknęła:

– Małpa, ja dopiero co wparowałam. Nie mam pojęcia, czyj to był pomysł.

– Zakute łby! – wybuchnął Małpa i Twiggy, gryząc knykcie, na wszelki wypadek odsunęła się jeszcze trochę. Małpa zaczerpnęła powietrza, żeby ochłonać. – Carlitos, idź powiedz Rudemu, żeby się kopnął po Pluskwę i przyprowadził mi go z powrotem – zarządził.

Carlitos spojrzał spode łba na Brewkę.

– Co jest? – spytał Małpa.

– No bo Rudy poszedł razem z Pluskwą – odparł cicho Brewka.

Małpa przystanął, wbił pięści w kieszenie spodni, wolno okrążył stojący na środku stół, po czym jednym kopniakiem poderwał go do góry. Wszystko, co leżało na blacie, wzbiło się w powietrze: kolorowe pisemka, szklanki, popielniczka i cynowe talerze. Butelka lemoniady wirowała na podłodze wokół własnej osi. Kiedy znieruchomiała, Małpa zapytał:

– Znaczy co? Nikt nie pilnuje?

3

Nie znam kogoś, kto ubierałby się jak on, miał lokaja i limuzynę, a już na pewno nie znam kogoś mieszkającego w najprawdziwszym zamku, takim jak te we Francji, kogoś, kto popijałby herbatę na tarasie z widokiem na fontanny z cementowymi potworami, którym woda tryska z gardzieli. Nigdy nie słyszałem o dzieciakach, które nie muszą chodzić do szkoły, tylko uczą się w domu, jak Izolda, pod troskliwym okiem zagranicznej guwernantki i prywatnych nauczycieli. Dla nas podróż do Europy to jak podróż na Księżyc, on tymczasem jeździ tam z rodziną co roku, ot, tak sobie, jakby Europa była tuż za rogiem. W jego życiu panują taki ład i harmonia, wszystko jest tak doskonałe, że nasza egzystencja i nasze domy, w których mieszkamy w sąsiedztwie zamku, wydają się pospolite, mimo iż przecież są całkiem spore, a my nie możemy narzekać na brak przyjemności i żyje się nam nie najgorzej.

Wspomniałem o Księżycu, bo od miesiąca wszyscy chcemy być astronautami, odkąd człowiek, na naszych oczach, wlepionych w ekran telewizora, po raz pierwszy dotknął stopą księżycowej powierzchni pokrytej pyłem. Sygnał dochodził z bardzo daleka i obraz był zwichrowany ciągłymi zakłóceniami na łączach, jakby z wielkim trudem przedzierał się przez atmosferę, ale i tak wytrwaliśmy z zapartym tchem do świtu. I nie posiadaliśmy się ze szczęścia, bo wraz z tym pierwszym krokiem teraźniejszość odeszła w przeszłość, a my zaczęliśmy żyć w przyszłości.

Gdy większość domowników śpi, don Diego napełnia zamek muzyką Wagnera czy innego z wielkich kompozytorów. Wykorzystując okazję, Izolda schodzi na dół w kapciach z wyhaftowanymi inicjałami i choć drewniane schody skrzypią, hałas niknie w dźwiękach symfonicznej muzyki. Wyślizguje się na zewnątrz tylnymi drzwiami i przemyka do miejsca, w którym nie mogą jej już usidlić zamkowe światła i gdzie na wysokości jej oczu ukazuje się migotliwa ławica *cocuyos*³.

W swoim pokoju Dita spogląda na zegarek i myślami wędruje do Niemiec, do siostry, pogrążonej we śnie i przykrytej kołdrą aż po czubek nosa. Hedda z rozpuszczonymi włosami pisze list i szuka precyzyjnych słów zdolnych wyrazić ból i żal. „Nie powiększaj tej odległości swym milczeniem, swoją obojętnością”, słowa, przez które przebija skarga, dobiera starannie, tak aby nie raniły, aby nie

odebrały jej nadziei na odpowiedź. Zdesperowana, zgniata kartkę i ciska ją na podłogę. Przeklęta muzyka, przeklęty Wagner, przeklęte, bestialskie komary, przeklęta odległość! Złorzeczy po niemiecku, angielsku i hiszpańsku.

Poza udręką Heddy wszystko zdaje się trwać w niezmaconym spokoju. Na górze don Diego przewraca kolejną kartkę, usiłując zrozumieć moralną dwuznaczność Jüngera czy po prostu rozszyfrować tajemnice życia codziennego. Dita rozczesuje włosy, zanim położy się do łóżka, tak jak ją nauczyła matka, a matkę nauczyła babka. Szczotkuje włosy przed snem, a rano upina je starannie w kok, przydający jej szlachetności. W pobliżu fontanny rechoczą żaby, nocną ciszę przecinają piski nietoperzy i oposów, słysząc skrzeczenie płomyków, przeraźliwe nawoływanie pójdziek, poszczekiwanie psów. I wszyscy, lokaj i służące, ogrodnik, udręczona guwernantka, ojciec i matka, są przekonani, że o tej godzinie Izolda śpi jak suseł.

Dziewczynka jednak idzie przez las płynnym, miękkim krokiem, niby astronauta w otwartej przestrzeni kosmosu, zauroczona migotaniem robaczków świętojańskich. Eskortuje ją pięć almirajów, przepędzających swymi rogami kryjące się w krzakach owady, które mogłyby ją wystraszyć. Izolda ma szklany flakonik zatkany korkiem z dziurkami, przez które z własnej woli wlatują do środka świetliki. To tylko pożyczka – tak obiecała almirajom. Po powrocie do pokoju wyjmie korek, żeby mogły sobie polatać, kiedy ona będzie już pogrążona we śnie, o świcie zaś otworzy okno i wówczas wrócą do lasu.

Resztę świata budzą promienie słońca, szalają ostrzyciela noży, świst makinetki albo zmęczenie zbyt długim snem w mieście, w którym gnuśność nie jest mile widziana. Ludzie szlachetnie urodzeni i plebejusze wstają wczesnym rankiem, aby stawić czoło codziennym wyzwaniom, radościom i zgryzotom. Księżniczkę zaś czekają zmagania z własną samotnością i wkuwaniem życiorysów zmarłych ludzi.

³ *Pyrophorus* – tropikalny gatunek świetlika wytwarzającego silne światło (przyp. tłum.).

4

Medellín miało swój napis, na hollywoodzką modłę wsztukowany we wzgórze wznoszące się nad dzielnicą Enciso, całkiem niedaleko domu Małpy Riascosa. Litera tworzyły nazwę firmy tekstylnej Coltejer, z której w nocy potężne reflektory wydobywały jaskrawą zieleń.

– Tę firmę założył któryś z pańskich krewnych, don Diego, zgadza się? – zagaił Małpa. – Za szczeniackich czasów wdrapywaliśmy się tam z Brewką i Pluskwą, żeby spojrzeć na Medellín z góry. Patrzyliśmy na samoloty lądujące na Olaya Herrera, na sępy zataczające kręgi nad rzeką. Snuliśmy plany na przyszłość, chociaż pan, inżynierze, jeszcze nie przyszedł mi wtedy do głowy. Byliśmy szczeniakami i marzyliśmy o tym, żeby kiedyś stać się bogatymi ludźmi. Mrzonki smarkaczy, którzy poza wylegiwaniem się w łóżku nie mieli nic innego do roboty. Czasem chmury przepływały nad nami tak nisko, że zdawały się być na wyciągnięcie ręki. Marihuana pomagała nam unosić się w powietrzu. Gadaliśmy o rzeczach, których nie mieliśmy. Pluskwa rozprawiał o gitarze Jimiego Hendrixa i zawodził *Purple haze all in my brain*, chociaż ni w ząb nie znał angielskiego.

– Pluskwa, co znaczy *purple haze*? – spytał go Brewka.

Pluskwa odłożył wyimaginowaną gitarę, wciągnął powietrze przez nos i wznosząc twarz ku niebu, odparł:

– To coś absolutnie obłądnego, *my friend*.

Małpa tymczasem rozwodził się nad plymouthem barracudą, niebieskim metalikiem coupé z silnikiem V8, identiko jak ten Abelarda Ramíreza, właściciela sali bilardowej na Primero de Mayo. Jak przygazował, to wybrylantynowanym facetom włosy stawały dęba, a babkom robiło się w środku coś takiego, że nie wiem co.

– A po co ci samochód, skoro nie umiesz jeździć? – spytał nieopatrznie Brewka.

– No właśnie po to, bęcwale.

– Mnie by tam wystarczył pikap...

– Tobie zawsze wystarcza byle co – rzucił Małpa, po czym podjął swoją opowieść: – Ten napis był jej częścią. Tych osiem liter na wielkich wspornikach opowiada historię naszej Izoldy, don Diego. One wytyczają terytorium. Podobnie jak gringos pokazali nam, że Księżyc należy do nich, gdy wetknęli weń swoją flagę,

tak pan i spółka zawłaszczyliście Medellín napisem „Coltejer”. Nigdy go pan nie widział z bliska? Powinien się pan tam wybrać i stanąć pod literą E, pierwszą literą swojego nazwiska. Zobaczyłby pan, jak małym czuje się wtedy człowiek.

Don Diego nawet na niego nie spojrział.

– Przymknij się, Pluskwa – rzucił Małpa. – Przestań beczeć. Nauczyłbyś się najpierw angielskiego.

– Małpa, daj żyć, co?

Brewka nie pisnął już ani słowa, odkąd Małpa zgasił go tym, że wystarczy mu byle co. Usiadł pod literą R i gapił się przed siebie. Pluskwa posłuchał Małpy i przestał śpiewać, chociaż dalej imitował dźwięki gitary elektrycznej.

– Któregoś dnia odkupię ten wóz od don Abelarda – powiedział Małpa.

– Kiedy ten dzień nastanie, będzie już z milion nowszych samochodów – zawyrokował Pluskwa.

Małpa pstryknął końcówką skręta, zanim sparzyła mu palce. Wstał i otrzepał spodnie.

– Mówiłem panu, don Diego, że w porównaniu z tymi literami człowiek jest malutki, chociaż na tle wzgórza tygi jest właśnie napis. Tylko patrzeć, jak rozplenią się tam nowe osiedla. Ciekawe, co wtedy z nim będzie. Od kiedy wzięło mnie na poważnie z tym pańskim zamkiem, pod napis nigdy już nie wróciłem. Ale to właśnie tam, na wzgórzu, skąpany w blasku zieleni, patrząc z góry na mieniące się światła Medellín, postanowiłem, że niezależnie od ceny, jaką przyszłoby mi zapłacić, nawet kosztem własnego życia, pańska księżniczka, don Diego, będzie moja. – Przytknął do ściany czoło i palce obu rąk i w uniesieniu wyrecytował: – „Jeśli mnie do walki zmusisz, przyjdzie mi się z tobą zmierzyć; tyś kruchą pianą, ja bezkresnym morzem, co w święty gniew swój ufa i wierzy...”.

– Co za szmira – przerwał mu pogardliwie don Diego.

– Słaby ze mnie recytator – pokajał się Małpa.

– Byłby równie podły, nawet gdyby deklamował sam Julio Flórez – beznamiętnie stwierdził don Diego.

Małpa wsunął rękę pod koszulę i podrapał się po brzuchu. Potrząsnął głową, aby pozbyć się nagromadzonych w niej trosk.

– Izolda pięknie recytowała wiersze – wyszeptał don Diego. Małpa przestał się skrobać, ale zostawił rękę pod koszulą, żeby ją ogrzać.

– Czyje? – spytał.

Don Diego nieskwapliwie wymienił kilka nazwisk, całkowicie Małpie obcych:

– Verlaine, Hugo, Darío... Nauczyła się nawet na pamięć kilkunastu wierszy po francusku – podkreślił nie bez dumy.

Zamilkli. Gdy obaj zaczynali już przyzwyczajać się do milczenia, Małpa powtórzył półgłosem:

– Recytowała...

Don Diego siedział na pryczy, przykryty po szyję derką, oparty plecami o zapleśniałą ścianę.

– Dzieci rosną tak szybko – odezwał się niespodziewanie, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Przyzwyczajamy się do ich śmiechu, do wrzawy i nagle, któregoś dnia dorastają i przestają beztrąsko swawolić. Właśnie wtedy zaczynamy tęsknić za zgiełkiem i śmiechem.

Małpa wypuścił powietrze, które wstrzymywał w piersi, żeby nie uronić ani jednego słowa. Odczekał chwilę i zapytał:

– Dlaczego nie miał pan więcej dzieci?

Don Diego podniósł wzrok. Coś załśniło w szczelinie między jego nabrzmiętymi powiekami.

– W moim sercu nie było miejsca dla nikogo oprócz Izoldy – odrzekł.

Małpa przełknął ślinę, speszony wilgotnym spojrzeniem don Diega. Wolał zmienić temat.

– Dochodzą mnie wieści, że pańscy sąsiedzi węszą bez przerwy w okolicy zamku. Podobno po tym, co się stało, zbiera się tam pełno gapiów. Jak to możliwe, skoro wzgórze jest otoczone wojskiem?

– Dlaczego nie nazywa pan rzeczy po imieniu?

– Jakich rzeczy?

– Mówi pan: „po tym, co się stało”. Przecież to ma swoją nazwę. Niechże ją pan wyartykułuje.

– To jest biznes – zauważył Małpa – biznes bardzo skomplikowany z uwagi na to, że jedna ze stron odmawia współpracy.

Don Diego parsknął krótkim śmiechem.

– Ach tak – powiedział, udając zdziwienie. – Zatem wszystkie te rewerencje zawdzięczam biznesmenowi.

– Komu? – spytał zmieszany Małpa. Don Diego zaśmiał się znowu. Małpa odwrócił się do niego plecami i podszedł do drzwi. – Proszę nie zapominać, don Diego – rzucił oschle – że tutaj ja rządzę, nie pan. – Otworzył drzwi. – I niech pan lepiej skreśli tych parę słów do szanownej małżonki, ona pragnie się dowiedzieć, że bardzo pan za nią tęskni i całymi dniami myśli tylko o szybkim powrocie do domu.

– Ile żądacie? – spytał don Diego.

Małpa zdawał się czekać na to pytanie i widać było, że sprawiło mu wielką frajdę.

– Nie ma pan za grosz wstydu. Przecież do tej informacji mają dostęp tylko dwie strony biznesu.

– Ja jestem biznesem.

– Tak, ale nie negocjatorem.

– Nic pan nie dostanie.

Małpa wzruszył ramionami.

– Od razu widać, że nie ma pan o tym pojęcia – rzucił, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Założył kłódkę, przekręcił w niej klucz i szarpnął, aby się upewnić, że jego inwestycja jest dobrze strzeżona.

W kuchni Carlitos pichcił zupę z dyni i naci pietruszki i podgrzewał mleko do kawy. Kątem oka dojrzał przechodzącego ze zwieszoną głową Małpę i usłyszał, jak Pluskwa pomstuje:

– Co za kurewski ziąb!

– A mgła taka – dodał Chwast – że furtki nie widać.

– Mógłby nas tu przydupić batalion wojska i nim byśmy się spostrzegli, już by nam siedzieli na karkach.

– Mgła jest nam na rękę – powiedział Małpa.

– Ale jak się tu dostaną chłopaki z drugiej zmiany? – zamartwiał się Chwast. – Ja już chcę spadać.

Małpa otworzył drzwi chałupy i mgła wdarła się do izby. Zastygł w bezruchu, patrząc na białą ścianę, która odstręczała od wyjścia na dwór.

– Widzisz? – szukał potwierdzenia Chwast.

– Nie, nic nie widzę – warknął Małpa.

– Miałem na myśli...

– Wiem, co miałeś na myśli. – Małpa odwrócił się i spojrzał na niego. – Słuchaj no, idź i zbadaj teren.

Chwast rozdziawił gębę, otworzył szeroko oczy i zawiesił wzrok na Pluskwie, jakby szukał u niego potwierdzenia własnego zdumienia, lecz Pluskwa uśmiechał się tylko złośliwie pod nosem.

– Rusz dupę, Chwast – przynaglił go Małpa. – Zobacz, dokąd ciągnie się ta mgła, i sprawdź, czy gabłota jest dobrze przykryta. Potem idź na drogę i zaczekaj na resztę.

– Małpa, przecież odlać się nie idzie w tym mleku.

– Zdaje się, że teraz twoja zmiana? Nie powinieneś być na czujce?

– Niby tak – przyznał Chwast, przyparty do muru. – Ale sam widzisz, co się tam dzieje.

– Jazda! – wydarł się Małpa. Jego krzyk zmasał grymas szyderstwa z twarzy Pluskwy i wyciągnął z kuchni zafrapowanego Carlitosa.

Chwast dźwignął się i począpał ku drzwiom, gdzie czekał na niego rozwścieczony Małpa. Przystanął obok i wzdrygnął się, gdy powiało na niego chłodem z dworu.

– Uważaj, żebyś się nie zwałił w jakiś parów – przestrzegł go Małpa.

Chwast sięgnął ręką za plecy, wyciągnął zza paska pięciostrzałowy rewolwer

kalibru trzydzieści osiem i z całej siły zacisnął palce na kolbie. Łypnął na Małpę ze złością i zniknął w tumanie mgły. Małpa zatrzaskała drzwi i zagadnęła:

– Co jest z tą zupą, Carlitos?

5

Don Diego zamknął książkę z trzaskiem i leniwym ruchem położył ją na biurku.

– Marny z niego poeta – stwierdził i ziewnął.

– Niemniej wciąż się podoba – zauważył Rudesindo.

– To wcale nie znaczy, że nie jest słabym poetą – skwitował don Diego.

– Mój drogi. – Teraz Rudesindo zaczął kartkować tomik.

– Moda na jego wiersze wróciła dzięki tym typkom... tym, jakże im tam... – Don Diego pstryknął palcami, usiłując przypomnieć sobie nazwę.

– Piedracielistom⁴.

– O, właśnie. Jak tylko skończy się całe to jubileuszowe szalbierstwo, odejdzie w zapomnienie.

– Robią to bardziej z podziwu dla Silvy niż ze względu na samego Flóreza.

– Bez wątpienia. Ale zlituj się, nigdy nie wymieniaj ich nazwisk jednym tchem.

Rudesindo uśmiechnął się, uniósł kieliszek koniaku do światła i powiedział:

– Nie można mylić łajna z maścią.

– Ten nekrofil nie dorasta Silvie do pięt – dowodził don Diego. – Gdzież mu do doskonałości. Silva obracał się w wąskim kręgu francuskiej elity, podczas gdy tamten nie wyściubił nosa poza Hiszpanię.

Rudesindo zaśmiał się taktownie.

– Jeśli mówi to tak żarliwy zwolennik frankizmu...

– Bez wygłupów, Rude, Francja to Francja. I oszczędź sobie tego „żarliwego”. Dość już musiałem się nasłuchać z powodu Niemiec.

– Mój drogi – powtórzył Rudesindo i pociągnął z kieliszka. Don Diego tymczasem wstał i odłożył książkę na półkę. – A zatem znowu wyjeżdżasz? – spytał Rudesindo.

– Tak, za trzy tygodnie.

– Oj, źle sobie poczynasz.

– Dałbyś spokój. Mama od miesiąca dzień w dzień suszy mi głowę. A to, że bym się już ustatkował, a to, że wszystkie interesy na głowie moich braci, że taki stary, a jeszcze kawaler...

– Tutaj ma całkowitą rację.

– Że co? Że jestem już stary?

– Nie żartuj, ale że jeszcze kawaler?

– Do czego mam się śpieszyć, Rude? Świat jest ogromny, wojna dawno się skończyła, Europa powoli staje na nogi, tymczasem zobacz, jak się mają sprawy tutaj. Widziałeś, co się stało z „El Tiempo”, cała drukarnia poszła z dymem. Liberałowie liberałami, ale na coś takiego nie zasługują.

– Do władzy musi wrócić Laureano.

– Laureano jest chory. A nawet jeśli wróci na urząd prezydenta, zostanie zgłiszcza.

Rudesindo podsumował rozmowę, wykonując nieokreślony ruch ręką. Zapadło milczenie. Słyszał tylko Anę Josefę dyrygującą w kuchni przygotowaniami do obiadu.

W Berlinie, podczas swojej czwartej podróży, don Diego otrzymał zaproszenie do hotelu Kempinski na bal organizowany przez Rotary Club Berlin International. Nie przepadał za bankietami, ale skądinąd wiedział, że na tym samym balu pojawił się wcześniej, dwa czy trzy razy, Thomas Mann. Nie zawahał się więc nawet przez sekundę przyjąć zaproszenia po to tylko, żeby móc zatańczyć na tym samym parkiecie, po którym stapał sławny pisarz. Kazał zanieść frak do pralni, wypolerować na błysk buty i umówił się o szóstą wieczór na rogu Kurfürstendamm ze swoim przyjacielem, Mirkiem Baumannem.

– Przecież bal zaczyna się dopiero o ósmej – zdziwił się Mirko.

– Wiem – odparł don Diego. – Ale Maria Callas zatrzymała się w Kempinkim i żeby nie wiem co, muszę ją zobaczyć.

Mirko myślał, że się przesłyszał.

– I jak niby chcesz tam wejść?

– Mamy przecież zaproszenia na bal. Zakładam, że przynajmniej do foyer dostaniemy się bez problemu.

Mirko roześmiał się.

– I co jej powiesz?

– Nic. – Don Diego wzruszył ramionami. – Pragnę jedynie wykorzystać ten zbieg okoliczności i móc ją podziwiać.

Punkt szósta obaj eleganccy panowie wkroczyli do hotelowego lobby. Zasiedli wygodnie w fotelach na wprost wind i zamówili szampana. Minęło dziesięć lat od upadku III Rzeszy, lecz Berlin wciąż jeszcze czuł się zawstydzony i upokorzony klęską i podziałem. Sama Maria Callas wielokrotnie ubolewała nad Deutsche Oper zniszczoną w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. I jakby nie dość było ciągle jeszcze świeżej pamięci o wojnie, teraz Niemcy z niepokojem przyjmowali podpisanie paktu warszawskiego. O tym i innych aktualnych wydarzeniach rozmawiali Mirko Baumann i don Diego. Ten ostatni w nerwowym napięciu spoglądał raz po raz na windy, żeby mu nie umknęła otulona w futro La Divina, udająca się do teatru, gdzie występowała w tych dniach w *Tristanie i Izoldzie*.

W końcu Mirko zagadnął o nią jednego z kelnerów.

– Gdzie ona jest? O której godzinie wychodzi?

Sprzątając puste kieliszki, natchniony kelner odparł:

– Ona wchodzi i wychodzi jak powietrze.

Była już siódma z minutami i goście zaczęli przybywać na rotariański bal. Don Diego rozłożył bezradnie ręce i zwrócił się do przyjaciela:

– Musimy zadowolić się tym, że oddychamy tym samym powietrzem, którym oddycha ona.

– Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca – pocieszał go Mirko. – W najbliższy piątek zobaczymy ją w roli, która wychodzi jej najlepiej.

Oczy don Diega zaśniły, jak zawsze, gdy myślał o muzyce Wagnera.

Weszli do sali balowej, rozjarzonej światłem ogromnych, kryształowych żyrandoli. Stąpając bezgłośnie po grubym, miękkim dywanie, przedelfilowali środkiem honorowego szpaleru utworzonego przez gospodarzy. Jakaś kobieta włożyła każdemu z nich w klapę fraka biały papierowy kwiat. Będąc już na lekkim rauszu wywołanym szampanem, przyjaciele ruszyli przed siebie, zahipnotyzowani widokiem udekorowanych bukietami miniaturowych róż i sztywnie nakrytych stołów, na których lśniły sztuczne, kieliszki i talerze z serwetkami ułożonymi na nich w kształt łabędzi. Orkiestra rozgrzewała instrumenty, przygrywając Straussa, zaś na parkiecie pierwsze pary próbowały swych tanecznych sił. Niemcy wracają do dawnej świetności, pomyślał wzruszony don Diego.

Nieco później pewna młoda, dopiero co przybyła dama schodziła po schodach z szatni do sali głównej. Mirko zorientował się, że don Diego bacznie się jej przygląda.

– Jeśli mnie intuicja nie myli, przyjdzie mi spędzić ten wieczór w samotności – zażartował.

– Znasz ją? – spytał don Diego.

– Myślisz, że traciłbym z tobą czas, gdybym ją znał?

Kobieta musiała poczuć na sobie spojrzenie, bowiem zszedłszy z ostatniego stopnia, zatrzymała wzrok na don Diegu, jakby był mężczyzną, z którym umówiła się na bal.

Tak też, w pewnym sensie, potoczyły się sprawy. Zatańczyli raz, a później stracili rachubę. Nazywała się Benedikta Zur Nieden.

– Wszyscy jednak mówią mi Dita.

– Czy ja też mógłbym dostąpić tego zaszczytu?

– Ależ naturalnie – zdążyła odpowiedzieć Dita, zanim wygięła się w łuk, pozwalając, by don Diego porwał ją do fokstrota, przy dźwiękach którego oszalała cała sala.

Między tańcami don Diego opowiadał Dicie o Kolumbii. Nic o niej nie wiedząc,

mniej jeszcze o Medellín, słuchała z wielkim zaciekawieniem.

– Nie ma pór roku, rośliny kwitną nieprzerwanie – mówił. – Jak na razie nikt nie zdołał sklasyfikować wszystkich gatunków żyjących tam ptaków. Ostatnio kraj przeżywa niewielkie wstrząsy, ale Medellín to oaza spokoju.

– W takim razie co ty tu robisz? – spytała Dita bez cienia ironii.

– Czerpię pełnymi garściami z tego, czego tam brakuje – z kultury i *joie de vivre*. Tańczyli, aż wybrzmiały ostatnie dźwięki muzyki, po czym don Diego zaproponował, że odprowadzi Dite do domu. Na dworze siąpił deszcz.

– Bola mnie nogi – poskarżyła się Dita, a don Diego poprosił, by zaczekała pod markizą, otworzył parasol i wyszedł na chodnik, gdzie hotelowy portier usiłował zatrzymać taksówkę.

– Już bardzo późno i jeszcze ten deszcz, wszyscy uciekają do domu. – Portier bezradnie rozłożył ręce, nie odrywając wzroku od przejeżdżających aut i ignorując mżawkę. Miał rację, ruch na ulicy był znikomy, przemknęły dwie, może trzy zajęte taksówki.

Wtem tuż przed nimi zatrzymała się biała limuzyna. Portier pośpieszył otworzyć tylne drzwi i z wnętrza pojazdu wyłoniła się smukła kobieta o czarnych włosach zebranych w wysoki kok. Don Diego z miejsca rozpoznał wydatny nos i grubą kreskę wokół oczu, które sprawiały, że bardziej przypominała Egipcjanek niż Greczynkę.

– *Piove* – powiedziała, patrząc na spadające z nieba krople. – *Un ombrello* – zwróciła się do portiera, który, zdaje się, nic nie rozumiał. – *An umbrella* – spróbowała po angielsku. – *I need an umbrella*.

Don Diego otrząsnął się z osłupienia. Podskoczył do niej z parasolem i powiedział:

– *Madame*.

Ona zaś, niemal na niego nie patrząc, chwyciła go pod ramię i szybkim krokiem ruszyła ku wejściu do Kempinskiego. Don Diego zmuszony był podnieść dość znacznie parasol, gdyż kobieta przewyższała go o głowę. Dotarłszy do drzwi wejściowych, pożegnała się uprzejmym *grazie* i weszła do foyer, niemal unosząc się w powietrzu w swej długiej sukni, otoczona aureolą geniuszu.

Don Diego, wciąż jeszcze roztrzęsiony, zbliżył się do Dity.

– To była... – próbował coś z siebie wydusić.

– Callas – pomogła mu Dita.

Oboje przytknęli głowy do oszklonych drzwi, jakby pragnęli zweryfikować to, co przed chwilą ujrzeli, lecz przez zaparowane szyby zobaczyli jedynie puste i niewyraźne foyer.

– Idźmy lepiej piechotą – zaproponowała Dita i wzięła don Diega pod rękę. – Tylko rozłóż parasol, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Uśmiechnęła się. – Bo

nie wiem, czy zauważyłeś, ale wciąż pada.

[4](#) *Piedracielistas* – członkowie kolumbijskiego ruchu poetyckiego *Piedra y cielo*, który wziął swoją nazwę od tytułu zbioru wierszy hiszpańskiego poety Juana Ramóna Jimenése (przyp. tłum.).

6

Ryż z fasolą był nietknięty. Don Diego nie spróbował nawet soku z *lulo*, rano poprosił jedynie, żeby pozwolono mu wziąć prysznic, ale dostał odpowiedź odmowną.

– Woda jest lodowata – powiedział Chwast.

– Wszystko mi jedno – upierał się don Diego, ale na próżno.

– Kto na tym straci, że pan nie je? – spytał go Małpa Riascos. – Pańska rodzina żąda dowodu na to, że pan żyje, a mnie nawet bardziej urzędują, jeśli będę mógł im wysłać zdjęcie, na którym widać, że ledwo pan żyje. – Don Diego całą swoją uwagę koncentrował na dwóch stronach zeszłotygodniowej gazety, jedynych, jakie otrzymał. Na żadnej z nich nie było o nim słowa. Tak czy inaczej, przeczytał je od deski do deski. – Na samej kawie z mlekiem daleko pan nie zajędzie – przekonywał Małpa. – Zwłaszcza na takiej lurze.

– I co macie zamiar zrobić ze zdjęciem? – spytał don Diego.

– Inżynierze, pan mnie chyba nie słucha. Wyślemy je pańskiej rodzinie. Niech pan odłoży gazetę i skupi się na tym, co mówię.

– Słyszałem, co powiedziała ta dziewczyna.

– Jaka dziewczyna?

– Jedyna dziewczyna, jaka tu przychodzi.

– Widział ją pan?

– Nie, ale słyszałem.

Don Diego usłyszał, jak powiedziała, że nikt nie zaryzykuje wywołania zdjęcia. Na co Brewka zaproponował, żeby oddała film do pierwszego lepszego zakładu fotograficznego, jak zwykłą rolkę. Wtedy usłyszał krzyk Małpy, który nazwał Brewkę bęcwałem.

– Brewka, widziałeś wiadomości? Twarz don Diega jest wszędzie, codziennie pokazują go w dzienniku! Myślisz, że co robi właściciel zakładu, jak zobaczy najbardziej poszukiwanego faceta w Kolumbii?

– Zresztą on nie pozwoli sobie zrobić żadnego zdjęcia – stwierdziła Twiggy.

– Machnie mu się zdjęcie w jakiegokolwiek pozycji, byleby tylko było widać, że żyje – zawyrokował Małpa.

– Może na kiblu, jak będzie srał – podpowiedział Brewka.

– Przecież on nie sra – odparł Pała.

– Wszystko jedno – uciął rozdrażniony Małpa. – Najważniejsze, żeby nam wywołali to kurewskie zdjęcie!

– O nie, Małpeczko – powtórzyła Twiggy. – Na mnie nie licz.

– Zapłać podwójną cenę, piękna. Każdy, kto ma ciemnię, zrobi to bez gadania.

Don Diego usłyszał jeszcze, jak Brewka pyta, co to jest ciemnia. Ale chyba nie doczekał się odpowiedzi.

Teraz Małpa chodził od ściany do ściany, zły, że don Diego podsłuchiwał ich rozmowę. Głowił się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Postanowił zagrać inaczej.

– Mam zdjęcia Izoldy, inżynierze.

– Tutaj?

– Nie, don Diego, tu, prócz pana, nic więcej mieć nie mogę. Ale niech pan nie myśli, że to te same zdjęcia, których pełno było w gazetach, kiedy pańska córka skończyła piętnaście lat. Mówię o fotkach, które zrobiłem sam. Część jest nieostra, ale na kilku, kiedy udało mi się ją złapać w bezruchu, wyszła całkiem nieźle. Na jednym patrzy w niebo, a na innym płacze.

Don Diego z trudem przełknął ślinę przez zaschnięte gardło, upuścił gazetę i wyciągnął się na pryczy. Zamknął oczy, ale po chwili otworzył je, szukając derki. Małpa wciąż śledził go wzrokiem.

– Tamtego dnia wyszła do ogrodu z płaczem – powiedział. – Usiadła pod jakimś drzewem, objęła ramionami kolana i szlochała przez jakiś czas. Mówię panu, inżynierze, serce mi się krajało, bo ona była już wtedy dużą panną i pewnie musiało jej być bardzo smutno, jeśli uciekła z zamku, żeby wypłakać się w samotności. – Małpa, ze spuszczoną głową, zatoczył koło po pokoju i ciągnął dalej: – Pan, inżynierze, wyszedł za nią i usiadł obok, żeby ją pocieszyć. Dąsała się, a pan usiłował otrzeć jej łzy. Nic nie słyszałem, bo rozmawialiście bardzo cicho, dobiegał mnie jedynie delikatny szmer, aż w końcu skapitulowała i objęła pana za szyję. Jak ją pan udobruchał? Co jej pan powiedział?

– Pamiętam ten dzień – powiedział cicho don Diego.

Pocieszał Izoldę wiele razy. Musiał łagodzić jej wybuchy złości, których sam był sprawcą. Ona chciała wyrwać się z zamku, chciała jechać do cyrku, do kina, dokądkolwiek, byleby tylko nie do domu kuzynów, nie do klubu, nie do teatru. Pragnęła chodzić tam, gdzie chodzili zwyczajni ludzie, lecz don Diego był pod tym względem nieprzejednany, choć rygor starał się wynagradzać córce prezentami. Wieczorami wracał z nową lalką na otarcie łez.

– Co jej pan powiedział?

– Naprawdę chce pan wiedzieć? – Małpa nie potrafił ukryć entuzjazmu. – Dlaczego? – spytał don Diego. – Nie była to wcale jakaś specjalnie ważna chwila.

– Dla mnie była – wyznał Małpa. – Nie wiem, co bym wtedy dał, żeby poznać

magiczne słowa, którymi ją pan pocieszał.

– To nie było trudne.

– Co jej pan powiedział?

Don Diego splótł palce i spojrzał w sufit. Małpa wstrzymał oddech.

– *Ich liebe dich über alles.*

– Co to znaczy? Co to za język?

– Niemiecki.

– W takim razie będzie mi pan musiał wszyściutko przetłumaczyć – zażądał Małpa. Don Diego milczał, wpatrując się uporczywie w sufit. – Co jej pan powiedział?! – ryknął Małpa, nie panując nad sobą, lecz don Diego nawet nie mrugnął.

W drzwiach ukazał się zaniepokojony Pała, wciąż jeszcze w policyjnym mundurze.

– Wołałeś mnie?

– Nie. – W pierwszej chwili Małpa się stropił. – Ale jak już jesteś, zabierz to i wywal. – Wskazał tacę z jedzeniem.

Pała schylił się z ociąganiem.

– Nie mamy znowu aż tyle żarcia, żeby je zaraz wyrzucać – zaszemrał z przyganą w głosie.

– Ciekaw jestem, czy któryś z was da radę to przełknąć – rzucił cierpko Małpa.

Gdy Pała wyszedł, podszedł do pryczy, na której leżał don Diego odwrócony do ściany.

– Co jej pan powiedział? – szepnął niemal błagalnie, ale don Diego zastygł w nieczuły kształt, nie chcąc ani słyszeć, ani rozmawiać.

Godzinę później Małpa znów zjawił się w celi don Diega. Pchnął z impetem drzwi i oświadczył:

– Wróćmy do pańskiego zdjęcia. Załatwmy to szybko. Pan wychodzi na wolność, do domciu, a ja znikam z tego kraju na zawsze. – Ale don Diego leżał w takiej samej pozycji jak przedtem. Zdawał się spać. Małpa starał się trzymać nerwy na wodzy. – Doszły mnie słuchy, że doña Dita jest załamana. Jak zabieraliśmy pana do nas w gości, to strzeliliśmy parę razy na postrach, pamięta pan? I ona teraz myśli, że mógł pan zostać ranny. Zapewniłem ich, że nic podobnego, ale nie chcą mi uwierzyć. – Mówił tak, jakby gadał do pustej pryczy, do zabitych na głucho okien albo do zapleśniałej ściany. – Niech mnie pan nie zmusza do robienia czegoś, czego nie chciałbym robić, don Diego. Niech pan nie przeciąga struny – powiedział zduszonym głosem Małpa, z każdym słowem coraz bardziej zaciskając zęby. – Może zróbmy tak: niech pan to sobie przemyśli i jak jutro będzie ładny dzionek, wyjdziemy na krótki spacer i pstrykniemy fotkę, co pan na to? – Zawrócił do drzwi

i już w progu dodał łagodnie: – Spodobają się panu begonie, don Diego. Ładnie się przyjęły.

Góry w Santa Elena, na wschód od Medellín, miały spadziste zbocza i były bardzo zielone, przyroda pleniła się tam niczym w epoce jury, kwitły azalie, chryzantemy, lilie, róże, orchidee, żółte goździki, a nawet maki. Pośród dzikiej roślinności, wśród paproci i strumieni toczących swe krystaliczne wody, porywacze przetrzymywali don Diega. Izolacja była tak bezwzględna, że nie przenikał do niego bodaj nocny zapach jaśminu. Gdy jego prześladowcy milkli lub kiedy psy z okolicznych hacjend przestawały ujadać, tonął w absolutnej ciszy. Ciszą był nie tylko szmer lasu, lecz również czas pochwycony i uwięziony w czterech ścianach izdebki. A także wspomnienia.

Następnego dnia wywlekli go siłą, taszcząc niemal w powietrzu, za nic mając stan jego zdrowia i podeszły wiek. Zamknął oczy i przycisnął podbródek do piersi, nie pytając, dokąd go ciągną. Na zewnątrz poczuł czyste, rześkie powietrze; odwrócił twarz, gdy oślepiło go słońce. Oswoiwszy się ze światłem, zdezorientowany, popatrzył wokół, usiłując rozeznaczyć się w terenie. Tylko zielone liście drzew i jego stopy, niknące w wysokiej trawie. W oddali dostrzegł bambusowy zagajnik, od którego dobiegało łagodne postukiwanie pędów kołysanych wiatrem. Odwrócił się i ujrzał nędzną chałupinę, której przygnębiający wygląd usiłowano ożywić kwiatkami zasadzonymi w metalowych puszkach po ciastkach.

– I co, nie mówiłem?! – zawołał triumfalnie Małpa. Don Diego nie widział go wcześniej i zdziwił się, usłyszawszy jego głos. – Kiedy pan tu przyjechał, sterczały tylko cuchnące kikuty, a proszę spojrzeć teraz, aż oczy się do nich śmieją.

Don Diego wpatrywał się w begonie, wyraźnie odcinające się na tle muru z niewypalanej cegły. Istotnie – były tu jedynym radosnym akcentem.

– To nie potrwa długo – zapewnił Małpa i zaraz krzyknął: – Gdzie jest piękna?!

– Piękna! – wrzasnął Pała w stronę domu.

Z chaty wyszła Twiggy. W swej kreacji i z aparatem Instamatic w ręce wyglądała, jakby się urwała z pokazu mody lub była frontmenką grupy rockowej.

– Nie ma tam gdzieś min poślizgowych? – zapytała z niepokojem, brodząc w wysokiej trawie, ubrana w minispódniczkę i lakierowane kozaki, sięgające kolan. Stawiała kroki ostrożnie, jakby naprawdę szła przez pole minowe. Zobaczywszy jednak don Diega, szybko zapomniała o troskach.

– Sprężaj się, piękna, bo się nam szanowny pan przeziębii na tym wietrze – ponaglał ją Małpa.

Don Diego próbował się wyrwać i wrócić do chaty, lecz Brewka z Carlitosem przytrzymywali go za barki.

– No, dawaj, piękna!

Twiggy stanęła obok Małpy, naprzeciwko don Diega i trzymających go mężczyzn. Don Diego zwiotczał i opuścił głowę, pniąc się w bezsilnej wściekłości. Brewka i Carlitos podciągnęli go w górę, ale on za wszelką cenę starał się skulić.

– Co też pan wyprawia, don Diego! – powiedział ostrym tonem Małpa. – Chyba nie chce pan, żeby rodzina zobaczyła pana w takim żalonym stanie?

Carlitos i Brewka usiłowali postawić don Diega na nogi, ale za każdym razem udawało mu się zwinąć w kłębek lub wykręcić, z żywotnością, o którą sam nigdy by się nie podejrzewał.

– Podnieście mu głowę! – ryknął Małpa.

– Zostawcie mnie – skomlał don Diego.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Twiggy.

– Co? – Małpa odwrócił się do niej gwałtownie.

Twiggy spieszyła się i bąknęła:

– To wszystko mi się nie podoba. Wiesz doskonale, Małpa, że to nie moja branża.

– Nie wpieniaj mnie – syknął ze złością i wydarł się na kumpli: – Podnieście mu ten siwy łeb! – Później chwycił Twiggy za ramię i wycedził przez zaciśnięte zęby: – A ty weź się w garść i zrób to zdjęcie.

Twiggy zrobiła krok do przodu, podnosząc aparat do twarzy. Ujrzała w wizjerze don Diega i to jej wystarczyło, żeby cisnąć aparat daleko od siebie i puścić się biegiem do chaty, nie dbając o krowie gówna czy kruche obcasy.

– Suka – rzucił za nią bezgłośnie Małpa i wziął się do przeczesywania zarośli w poszukiwaniu aparatu.

Twiggy poprawiła pędzelkiem fałdy powiek, kładąc zdecydowanym ruchem turkusowy cień na całej ich powierzchni. Wiedziała, że jej siłą są oczy. U nasady górnych rzęs poprowadziła płynną, smolistą linię, czarniejszą od jej źrenic, a na linii wodnej dolnej powieki narysowała białą kreskę, tak aby oczy sprawiały wrażenie większych. Dzieło zwieńczyła sztucznymi rzęsami. Na dole przykleiła te, które zwykle idą do góry, i pogrupowała je eyelinerem, formując na kształt wierzchołków gwiazdy. Na swoje górne, grube rzęsy nałożyła kilka warstw tuszu. Włosy miała ufarbowane na platynowy blond i czesała się z przedziałką na bok. Były krótkie, jak u chłopaka, jak u Twiggy – tej Angielki.

Beczka i Świniak przyjechali po nią pod dom, ale ona nie śpieszyła się z wyjściem.

– Nie jestem jeszcze gotowa! – krzyknęła z okna i wróciła do pokoju, żeby się zastanowić, co na siebie włożyć.

Podgłośniła adapter i zanuciła *Time to kill* grupy The Band. Podrygiwała, przeglądając sukienki wiszące w szafie, ale w końcu zdecydowała się na spodnie z lycry, na wypadek gdyby musiała brać nogi za pas. Ostatnim razem porwała sobie sukienkę, gdy usiłowała przeskoczyć przez mur i zaczepiła o potłuczone szkło, wtopione częściowo w beton na szczycie.

Pół godziny później w końcu ukazała się kompanom – z torbą przewieszoną przez ramię, umalowana, ze starannie ułożoną fryzurą, bardzo szykowna, choć w adidasach. Świniak i Beczka spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się złośliwie.

– Widziałam, widziałam, szuje – przywitała ich tkliwie, wdrapując się do ciężarówki.

Nienawdziła swojego niskiego wzrostu, a gdy musiała założyć płaskie obuwie, była przekonana, że kurczy się o kolejne centymetry. I nie cierpiała siedzieć blisko Beczki, która zawsze miała brudne, przetłuszczone włosy, capiała spod pach i ubierała się jak facet.

– Prujemy na Pilaricę⁵ – zadysponowała, przeglądając się w lusterku wstecznym przymocowanym do drzwi. Sięgnęła ręką do gałki radia i bez pytania zmieniła nadawane właśnie słuchowisko na piosenkę Palita Ortegi.

Przecięli Medellín ze wschodu na zachód. Była niedziela i mały ruch na ulicach.

Gdy przejechali na drugą stronę rzeki, Twiggy zatkała sobie nos.

– To nie rzeka, to Beczka – powiedział Świniak.

– Że jak?! – Beczka zjeżyła się i wbiła mu łokieć pod zebra. Ciężarówka potoczyła się slalomem po moście.

– To nasze własne gówna – podsumowała Twiggy, ciągle trzymając się za nos.

Mijali fabryki, dzielnice zapchane biedotą, dzielnice klasy średniej, aż w końcu za oknami zaczęły się pojawiać wielkie wille z ogrodami i basenami.

– Zwolnij, Świniak – poleciła Twiggy.

– Myślałam, że to będzie gdzieś bardziej na odludziu – zdziwiła się Beczka.

– Zaraz za tą kwadrą skręć w lewo. – Twiggy pokazała palcem.

Skręcili, a potem jechali dalej między eleganckimi podmiejskimi domami. Minęli się z dwoma chłopcami pedałującymi na rowerach i zanim dojechali do następnego rogu, Twiggy oznajmiła, że to tutaj. Ciężarówka zatrzymała się naprzeciwko ogromnego, piętrowego domu.

– Nie gaś. Zaparkuj tyłem do bramy garażu.

– Kto tu mieszka? – spytała Beczka.

– Ludzie – odpowiedziała Twiggy, ponownie przeglądając się w lusterku.

Pierwsza wyskoczyła z ciężarówki.

– Ty staniesz tam, na świecy – poleciła Beczce. – A ty, Świniak, zaczekaj na mnie tutaj.

Sama poszła na róg ulicy, gdzie rósł olbrzymi puchowiec, zaglądnący swoimi gałęziami do okien domu. Zwinnie niczym wiewiórka wspięła się do najgrubszego konaru, jakby włąziła tam ze sto razy, po czym popęzła po nim w kierunku okna. Tam ześlizgnęła się z gałęzi, stanęła na parapecie, wyciągnęła z torby swoje druty i zabrała się do zamka. Świniak nie mógł przezwyciężyć ciekawości i przylazł pod drzewo. Twiggy była już jedną nogą w środku, kiedy go zobaczyła. Zanim zamknęła za sobą okno, pokazała mu na migi, żeby wrócił na swoje miejsce.

Małpa zamknął oczy i podniósł palec wskazujący, recytując ostatnią strofę. Młody, z butelką piwa w dłoni, patrzył na niego, rozanielony.

– „I o niej to, gdym łez mych lał ruczaje, myślałem, że dłoń ta śnieżnobiała w ust mych ciepłe... taje”. – Ucichł i trwał w milczeniu ze wzniesionym palcem, z zamkniętymi powiekami, jakby oczekiwał owacji lub wdychał aromat poezji. Młody łyknął piwa i rozejrzał się po lokalu, ciekaw, czy jeszcze ktoś patrzy na Małpę. Ale w gospodzie pełnej mężczyzn wszyscy zajęci byli piwem i swoimi sprawami. – Piękny, co? – spytał Małpa, otwierając oczy. Młody uśmiechnął się do niego, roztaczając cały splendor swoich siedemnastu lat. – No, jak? Powiedzże coś – dopominał się Małpa.

Młody odezwał się wreszcie:

– Małpa, dla mnie to czarna magia.

– „To”, jak mówisz, napisał najlepszy poeta, jakiego kiedykolwiek wydała ta ziemia. Nazywa się Julio Flórez. Okrzyknięto go nawet poetą narodowym. Na pewno słyszałeś piosenki skomponowane do jego wierszy. Niektórzy krzywią się na niego, bo pisał dla ludu. – Małpa pociągnął długi łyk z butelki i kontynuował: – A że teraz wszyscy ocieplieli na punkcie tych bredni Gonzala Arangi...

– Co to za jeden? – spytał młody. Małpa machnął tylko ręką. Młody zaczął się tłumaczyć: – Mówiłem ci, że nie mam o tym zielonego pojęcia.

– Ani o tym, ani o niczym innym.

– Znam się na motocyklach.

Małpa wzruszył ramionami i prychnął lekceważąco. Patrzył w niebieskoszare oczy młodego, ale ten zaraz odwrócił się w stronę ulicy, gdzie przy chodniku stał czerwony bultaco z czarnym bakiem. Pokazał na niego, wydymając usta.

– To dopiero jest cudo. Najpiękniejsza rzecz, jaką można mieć między nogami. – Chcąc nie chcąc, Małpa spojrział na motor w nadziei, że udzieli mu się entuzjazm. – Na czymś takim można by śmignąć z jednego końca Medellin na drugi w pięć minut – zachwycał się młody.

– Zobaczymy, jak mi wyjdzie ten interes, to może będę mógł ci go kupić.

– Ty i ten twój interes.

– Już niedługo, cierpliwości – przekonywał Małpa, wlewając w siebie piwo.

– Słyszałem to już ze dwadzieścia razy.

– Intratne interesy to nie w kij dmuchał. Ale ten pięknie lada dzień, spokojna głowa.

Młody gwizdnął na kelnerkę, opartą łokciami o ladę. Spojrzała w jego stronę, a on pokazał jej dwa palce. Potem zwrócił się do Małpy:

– Wkurwia mnie, że jesteś takim egoistą.

– Chyba już rozmawialiśmy na ten temat – odparł Małpa zmęczonym głosem.

– Kopniesz w kalendarz, ukatrupią cię i komu zostawisz swoje doświadczenie, co? Nie musisz mi nic mówić, nic pokazywać, daj mi się tylko przyjrzeć, robić to razem z tobą. Chcę należeć do twojej paczki.

– Przecież już ci mówiłem. – Małpa był wyraźnie zirytowany.

Kelnerka zjawiła się z dwoma piwami, a kiedy Małpa dał jej dziesięciopesowy banknot, spojrzała na niego tak, jakby czekała, że powie, że reszty nie trzeba. Ale on milczał, patrząc na nią znudzonym wzrokiem.

– Zaraz przyniosę resztę – powiedziała z rezygnacją.

– Kto będzie twoim następcą, Małpa? – spytał młody.

– Co takiego?! Jeszcze ci się nie sprzykrzyło?

– Pluskwa, Carlitos, Brewka? Te kmiotki?

– Dobra, wystarczy, daj se siana.

– Twiggy? Ta siksa będzie twoją następczynią?
– Skąd to nagłe zainteresowanie moimi następcami? Już byś chciał mnie uśmiercić?

– Skąd. Ale któregoś dnia będziesz musiał kipnąć, no nie? Ile ty masz lat?

– Nie zawracaj mi głowy takimi bzdetami.

– Widzisz? Boisz się nawet przyznać, ile masz lat.

– Będziesz musiał się z tym pogodzić. Wobec ciebie mam inne plany.

Kelnerka wróciła i położyła na stole resztę z dziesięciu pesos. Małpa spojrzął na nią i rzucił:

– Zabierz to i przynieś mi podwójną wódkę.

– Nie – wtrącił młody. Zgarnął z blatu monety i ruszył w stronę szafy grającej.

Małpa wyciągnął nowy banknot i podał go kelnerce.

– Nalej mi, ale tak od serca. Reszta dla ciebie.

Młody zamarudził przy wybieraniu piosenek. Potem Małpa zobaczył, że rozmawia z innymi młokosami. Rechotali na całe gardło, przygadywali kelnerce, a jeden z nich próbował uszczypnąć ją w tyłek. Przytupywali w rytm rock and rolla, młody postawił sobie na sztorc kołnierz kurtki. Małpa pomału sączył wódkę, delektując się jej smakiem. Spojrzął na zegarek i pomyślał, że Twiggy skończyła już pewnie swoją robótkę. Pluskwa i Carlitos zmieniali Rudego i Chwasta, Pała przewąchiwał, co i jak, a Brewka niósł właśnie coś na ząb don Diegowi, który wypije kawę z mlekiem, ale jak zwykle nie tknie twardego chleba.

Po jakimś czasie młody wrócił do stołu i usiadł.

– I jak? Szafa gra? – zagadnął Małpa z zaczerwienionymi policzkami, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Jak ta lala – odparł młody i odwzajemnił uśmiech, odsłaniając dwa rzędy perfekcyjnie równych białych zębów.

– Co to za jedni?

– Tacy tam, z mojej ulicy.

– Chcesz jeszcze jedno piwo?

– Lepiej postaw mi wódkę.

Małpa przyjrzał się mu uważnie.

– Ty diable wcielony – powiedział.

Obydwaj obejrzeli się za kelnerką, ale nigdzie nie było jej widać.

– Chodź, pójdziemy się odlać – mruknął zmienionym głosem Małpa.

Młody łypnął na swoich kumpli rozprawiających nad bultaco. Potem natknął się na przekrwione oczy Małpy i przytaknął:

– Okej, chodźmy.

8

Razem z kolegami bawimy się w tamowanie deszczówki spływającej betonowym rynsztokiem na skraju drogi. Budujemy zaporę z kamieni i czekamy na ulewę, a potem na naszym sztucznym akwenu bawimy się papierowymi statkami. Ruch jest tu znikomy i zabawa na ulicy nie jest niebezpieczna. Znamy niemal wszystkich, którzy tędy jeżdżą. I ma się rozumieć, zachowujemy najwyższą czujność, bo w każdej chwili może pojawić się packard.

Chowamy się wówczas w niewielkiej odległości od żelaznej bramy, tam, gdzie bierze swój początek cyprysowa aleja. Opowiadam kumplom, że sam don Diego przywiózł nasiona z Rzymu i że nawet cyprysy na cmentarzu San Pedro posadził on. Tak naprawdę to wcale nie musimy się ukrywać, ale szpiegując z ukrycia, zmieniamy nawyk w emocjonującą przygodę.

– Uwaga, jadą!

Limuzyna wysuwa z garażu swój długi pysk i szofer daje klaksonem sygnał do otwarcia bramy. Don Diego i Dita siedzą wygodnie na tylnej kanapie. Auto sunie powoli, z tyłu zaś widać Izoldę zbiegającą w pośpiechu po schodach portyku i goniącą za samochodem.

– Proszę uważać – don Diego ostrzega kierowcę, gdy widzi zbliżającą się córkę.

– Piękną zabawę sobie wymyśliła, nie ma co – utyskuje Gerardo, patrząc czujnie we wsteczne lusterko.

– Niech pan jedzie powoli – mówi don Diego.

– Boże, znowu uciekła Heddzie – załamuje ręce Dita.

Izolda biegnie obok i stara się dotknąć lśniącej karoserii, zdyszana i szczęśliwa. Gdy limuzyna wyjeżdża za bramę, dziewczyna zatrzymuje się jak wryta. Samochód przyśpiesza. Ogrodnik zamyka bramę i Izolda patrzy za uwożącym rodziców pojazdem, aż ten znika jej z oczu.

Odbębniła już haftowanie, zapełniła kilka stron kaligraficznym pismem, czytała, dodawała i odejmowała, miała czas, żeby śmiertelnie się wynudzić, i tego popołudnia czekała ją jeszcze tylko klasa pianina. Zanim zjawi się nauczycielka, Uribe, Izolda mknie co sił w nogach do La Taranteli, domku dla lalek zbudowanego z suszonych cegieł, drewna i cementu. Zamyka się tam, planując z lalkami wypady do lasu nad zamkiem i spotkania z almirajami. Skarży się im na Hedde.

– Nocami płacze jak wieloryb – narzeka.

– Wieloryby nie mogą płakać, bo mieszkają pod wodą – mówi, użyczając głosu austriackiej lalce z trwałą ondulacją.

– Oczywiście, że mogą – odpowiada za inną lalkę, odzianą w holenderski strój ludowy.

– Ja płakałam pod wodą – odpowiada im Izolda.

Zanim lalki zaczną się kłócić, w oddali rozbrzmiewa donośny dzwonek przyzywający na lekcję pianina.

Izolda tłumaczy się Uribe. Poprzedniego dnia miała przegrać ćwiczenie Hanona, ale tak zapamiętała bawiła się z żółwiami w sadzawce, że całkiem o nim zapomniała. Hedda nie omieszkała poinformować o tym nauczycielki, która uwielbia Izoldę. Gładzi ją po policzku i uśmiecha się.

– A teraz wydobędziemy z tego pianina dobre duszki – mówi.

Izolda, urzeczona, wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami. Hedda sapie ciężko i mówi do nauczycielki:

– Zaraz przyniosę pani szklanekę soku.

Uribe rozkłada na pulpicie partyturę i uprzedza:

– Pojawia się, pod warunkiem że zagrasz wszystkie nutki bez pomyłki.

Dziewczynka siada prosto na taborecie, kładzie palce na klawiszach i odchrząkuje.

– Czytaj, Izoldo, czytaj – upomina ją nauczycielka. – Nic ze słuchu, nic z pamięci.

Izolda uderza w kolejne klawisze, palce każdej z rąk powoli rozchodzą się w przeciwne strony klawiatury.

– Ja chcę grać Beatlesów – w przerwie między ćwiczeniami suszu Uribe głowę.

Na ustach nauczycielki pojawia się grymas.

– Posłuchaj, Izoldo – tłumaczy cierpliwie – kiedy zaczniesz już swobodnie czytać klasyczną partyturę, będziesz mogła zagrać każdą muzykę, jaką tylko zechcesz. Kompozytorom, którzy skomponowali te utwory, w najśmielszych snach nie przyszłoby do głowy, że teraz, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, tysiące osób, jak ty i ja, będą się ich uczyć, żeby móc je zagrać.

– Ale Beatlesi... – przerywa jej Izolda.

– Beatlesów – mówi łagodnie nauczycielka – też wzrusza muzyka Bacha.

Izolda patrzy przez okno i widzi, jak krzewy w ogrodzie szamoczą się na wszystkie strony. Spogląda na zegar z wahadłem, wiszący na jednej ze ścian salonu. Jeszcze pół godziny do końca lekcji i dwie do zmroku. Wraca do menueta C-dur, zerkając jednak kątem oka na okno, zaintrygowana kotłowaniną ogrodowych krzaków.

Żeby dotrzeć do zamku, muszę pokonać dwie parcele i przeleźć przez kilka płotów zakończonych drutem kolczastym. Należy mieć się na baczności, bo

w trawie kryją się otwory głębokich studni. I wciąż słyhać ten przeciągły gwizd rozlegający się nocami pośród drzew. Zawsze wracam do domu, jak tylko zaczyna się zmierzchać.

– Tam dzieje się coś niedobrego – ostrzegają nas i może dlatego, że to w końcu o zamek chodzi, wierzymy we wszystko, co słyszemy. – Jakieś dziwne hałasy słyhać w ogrodach, głosy dobiegające nie wiadomo skąd, szybkie kroki i dziwny gwizd.

Opowiadam chłopakom, że Izolda wymyka się po nocach wyjściem dla służby, ubrana w białą piżamę zapiętą pod szyję, z rozpuszczonymi włosami, bez tego upiętego na czubku głowy, torturującego ją koka. Zostawia lekko uchylone drzwi, biegnie pod górę i znika w lesie.

Kilka minut później Hedda pośpiesznie otwiera okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, nie dbając o to, że do pokoju może wlecieć nietoperz. Powodem jej udręki jest niedokończony list, który zaczęła pisać przed chwilą, a który teraz zostawiła na biurku. „Nie traktuj dzielącej nas odległości jak nieistnienia, spojrzysz na nią jak na próbę pozwalającą spotęgować intensywność uścisków, którymi nie możemy się obdarzyć, jak na przestrzeń niezbędną do tego, aby uśmierzyć plotki”. Potem po raz kolejny uskarża się na barbarzyński świat, w którym żyje: „Kiedy idę na targ, tutejsi mężczyźni mówią mi bezceństwa, a jeden wyciągnął nawet to ze spodni, żeby mi pokazać”. Pismo Heddy ścieśnia się przy końcu każdej strony, jakby chciała wygospodarować miejsce na wszystko, co chce powiedzieć. „Jakże inne jest Twoje przyrodzenie”. Przekreśliła „przyrodzenie” i napisała: „ciało, tak żywe w mojej pamięci”. To wtedy właśnie wstaje i otwiera okno. Ochłonawszy nieco, wsuwa rękę pod piżamę i bardzo powoli zaczyna pieścić swoje piersi.

Na górze Dita rozczesuje włosy, żeby rozkruszyć powłokę kleer lacu, którym rano obficie spryskała sobie fryzurę. Nuci przy tym *O main Papa*. W bibliotece don Diego przysypia nad rozłożoną na kolanach gazetą, nieświadom tego, że muzyka wybrzmiała już jakiś czas temu. Nie słyszy jednostajnego chrobotania igły na środku wciąż wirującej płyty.

W lesie włosy Izoldy nabierają kształtu wijącej się w górę spirali – to niestrudzone almiraje splatają jej pukle. Przyozdabiają je lwimi paszczami oraz fioletowymi, żółtymi i białymi fiołkami. Pogodna i ufna dziewczynka z radością pozwala im się czesać, tym ich jedynym rogiem. W efekcie włosy Izoldy przypominają kremowy czub włoskiego loda.

9

Pani Lida jadła śniadanie złożone z gorącej czekolady i bagietki, gdy usłyszała, że ktoś otwiera drzwi wejściowe.

– To ty, synku?! – zawołała z kuchni. Dobiegł ją głuchy dźwięk zamykanych drzwi łazienki i zaraz potem odgłos strugi, rozpryskującej się na ściankach muszli klozetowej. Odłamała kawałek bagietki, umoczyła go w czekoladzie i zjadła bez specjalnej ochoty. Później wstała i postawiła na ogniu dzbanek z czekoladą. Z lodówki wyjęła arepę i położyła ją na płycie piecyka. Ostrożnie dotknęła dłonią blachy, żeby sprawdzić, czy jest dostatecznie rozgrzana. Usłyszała, że drzwi łazienki otwierają się, i powiedziała głośno: – Spuść wodę i umyj ręce.

Rozległ się szum spuszczonej wody i hurgot w rurach w ścianie, za każdym odkręceniem kranu. Po chwili Małpa wszedł do kuchni, usiadł przy stole i oparł się łokciami o blat. Zrobiło mu się niedobrze, gdy zobaczył na talerzu kawałek niedojedzonej i uwalanej czekoladą bułki.

– Ty mnie wykończysz – westchnęła ciężko Lida, rozbełtując czekoladę drewnianą trzepaczką. – Tak ciężko jest powiedzieć, że się nie wróci na noc? Nie zmrużyłam przez ciebie oka.

– No i po co mama na mnie czeka? – zapytał znużonym głosem, starając się omijać wzrokiem *pandequeso*.

– Bo martwię się o ciebie. – Lida wzięła czystą filiżankę i postawiła ją na stole. Obrzuciła syna baczным spojrzeniem i powiedziała z wyrzutem: – Zioniesz wódką na kilometr. – Małpa tylko popatrzył na nią podkrążonymi z niewyspania oczami. – Chcesz czekoladę teraz czy poczekaś na arepę?

– Nie będę jadł śniadania. Chyba pójdę się trochę kimnąć.

– Napij się czegoś. Może trochę soku?

Małpa zgodził się i Lida wróciła do lodówki po plastikowy dzbanek z sokiem z *tamarillo*.

– Był tu ten chłopak – powiedziała.

Małpa, jakby ocknął się z letargu, zapytał z ożywieniem:

– O której?

– Koło dziesiątej. Jak zadzwonił dzwonek, myślałam, że to ty, że znowu zgubiłeś klucz.

– Co chciał?

– Nic. Spytał o ciebie i na siłę chciał mi się wpackować do środka. – Lida postawiła przed Małpą szklanę z sokiem. – Nie wpuściłam go. Ten chłopak budzi we mnie strach, ma jakiś dziwny wzrok.

– Nie powiedział nic więcej?

Lida potrząsnęła głową i przewróciła na drugą stronę grzejącą się na blasze arepę. Małpa wypił sok jednym haustem i z trzaskiem odstawił szklanę na stół.

– Muszę wyskoczyć na miasto – oznajmił.

– Znowu? Przecież dopiero co przyszedłeś, nie spałeś całą noc. Poczekaj chwilę, arepa już gotowa.

– Mówiłem mamie, że nie chcę jeść.

Wstał z krzesła, beknął i przeprosił.

– Zaczekaj. – Lida otworzyła szufladę, z której wyciągnęła rachunki. – Dzisiaj mija termin płatności. Wychodzisz, to mógłbyś po drodze zapłacić.

– Nie, mamie. Teraz jestem zajęty. Po to daję mamie pieniądze, żeby mama tego pilnowała.

– Zajęty czym? – spytała z rozgoryczeniem. – Piciem po całych nocach?

Małpa włożył rękę do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął portfel i rzekł:

– Znowu mama przebimbała całą forszę na opłaty?

– Zapłaciłam czynsz i na nic więcej nie starczyło.

– Niech mama weźmie. – Podał jej kilka banknotów i wyszedł z kuchni.

Zanim zdążył dojść do drzwi, usłyszał, jak Lida pyta, czy wróci na obiad. Nie odpowiedział i wypadł na ulicę.

W całym domu czuć było woń rancza, charakterystyczny zapach nędzy, jakim emanowały przypiekające się na blasze arepy.

W fotelu berlińskiego Theater des Westens don Diego nie mógł powstrzymać emocji; jedną dłonią chwycił za podłokietnik, drugą zaś, po raz pierwszy, uścisnął dłoń Dity, która nie była pewna, czy ściska ją z miłości, czy pod wpływem śpiewu Francesca Merliego występującego właśnie na scenie. Ona również przejęta była do głębi wykonaniem *O muto asil*, gdy poczuła palce don Diega muskające jej palce. Nie odwróciła się, żeby sprawdzić, czy na nią patrzy. Zerkając kątem oka, odniosła wrażenie, że nie. Obydwoje usiłowali stwarzać pozory powściągliwości. Dita modliła się, żeby nie dostrzegł potu zraszającego jej twarz i nie poczuł lodowatego zimna przenikającego na wskroś jej ciało. Nie mogła doczekać się finału ciągnącej się w nieskończoność arii. Dopiero gdy rozległy się owacje i publiczność wstała z miejsc, don Diego puścił rękę Dity i spojrzał jej w oczy.

To było ich czwarte rendez-vous, ale po raz pierwszy poszli razem do opery. Przed spektaklem wstąpili na kawę i pospacerowali po ulicach Berlina. Rozmawiali o sztuce, jedynym, co ich łączyło. Don Diego próbował opisać Dicie Medellín, lecz nie zdołał go wiernie sportretować.

- Są tam wulkany? – spytała.
- Nie. Ale są całkiem niedaleko.
- A góry pokryte wiecznym śniegiem?
- Nie, ale też bardzo blisko.
- A Indianie?
- Niewielu.
- Są dzicy?
- Nie. To my jesteśmy dzikusami.

Nie była pewna, czy mówi serio, czy żartuje. Powtórzyła tylko nazwę miasta: Medellín, akcentując po swojemu podwójne l.

Nocami wciąż jeszcze słyhać było pojedyncze strzały i zawsze ktoś wydzierał się wniebogłosy z jednej lub drugiej strony granicy. Narastający ferment sprawiał, że codziennie wzmacniano posterunki wzdłuż ogrodzenia, zwłaszcza po stronie wschodniej, a jątrzące otwartą ranę gwałtowne starcia pomiędzy żołnierzami i cywilami były na porządku dziennym. Okupacja dobiegła końca, ale Berlin nadal był terytorium należącym do wszystkich i do nikogo. Kiedy więc Francesco Merli

wykonał arię na bis i don Diego ponownie ujął jej dłoń, wyzbywszy się obaw, Dita zaczęła poważnie myśleć o zamianie wstrząsanego niepokojami Berlina na zaciszne Medellín. Było to tylko ulotne pragnienie, zuchwałość niemal, jak na zaledwie czwartą randkę.

– Opowiedz mi o Herscheid – poprosił don Diego.

– Nie ma o czym opowiadać. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Jest tak małe, że prawie nie widać go na mapie. Gdziekolwiek okiem sięgnąć, tylko lasy, góry i doliny.

– To jak krajobraz z opowieści o Heidi.

Roześmiała się.

– Otóż to.

Szli piechotą z teatru do mieszkania, które Dita dzieliła z dwoma przyjaciółkami. Wspomniała mu o maturze w Kassel, o swoich rodzicach, Arnoldzie i Constanzy.

– Arnold! – zawołał don Diego, zaskoczony zbiegiem okoliczności. – To samo imię nosi postać, którą przed chwilą interpretował Merli w *Wilhelmie Tellu*.

– Tak, Arnold – potwierdziła i powtórzyła po hiszpańsku: – Arnoldo.

Don Diego opowiedział jej o swojej rodzinie, o don Rudesindzie ojcu i Rudesindzie synu, o don Alejandrze, o wszystkich donach i doñach swego rozległego rodu. Mówił o kawie, o tkaninach i krzemieniu, o swoich ziemiach i ziemiach krewniaków, których objechanie zabrałoby całe miesiące, o pochodzeniu i krwi. Nie wspomniał natomiast słowem o rysach na tym obrazie, aby jej nie spłoszyć, bowiem gdy dochodzili do domu Dity, już zdecydował, że się z nią ożeni. Nie wyznał jej tego wówczas, gdy wpatrywali się w siebie, nie wiedząc, jak się pożegnać. Być może jak na ten dzień powinno im wystarczyć, że trzymali się za rękę. Odtąd co noc zasypiali w swoich łóżkach, wędrując do siebie myślami.

W połowie tygodnia don Diego zawiadomił Mirka Baumanna, że musi się z nim pilnie zobaczyć, najlepiej w południe.

– Żenię się – oznajmił. Filiżanka kawy, którą Mirko podniósł właśnie do ust, zadrżała niebezpiecznie. – Jesteś pierwszą osobą, która się o tym dowiaduje – powiedział don Diego. – Nawet Dita o niczym nie wie.

– Jak to? – wykrztusił zaskoczony Mirko.

– Mniejsza o to. Najważniejsze, że decyzja została podjęta.

– Dość jednostronnie, nie sądzisz?

– Ona się zgodzi.

– Cóż. Bardzo ci zazdroszczę tej wiary w siebie.

– Tak źle mnie oceniasz?

– Skądże, Diego – Mirko chciał gorąco zaprzeczyć, ale natychmiast się zmitygował: – Nie bierz mnie pod włos, doskonale wiesz, o czym mówię.

– Zresztą nie po to się tu z tobą umówiłem – wyjaśnił don Diego. Wobec zdumienia przyjaciela uznał, że winien mu jest wyjaśnienie: – To znaczy o tym też miałem zamiar ci powiedzieć, ale chcę również, byś mi pomógł w znalezieniu architekta.

– Architekta?

– Mirko, ja myślę poważnie. Pragnę założyć rodzinę i stworzyć jej odpowiednie miejsce do życia.

– O święta naiwności, a ja chciałem cię zabrać tej nocy do Turczynek. Już otworzyły podwoje i doszły mnie słuchy, że sprowadziły posiłki.

– Nie, Mirko, dzisiaj oświadczę się Dicie.

– Wspaniale. Powinna dowiedzieć się o twojej decyzji, rodzina w Kolumbii również.

– To może poczekać.

W oddali rozległa się eksplozja, która strwożyła wszystkich gości kawiarni. W lokalu powiało grozą.

– Gdzie to było? Tutaj czy po drugiej stronie? – spytał don Diego, wyraźnie poruszony.

Mirko, wyglądając przez okno, usiłował dostrzec dym po wybuchu, ale ołowiane niebo nad Berlinem było czyste.

– Pewnie po drugiej stronie – domyślał się. – Ponoć co rusz dochodzi tam do protestów z okazji wizyty Chruszczowa. Chodzą słuchy, że stracono przy tym wielu wicherzycieli, jak to oni mówią.

– Trochę przesadzone te obawy, nie sądzisz? W końcu Chruszczow to nie Stalin – powiedział don Diego.

– Być może, ale to wciąż sowiecki *premier*.

– A ja skłonny byłem uwierzyć, że ten koszmar to już przeszłość.

– To zależy, jaką przeszłość masz na myśli – mruknął z niechęcią Mirko. – Bo był czas, że panował tu porządek.

Don Diego rozejrzał się niespokojnie po sali, upewniając się, że nikt nie usłyszał ostatnich słów Mirka, ale wszyscy wciąż byli pod silnym wrażeniem eksplozji. Kilka minut później ulicą w kierunku wschodnim przejechał na pełnym gazie konwój amerykańskich jeepów. W kawiarni zapanowała cisza. Na twarzach niektórych, jak u don Diega, pojawiła się ulga.

– Całe szczęście, że są tutaj – powiedział cicho.

– Taa. – Mirko nie ukrywał rozdrażnienia. – Może lepiej zamówmy coś mocniejszego, co ty na to? – Don Diego spojrział na zegarek. Była dwunasta trzydzieści. Mirko nalegał: – Uczcijmy przynajmniej twoje oświadczyzny. – Podniósł rękę, żeby przywołać kelnera, ale musiał poczekać dobrą chwilę, bo wszyscy kelnerzy dwoili się i troili, inkasując należności od zbierających się do wyjścia

klientów.

– Wróćmy do naszego architekta – podjął don Diego, ale Mirko pstrykał właśnie palcami w kierunku kelnerów, znów bez powodzenia. Gdy nastąpił wybuch, pobladł bardzo i może dlatego potrzebował jednego głębszego. Kiedy w końcu udało mu się obstalować dwie kolejki, odwrócił się do swojego towarzysza.

– Coś mówiłeś? – zapytał, ale teraz don Diego zdawał się być zaprzątnięty czym innym. Dopiero gdy kelner postawił przed nimi dwa kieliszki, don Diego otrząsnął się z zamyślenia.

– Mirko, czy w dzieciństwie nie marzyłeś o tym, żeby mieszkać w zamku? – zapytał.

– Pewnie tak – odpowiedział Baumann, opróżniwszy kieliszek.

– Czas płynie nieubłaganie i niegdysiejsze marzenia pryskają jak mydlane bańki, ale te, które zostają, zostają na zawsze – odezwał się melancholijnie don Diego, bardziej do siebie niż do Mirka. – Jeśli nie wcielimy ich w życie, zamek rozpada się, zanim położymy pierwszy kamień.

– O jakim zamku mówisz? – spytał Mirko, zbity z pantałyku.

Don Diego sięgnął po spotniały od schłodzonego alkoholu kieliszek, podniósł go do oczu i ujrzał w nim światło połyskujące niczym błysk urojenia. Upił łyk.

– O zamku, w którym zamieszkać – powiedział.

Młody dotknął z czułością czerwonego baku bultaco, po czym delikatnie zsunął palce ku siodełku z czarnej skóry. Bardzo wolno obszedł motocykl, muskając każdy element, aż jego ręce dotarły do kierownicy. Pochwycił ją i zacisnął prawą dłoń na manetce gazu. Dopiero wtedy odszukał wzrok Małpy Riascosa, który obserwował go jak urzeczony.

– Usiądź sobie, poczuj go – zachęcała sprzedawczyni z salonu.

Młody spojrzał na Małpę, jakby prosił o pozwolenie.

– Na razie i tak nie możemy go kupić – rzekł Małpa.

– Nie szkodzi – odparła sprzedawczyni i wsparła się biodrami o krawędź siodełka. – Niech chociaż wie, jakie to uczucie.

Młody uśmiechnął się, a ona nie mogła się oprzeć powabowi jego dołączka w podbródku. Nie odsunęła się, kiedy siadał na motocykl, pozwalając, żeby musnął ją nogą.

– Ale maszyna! – zawołał, gdy tylko usiadł.

– A co, nie mówiłam? – zaszcebiotała.

Młody przywarł udami i łydkami do motocykla i zacisnął zęby, jakby pędził z zawrotną szybkością. Patrząc na niego, Małpa mimowolnie przechylił głowę w bok, a sprzedawczyni westchnęła, po czym wyrecytowała z pamięci:

– Dostaliśmy go zaledwie miesiąc temu. Bultaco astro, pojemność dwieście pięćdziesiąt centymetrów sześciennych, najnowszy model, rocznik siedemdziesiąty pierwszy. Zamówiliśmy pięć sztuk i został nam już tylko ten jeden.

– Ile ma koni? – spytał młody.

Sprzedawczyni zachichotała i położyła dłoń na jego udzie.

– Tu mnie masz – powiedziała. – Ale obiecuję ci, że sprawdzę.

– Nie trzeba – wtrącił Małpa. – I tak go nie kupimy.

Kobieta zignorowała go, wciąż patrząc tylko na młodego.

– To dla ciebie? – spytała. Przytaknął i uśmiechnął się do niej. Nie mogła się pohamować. – Ależ on jest śliczny. – Westchnęła po raz kolejny.

– No co, wystarczy już chyba. – Małpa klasnął w dłonie. – Lepiej zejdź, żeby mu się coś nagle nie przytrafiło.

– Niech mu pan pozwoli. – Sprzedawczyni stanęła w obronie młodego. – Tutaj nic

się przecież nie stanie.

– Mogę się przejechać? – spytał młody proszaco, robiąc słodkie oczy.

– Oj, nie, skarbie – odparła i odruchowo dotknęła kolczyka w płątku ucha. – Co to, to nie. Polityka firmy, wiesz. Gdyby to zależało ode mnie...

– Złaż – ponaglił go Małpa. – Już zobaczyłeś, dotknąłeś i posiedziałeś.

– Dysponujemy systemem sprzedaży klubowej – nęciła kobieta. – Na początek wpłaca się niewielką kwotę, reszta rozbita jest na raty, a co najważniejsze – rozpostarła ramiona i obwieściła z namaszczaniem: – nie jest wymagany poręczyciel.

– Małpa – jęknął błagalnie młody, wciąż wbity w siodełko.

– Złaż, powiedziałem – syknął zniecierpliwiony Małpa.

– Klient sam wybiera wysokość klubowej wpłaty – ciągnęła sprzedawczyni, wciąż z rozłożonymi rękami. – Jest wiele opcji, za tysiąc, za dwa, za trzy...

– Zleziesz w końcu czy nie! – huknął Małpa tak głośno, że aż obejrzeli się inni sprzedawcy i klienci. Sprzedawczyni uśmiechnęła się, chcąc uniknąć katastrofy.

– Oj, jaki srogi tatuś – zażartowała.

Obrażony młody zsiadł z motoru i nie odrywając wzroku od Małpy, rzucił:

– On nie jest moim ojcem.

Małpa wyszedł z salonu bez słowa. Przystanął na chodniku i wyjął paczkę papierosów z kieszonki koszuli. Młody skinął sprzedawczyni na pożegnanie, ona zaś powiedziała bezgłośnie coś, czego nie zrozumiał.

– Ale ty jesteś – odezwał się z wyrzutem do Małpy, próbującego przypalić papierosa na porywistym wietrze.

– Nie – zjeżył się Małpa – to ty jesteś. Jak się umawialiśmy?

Ruszył przed siebie, a młody pośpieszył za nim.

– Gdybym ją bardziej przycisnął, pozwoliłaby mi się przejechać, daję sobie rękę uciąć.

– I co by ci z tego przyszło? Gdybyś go choć drasnął, musielibyśmy za niego zabulić.

– Przecież i tak go kupimy. – Młody zatrzymał się raptownie. – Co nie? – A ponieważ Małpa szedł dalej, nie ruszając się z miejsca, podniesionym głosem spytał ponownie: – Co nie, Małpa?

Małpa stanął i odwrócił się. Młody zastygł w wyzywającej pozie – butny, z dłońmi wciśniętymi w tylne kieszenie spodni, z wysuniętym podbródkiem i przymrużonymi powiekami.

– No, chodź. – Małpa spuścił z tonu.

– Co nie, Małpa? – Młody jednak dopominał się odpowiedzi.

Małpa podszedł bliżej. Obrzucił go dziwnym spojrzeniem, chociaż nie było to spojrzenie z tych niewróżących nic dobrego. Młody przeniósł ręce do przednich

kieszeni i zaczął w nich gmerać. Małpa to zauważył i spuścił oczy.

– Jasne, że ci go kupię – powiedział. – Obiecałem przecież. Ale uprzedzałem też, że musimy poczekać.

– Kiedy? – Młody zacisnął mięsiste usta.

Był sierpień, a w sierpniowe popołudnia zazwyczaj mocno wiało. W oddali, na wzgórzu Nutibara, widać było dziesiątki latawców, które puszczali chłopcy. Małpa obserwował je ponad rozwianymi włosami buńczucznie nastrojonego młodego.

– Nie znudziło ci się słuchać ciągle tej samej odpowiedzi? – zapytał.

– Będę cię nękał do skutku, aż usłyszę konkretną datę.

– Chodźmy stąd. Mam w oczach pełno paprochów od tego wiatru.

Na drugim końcu miasta, w dzielnicy Prado, Twiggy i jej pomagierzy pakowali pośpiesznie srebrne sztuce i tace będące własnością pewnego starego kawalera. Facet kończył pracę o piątej i jechał prosto do domu. Ani chybi dostanie zawału, kiedy zobaczy puste ściany bez obrazów, brak sprzętu gospodarstwa domowego i zastawy stołowej z porcelany. Zemdleje, zobaczywszy porozrzucane szuflady, powywracane meble, pustą garderobę i co najgorsze – otwarty sejf. Kopnie w kalendarz, jak się połapie, że wyczyszczono mu ciepłe gniazdko, podczas gdy jego rodzicielka oglądała telenowelę w ryczącym na cały dom telewizorze.

Świniak wspiął się na pakę ciężarówki i odbierał od Beczki kartonowe pudła i walizki z towarem załadowanym przez Twiggy, która decydowała, co brać, a czego nie. Twiggy była wściekła, bo nie znalazła dla siebie ani ciuchów, ani biżuterii, a jedynie jakieś drobiazgi starego kawalera i sukienki starej. W szkatułce na biżuterię natknęła się na różańce, które dołączyła do łupu tylko dlatego, że wyglądały na złote. Wyszperała też dwie pary spinek należących do pana domu. W sejfie czekało na nich trzysta dolców i plik niezrozumiałych papierów.

Wrzask telewizora był im na rękę, ale tak pechowo się złożyło, że akurat gdy na sekundę przycichły pełne pasji dialogi i muzyka, w kartonowym pudle, które trzymała w rękach Beczka, puścił spód i cała zawartość sturlała się po schodach.

– To ty, Fabio?! – zawołała dama, unieruchomiona w fotelu na piętrze.

Twiggy z wściekłością spojrzała na zlaną potem Beczkę. Obie zmartwiały. Nie doczekawszy się odzewu, staruszka ponowiła pytanie:

– Kto tam się kręci? Fabio, to ty?

Wówczas Twiggy przemogła się i zmieniając głos, odpowiedziała:

– Tak, mam, to ja.

– A, to dobrze – uspokoiła się stara i na powrót zatoneła w serialu.

Twiggy odetchnęła głęboko i pokazała na migi Beczce, żeby się pośpieszyła.

Siedząc w kabinie ciężarówki, nie mogła odżałować rzeczy, które zostały na schodach.

– Nigdy więcej kartonowych pudeł – orzekła. – Od tej pory będziemy używać

wyłącznie płóciennych worków.

– Myślałam, że butelki bezpieczniej będzie zapakować do kartonu – tłumaczyła się Beczka.

– Butelki ważą od groma. Szkoda, bo to był alkohol z importu. Można było za niego wyszarpnąć dobrą cenę – powiedziała Twiggy, po czym dodała: – Że też nie dało rady buchnąć telewizora.

Wyciągnęła rękę i włączyła radio. Przeleciała całą skalę i zatrzymała się na szlagierze Nina Bravy, hiszpańskiego piosenkarza, którego sława zataczała coraz szersze kręgi. Rozpogodziła się i zaśpiewała:

– „Ja wiem, że zmienisz się, gdy zrozumiesz, jak bardzo kocham cię, ja wiem, że zmienisz się i nigdy już nie odejdziesz, nie...”.

– Ojjoj, piękna – rzucił Świniak – załazł ci mocno za skórę ten Małpa.

Twiggy parsknęła śmiechem.

– Małpa nie może beze mnie żyć i to was boli, piździelce.

– Żeby chociaż był w moim typie – skrzywiła się Beczka.

– Nie możecie zdzierzyć, że skacze koło mnie – rzuciła z wyższością Twiggy i znów zaintonowała: – „Wiem, że będziesz czekać, czekać mnie, wiem, że wtedy zmienisz się”.

Ciężarówka toczyła się ospale przez centrum Medellín. Panował duży ruch, wszyscy wychodzili z pracy. Nagle w oddali, pomiędzy sznurami aut, Twiggy dostrzegła policyjną blokadę.

– Pały – ostrzegła.

– Gdzie? – Beczka pobladła.

– Z przodu. Świniak, skręcaj tutaj.

Twiggy wystawiła rękę przez okno, pokazując innym kierowcom, że chce skręcić w najbliższą przecznicę.

– Ciągle szukają staruszka – powiedział Świniak.

– Jakby go ktoś woził w bagażniku gabloty – rzuciła drwiąco Beczka.

– Może szukają porywaczy?

– A może już wiedzą, kto to zrobił? – Beczka utkwiała wzrok w Twiggy, która siedziała w milczeniu, wciąż wystawiając rękę za okno. – Może już wiedzą, co, piękna? – nie odpuszczała.

– Bużkę im pokaż, nie rękę – powiedział Świniak.

Twiggy wychyliła się przez okno i zaczęła się mizdrzyć do faceta z samochodu obok, żeby pozwolił im się wcisnąć. Zatrzepotała rzesami, uśmiechnęła się, a kiedy ich przepuścił, posłała mu całusa. Przebiwszy się w końcu do rogu ulicy, jeszcze zanim skręcili, Twiggy rzuciła ostatnie spojrzenie w kierunku policjantów z blokady.

– Ene, due, rabe, Chińczyk goni żabę, żaba do strumyka, śmieje się z Chińczyka.

W położonej wyżej dzielnicy Manrique, w swoim domu, Małpa wyrzucał wszystko z szafy na podłogę, podczas gdy młody leżał rozwalony na łóżku i przeglądał „Mechanikę dla Każdego”. Ciuchów nie było znowu tak wiele, ale Małpa, klnąc na czym świat stoi, ogołocił szafę do ostatniej skarpetki.

– Sprawdzę w suszarni – powiedział i wyszedł.

Zajrzał do kosza z brudną bielizną, między prześcieradła wiszące na sznurkach i kuknął do pralni. Nic nie znalazłszy, kopnął wiadro, w którym rozmiękał mop. Wrócił do pokoju i jeszcze raz spytał młodego:

– Jesteś pewny, że jej nie brałeś?

– Ja? Niby po co?

– Zawsze tak się wymigujesz...

– Patrzyłeś u swojej mamy?

– Mama nie nosi takich rzeczy.

– Ty też nie. A masz jedną.

Małpa znów wyszedł. Otworzył drzwi do pokoju Lidy i ostrożnie przejrzał jej czarne i szarobure ubrania. Obszukał wszystko z góry na dół, jednak bez rezultatu – ani śladu krótkiej czerwonej spódniczki.

Opadł ciężko na łóżko przy nogach młodego, odwrócony do niego plecami. Potar mosił sobie włosy i rzekł:

– Ta spódniczka nie ma prawa zginąć. Wiesz, ile dla mnie znaczy.

– Ta spódniczka była do wyrzucenia, Małpa. Daliśmy jej niezłe popalić.

Małpa odwrócił się do niego i posłał mu wściekłe spojrzenie. Młody odłożył pismo i podniósł się na łóżku.

– Prędzej wywalę ciebie niż tę spódniczkę – powiedział Małpa, po czym zerwał się i poszedł do łazienki.

Ochlapał twarz zimną wodą i powąchał się pod pachami. Wtedy usłyszał wołanie młodego.

– Co jest? – zapytał, opierając się o futrynę.

– Spójrz no do góry – powiedział zagadkowo młody.

Pod sufitem wisiała lampa z cylindrycznym abażurem z czerwonego akrylu, którą Twiggy zwędziła w jakimś domu i sprezentowała Małpie. Znad lampy wystawał rąbek czerwonego, znajomego materiału.

– A co ona tam robi?

Spojrzeli na siebie i jak na komendę wybuchnęli szaleńczym śmiechem. Rycząc jak opętany, Małpa zwałił się na łóżko, zgięty wpół, a młody z rechem odbijał się od materaca, próbując dosięgnąć spódniczkę. Po jednym z takich podskoków pochwyił ją i upadł obok Małpy. Nie przestając się chichrać, turlał się na łóżku wtulony w swoją czerwoną zdobycz, zaś Małpa wtulał się w niego. Chwilę potem Małpa namacał ręką kontakt i zgasił światło.

Każdego ranka, zaraz po raptownym przebudzeniu, don Diego domagał się wyjścia do ubikacji. Przez pierwsze dni jego stróże nie zgadzali się, żeby zamykał drzwi, aż w końcu wysłuchali usilnych zapewnień swego podopiecznego, że nie istnieje najmniejsza możliwość ucieczki przez ciasne okienko nad prysznicem. Ledwie zmieściłoby się w nim małe dziecko. Wówczas pozwolili mu na luksus intymności, chociaż i tak Małpa nakazał wyrwać zasuwkę, żeby stary nie mógł się zaryglować. Dopiero piątego dnia don Diego zdołał usiąść na brudnym klozecie bez deski. Nie pozwalano mu się wykąpać, ale on wciąż domagał się mydła i ręcznika, żeby móc się obmyć, choćby w umywalce. Nigdy tej prośby nie spełniono. Dostał jedynie rolkę papieru toaletowego. Pomimo to codziennie rano ochlapował sobie twarz lodowatą wodą i zwilżał resztkę włosów.

Zamknięty na powrót w tej norze, z żarówką świecącą przez całą dobę, tracił poczucie czasu. Wyłącznik był na zewnątrz, żeby nie mógł zgasić światła. Sprawdzał, czy dzień jest pochmurny, czy świeci słońce, przytykając oko do szpary między deskami, choć nie miało to dla niego większego znaczenia, bo i tak zawsze panował przejmujący ziąb. Gdy padał deszcz, lało się z sufitu i zmuszony był przesuwać pryczę w suche miejsce. Mimo wszystko któregoś ranka zaczął śpiewać.

– Stary śpiewa – zakomunikowali Małpie kompani, gdy tylko się zjawił.

– I co z tego?

Brewka uniósł gęste brwi.

– Kazałeś mówić o wszystkim, co się wydarzy – odezwał się niepewnie.

– Ani chybi coś knuje – orzekł Chwast.

– Nieee. To po to, żeby nas sprowokować – powiedział Małpa, a po chwili zapytał: – Słysząc go z dworu?

– Chyba nie – odparł Chwast.

– Jak to, żeby nas sprowokować? – spytał Brewka.

Małpa zbył go i wyszedł na korytarz. Gdy dotarł pod drzwi izby, przystanął, zastanawiając się nad czymś. Po chwili kiwnął na Brewkę, żeby otworzył kłódkę.

– Dobry wieczór, don Diego. – Stary modlił się twarzą do ściany. Poszeptywał coś z zamkniętymi oczami, telepiąc się z zimna. – Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – usprawiedliwił się Małpa. Don Diego zignorował go. Małpa zatoczył wolnym

krokiem koło po izdebce, patrząc w podłogę. Po chwili rzekł: – Ostrzegałem ich, żeby ani mru-mru policji, i co? Gliny siedzą w tym po same uszy. Pańska rodzina nie chce zaakceptować moich warunków. Wygląda na to, że pański los, inżynierze, w ogóle ich nie obchodzi.

Don Diego uśmiechnął się.

– Wręcz przeciwnie. Obchodzi ich tak bardzo, że ściśle wypełniają moje polecenia.

Małpa usiadł na krześle.

– Proszę mi powiedzieć, czy gdyby był pan władny uratować czyjeś życie, zrobiłby to pan?

– Oczywiście. Uczyniłem to już wiele razy i pan doskonale o tym wie. Ale ten przypadek to co innego.

– W tym przypadku jeśli rodzina będzie mogła pana uratować, nie pozwoli panu zgnić w tej norze.

Don Diego uśmiechnął się znowu.

– Moja rodzina może mi oczywiście pomóc – zgodził się. – Ale nie tak, jak pan by tego pragnął.

– Nie zaryzykują pańskiego życia.

– Przecież to pan w pierwszej kolejności wystawia je na niebezpieczeństwo. Poza tym jakkolwiek wysoko wycenić by życie, zawsze będzie to cena zbyt niska. Tutaj pieniądze mają znaczenie drugorzędne. To kwestia zasad.

– Jest pan w błędzie, don Diego. To wy dyktujecie ceny wszystkiego, to wy kupujecie zasady, sumienie, nawet miłość. Doskonale wiecie, że spokój ducha ma swoją cenę i tę właśnie cenę rodzina za pana zapłaci. – Zamilkł, żeby nabrać powietrza, i rozpiął nieco suwak kurtki. Don Diego posłał mu wyzywające, zimne spojrzenie. Nagle Małpa zmienił się na twarzy. – Proszę, oto dowód.

Pociągnął suwak w dół i z wewnętrznej kieszeni kurtki bardzo powoli wyciągnął czerwoną spódniczkę.

Don Diego rzucił się na niego, spurpurowiały.

– Skąd to masz?! – wrzasnął, próbując mu ją wyrwać. Małpa schował szmatkę za plecy i oparł się o ścianę. Odepchnął don Diega, aż ten się zachwiał. Resztkami sił stary przypuścił jeszcze jeden szturm. – Oddaj mi to, kanalio!

Małpa odtrącił go bezpardonowo i don Diego upadł na wznak na pryczę. W drzwiach pojawiła się głowa Chwasta.

– Stało się coś? – spytał, ściskając w dłoni pistolet.

– Nic, nic – odparł Małpa. – Szanownemu panu zachciało się zgrywać chojraka.

Don Diego usiłował wstać. Małpa odprawił Chwasta. Wziął spódniczkę w obie dłonie i zaczął ją miętosić, przyciskając do piersi.

– No, inżynierze, jakiej ceny nie zapłaciłby pan za możliwość dotknięcia tego

ciuszka, pościskania go, powąchania, przespania się z nim? – Don Diego usiadł z trudnością i zalał się łzami. – Ile by pan dał? – powtórzył Małpa. – Ile ja bym za to chciał, jak pan sądzi? – Don Diego ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się przejmującym płaczem. Czasem, nad ranem, popłakiwał sobie po cichu. Nie tyle z powodu swej obecnej sytuacji, ile z powodu osaczających go wspomnień. Zawsze gdy myślał o Izoldzie, nie mógł powstrzymać się od łez. Ale płakał w samotności, bezgłośnie. Teraz po raz pierwszy rozplakał się w obecności swoich dręczycieli. Małpa przytknął spódniczkę do ust. – Gdybyśmy byli w pańskim zamku – powiedział – już dawno wyjąłby pan portfel i zapłacił mi tyle, ile bym zażądał, prawda, don Diego? Ale teraz sytuacja jest całkiem inna. Nie jesteśmy bynajmniej w zamku, a pan nie ma przy sobie portfela i nie może pójść do banku. Chociaż – zbliżył się do pryczy – udowodnię panu, że wszystko ma swoją cenę i jest wiele sposobów uregulowania zapłaty. – Teatralnym gestem położył na dłoni spódniczkę, jakby trzymał coś niebywale kruchego, i dodał: – To, co przywołuje tak wiele drogich nam wspomnień, co jest tak ważne dla nas obu, to, czego ani pan, ani ja nie oddalibyśmy za żadne pieniądze, właśnie to – podkreślił – może pan mieć za jeden, skreślony własną ręką liścik. – Czekał na reakcję, ale don Diego w dalszym ciągu tylko zakrywał twarz. – I co pan na to, inżynierze?

Po chwili ciszy don Diego podniósł czerwone, zaszklone, smutne oczy i z całkowitym spokojem, jakby na powrót stał się tym samym starym, uwięzionym człowiekiem, wyciągnął się na wznak na pryczy.

– Niech ją pan zatrzyma – powiedział obojętnym tonem. – Ja mam ją już w lepszym miejscu.

Małpa opuścił rękę, zwinął spódniczkę w kłębek i wcisnął tam, skąd ją wyjął.

– Jak pan sobie życzy.

Ruszył z wolna w kierunku drzwi, chwycił za klamkę i znieruchomiał.

– Ze mną jak z dzieckiem – rzucił na pożegnanie. – Każdą decyzję podjętą przez pana i pańską rodzinę przyjmę za dobrą monetę. Jeśli postanowicie zapłacić, wezmę forszę. Jeśli pospołu zdecydujecie, że ma pan umrzeć, możecie na mnie liczyć. I wszyscy będą zadowoleni, nieprawdaż, don Diego?

Począł jeszcze kilka sekund. Gdy już dał za wygraną i chciał wyjść, usłyszał głos swojego więźnia:

– Proszę mi wyświadczyć przysługę.

– Słucham szanownego pana.

– Niech pan, z łaski swojej, zgasi światło.

Małpa chciał trzasnąć drzwiami, ale się powstrzymał. Wyszedł, nie dając po sobie poznać, że w środku wszystko się w nim gotuje. W przelocie rzucił okiem na kontakt. Przyśpieszył kroku, żeby jak najszybciej wydostać się na zewnątrz i ochłonać na zimnym, rześkim powietrzu. Z oddali usłyszał jeszcze, że don Diego

nuci jakąś piosenkę.

Dita wyjrzała przez okno swojego pokoju i zobaczyła kręcących się po terenie zamku żołnierzy, policjantów i uzbrojonych cywili. Za bramą czatowało kilku dziennikarzy. Na dole, w salonie, naradzali się krewni don Diega.

Już pierwszego dnia oświadczyła, żeby robili to, co uznają za stosowne. Jak na razie jednak nie osiągnęli porozumienia. Jedni uważali, że bez przekonujących dowodów na to, że don Diego żyje, nie należy dawać żadnych pieniędzy, inni byli zwolennikami wypłacenia części gotówki, co miałoby pozwolić na zbliżenie stron i rozpoczęcie pertraktacji, jeszcze inni opowiadali się za siłowym uwolnieniem porwanego. Do Dity docierały zaledwie strzępy rozmów. Po tylu latach wciąż jeszcze myślała po niemiecku, a nawet miała nieodparte wrażenie, że wraz z upływem czasu jej hiszpański staje się coraz gorszy.

W salonie ktoś powiedział: „Niemożliwe”, inny wykrzyknął: „To czyste szaleństwo!”, trzeci: „Nie ma wyboru”. Dita byłaby im wdzięczna, gdyby rozmawiali ciszej. Chciałaby również, żeby policjanci zniknęli z ogrodu. Guzmán skarżył się, że traktują kwiaty, wyrzucają gdzie bądź resztki jedzenia, a nawet załatwiają swoje potrzeby pod osłoną krzewów. W ciągu nocy bezustannie słychać było dźwięk krótkofalówek i chociaż nie spała więcej jak dwie godziny na dobę, potrzebowała ciszy, aby zregenerować siły.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na zegarek. Krewni don Diega prosili ją, żeby nie podnosiła słuchawki, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Policja zainstalowała sprzęt do nagrywania telefonicznych rozmów i jak ją poinformowano, przy telefonie miał czuwać non stop jakiś specjalista. Drażniła ją obecność tylu ludzi w jej domu. Znowu usłyszała hałaśliwą wymianę zdań przekrzykujących się nawzajem osób, ktoś nawet gruchnął śmiechem. Spojrzała ponownie na zegarek, zaciągnęła kotarę i wróciła do łóżka. Zamknęła oczy i westchnęła. Próbowała wyobrazić sobie męża przechodzącego gehennę, lecz nie zdołała skonstruować przekonującego obrazu. Przez pierwsze dni nie miała nawet pewności, czy to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. To było tak, jakby w jej codzienność implantowano fragmenty rzeczywistości, od której don Diego zawsze starał się ją izolować.

Usłyszała szcęk zamykanej bramy wjazdowej. Być może ktoś z rodziny opuszczał zamek, a może właśnie wjeżdżał. Słyszała jeszcze stłumione szmery, które z wolna rozplynęły się we śnie. Niedługo potem otworzyła jednak oczy z przerażeniem. W salonie muzycznym ktoś uderzył w klawisz pianina.

13

Małpa odwrócił się plecami do Twiggy i zarzucił na siebie koc. Dziewczyna siedziała oparta o wezglowie łóżka, z obnażonymi piersiami i rękami wciśniętymi między uda. Zabawiała się zginaniem i prostowaniem palców stóp.

– Jak nie urok, to sraczka – prychnęła z wyrzutem.

– Mów ciszej.

– No bo tak, zawsze coś – złościła się.

– O czym ty mówisz?

– Jak nie jesteś na cyku, to jesteś zmęczony albo rozstrojony, bo masz masę problemów na głowie. Teraz znów przeszkadzają ci ludzie.

Małpa przekręcił się w jej stronę.

– A żebyś wiedziała, że z tymi tam, za ścianą, nie mogę.

– Teraz nie możesz – fuknęła, rozjątrzona. – Ale zanim mnie tu zaciągnąłeś, szpanowałeś przed nimi, że tak mi dogodzisz, że zobaczę gwiazdy.

– Możesz mówić ciszej, co?

Twiggy podniosła się z łóżka i zaczęła zbierać swoją garderobę rozsianą na podłodze.

– Nie wkurwiał mnie, Małpa, dobra? – rzuciła, wciągając koszulkę. Potem uklękła i zajrzała pod łóżko.

– Zrozum mnie, piękna, nie mogę się skoncentrować z tym starym na karku.

Dziewczyna wciągnęła sweter, ale dalej szukała czegoś na czworakach.

– No tak, tego tylko brakowało. Teraz wszystkiemu winny jest stary. – Wstała z podłogi na wpół ubrana i jednym pociągnięciem zerwała z Małpy koc.

– Co ty wyprawiasz, szajbusko? – zaprotestował, ona zaś tym samym tonem odparła:

– A co, mam wyjść z gołym tyłkiem?

Małpa zasłonił się rękami, skulił, przeklął to pieprzone zimno i kolejny raz poprosił Twiggy, żeby się tak nie wydzieriała.

Gdy w końcu zlokalizowała swoje majtki, wydała się Małpie nieco spokojniejsza. Wówczas powiedział miękko:

– No chodź, piękności moje, chodź do mnie. – Spojrzała na niego ze złością, wciągając spodnie. – No, chodźże – nastawał Małpa.

– Czego chcesz? – spytała.

– Połóż się przy mnie.

Twiggy przelazła na czworakach przez łóżko, skrzypiące pod najlżejszym naciskiem, i wyciągnęła się obok, zaglądając Małpie w oczy. Przeciągnął palcem po grzbiecie jej nosa i spróbował przycisnąć do powieki odklejającą się sztuczną rzęsę.

– Zostaw ją, jak jest – mruknęła Twiggy.

– Opuść mi, piękna. Następnym razem to sobie odbijemy.

– A kto ci powiedział, że będzie następny raz?

Małpa zaśmiał się.

– Nie jeden, ale całe mnóstwo razy.

– Ach tak?

– Zaczekaj. – Wyprężył się jak struna, żeby dosięgnąć spodni. Wydobył z kieszeni gruby zwitek banknotów i wyłuskawszy kilka z nich, podsunął dziewczynie. – Masz. Kup sobie coś ładnego.

– Za to? – Twiggy zwróciła mu banknoty i wyrwała cały zwitek. Potem pocałowała go w usta i szepnęła: – Teraz to co innego.

Wstała i wsunęła stopę w but na niebotycznie wysokim obcasie.

– Doliniara! – zawołał za nią Małpa.

Dziewczyna pokuśtykała przez pokój, rozkopując męskie ubrania leżące na podłodze. Pod koszulą znalazła drugi but.

– Twiggy – powiedział Małpa. – Wiesz, o co chodzi, no nie? – Wzruszyła ramionami, jakby na dowód, że nic nie wie. – Chłopakom o tym tutaj pary z gęby, rozumiemy się?

Wystukała obcasami drogę do drzwi i kładąc dłoń na klamce, powiedziała z przekąsem:

– A o czym tu się rozwodzić, skoro do niczego nie doszło.

– Otóż to – podchwycił Małpa, ale dziewczyny już nie było.

Wyciągnął się na łóżku, rozrzucił nogi na boki, pogładził się po znienawidzonym brzuchu i dotknął swoich klejnotów, które znowu sprawiły mu zawód, przynosząc wstyd przed Twiggy. Coś jednak drgnęło pod ciepłą dłonią. Żyje, pomyślał. Usłyszał jej gromki śmiech i rzenie chłopaków. Wyobraził sobie najgorsze.

– Podła dziwa – syknął, podczas gdy członek w jego dłoni nabrzmiewał.

Przed chatą Twiggy nie mogła uruchomić lambretty. Silnik wystygł. Rudy, który akurat stał na czujce, patrzył, jak dziewczyna próbuje raz za razem odpalić skuter z kopa, ale ten milczał jak zaklęty.

– Może ja spróbuję? – zaoferował się. Twiggy odsunęła się na bok i Rudy, który miał końskie kopyto, uderzył kilka razy w kopniak, ale też bez skutku. – Niech trochę odpocznie – poradził.

– Odpocznie? Od czego? – zirytowała się Twiggy. – Przecież stoi tu od dwóch godzin.

– Może to przez wysokość – powiedział Rudy, po czym zasepił się i dodał: – Żeby to tylko nie był tłok.

– Małpa dostaje już pewnie białej gorączki – rzuciła Twiggy.

Małpa złościł się, że jeździ tym skuterem, bo strasznie jazgotał. Robił wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i dlatego zabronił słuchania muzyki, pogaduszek przed domem i wszystkiego, co mogłoby powodować hałas. Któregoś dnia Brewka zaproponował, że przyprowadzi psa, który miałby ich ostrzegać przed niepożądanymi gośćmi, ale Małpa uznał, że pies zaraz zacząłby wałęsać się po okolicy, ujadać całymi nocami z powodu jakiejś sowy, mógłby nawet ugryźć kogoś i wtedy dopiero wpakowaliby się w kłopoty.

– Chodź, spalimy fajkę – rzucił Rudy do Twiggy, ale ta postanowiła wybrać się na krótki rekonesans, wykorzystując resztki światła gasnącego dnia.

Ściany chałupy pokryte były strupami starej farby i wielkimi liszajami wilgoci. Okna i drzwi trzymały się w ramach na słowo honoru. Twiggy przeszła obok kuchennego okna i ujrzała Carlitosa skwapliwie siekającego cebulę. Nie dostrzegł jej, ona zaś poszła dalej, do następnego okna, którego jedną z okiennic szarpał wiatr. Za szybą ujrzała Małpę, lecz nie chcąc, żeby odkrył jej obecność, cofnęła się gwałtownie. Zobaczyła jednak coś, jeśli się jej nie przywidziało, co popchnęło ją, by ponownie zajrzeć do środka – Małpa onanizował się frenetycznie. Miał zamknięte oczy, dłoń jego wolnej ręki była wyprężona, a rozchylone, czerwone usta przypominały pąk kwiatu.

Rozgniewana, ruszyła szybkim krokiem na tyły chaty i tam zastygła w bezruchu, żeby dojść do siebie. Przy każdym nerwowym oddechu z jej ust wydobywała się para. Dotknęła rzes. Za plecami usłyszała czyjś kaszel. Odwróciła się i zobaczyła okno zabite grubymi dechami, z których sterczały niedobite do końca, lśniące łby gwoździ. Dostrzegła strużkę światła wyciekającą jakąś szczeliną i przykucnęła, żeby zajrzeć do środka.

W pierwszej chwili nie mogła się rozeznąć w tym, na co patrzyła: fragment starej pryczy, coś dziwnego, jakiś pionowy kształt, oparcie, chyba krzesła, talerz na podłodze. Zaraz jednak to coś drgnęło i wszystko nabrało sensu. Don Diego klęczał na podartym sienniku i modlił się z rękami skrzyżowanymi na piersi. Poruszał ustami, z których dobywały się niezrozumiałe dla Twiggy poświsty. Oświetlała go żarówka żarząca się dniem i nocą, jakby już samo uwięzienie nie było wystarczającą udręką. Patrzyła na niego tak długo, aż jego postać zaczęła się rozmazywać – to łza wypełniła jej szpiegujące oko. Wytarła je szybkim ruchem i na powrót przytknęła do szpary. Don Diego trwał w tej samej pozycji. Niewiele o nim wiedziała, tyle tylko, że był bogatym, dobrym i miłosiernym człowiekiem. I że był

cokolwiek dziwny. Tymczasem przez szczelinę widziała nieszczęśliwego, modlącego się starca, wspartego czołem o ścianę. Okutany w ruanę i sponiewierany, nie wyglądał na krezusa.

Poczuła, że jej rzęsy dotykają deski, i nieznacznie się cofnęła. Zamrugła, a kiedy zerknęła znowu, napotkała oko don Diega, wyzierającego na zewnątrz tą samą szparą. Szarpnęła głową w tył i serce załomotało jej w piersi. Sekundę później podskoczyła ze strachu, bo nagle, po drugiej stronie chaty, ciszę rozdarł neurotyczny silnik lambretty.

Puściła się pędem przed siebie. W obłokach dymu dostrzegła Rudego. Trzymał skuter na pełnym gazie w obawie, żeby nie zgasł.

– Zatrzesz silnik, pacanie – skarciła go Twiggy. – Złaź. – Założyła torbę przez ramię, usiadła na siodełku, włączyła światła i szarpnąwszy trzy razy, ruszyła. – Dzięki, lalka – rzuciła jeszcze do Rudego, on zaś jęknął tonem skargi:

– Nawet buziaka za fatygę?

Nie usłyszała go. Minęła bramę, zostawiając za sobą kłęby białych spalin buchających z rury wydechowej, i wtopiła się w gęstą noc Santa Elena.

Dwie dziewczyny i czterech chłopaków śmignęło w kabrioletcie z muzyką rozkręconą na cały regulator. Wrzeszczeli z entuzjazmem *Get back* Beatlesów, wchodząc w zakręty z piskiem opon. Faceci mieli długie włosy, bokobrody sięgające szczęki i okulary przeciwsłoneczne, dziewczyny zaś – trapezy do połowy uda, a nawet nieco krótsze.

Małpa Riascos popijał piwo z kumplami przy stoliku przed lodziarnią i klarował im, że najlepsza będzie niedziela, bo wtedy jest mniejszy ruch. Gdy po raz kolejny przejechała przed nimi ekipa w kabrioletcie, umilkł na chwilę, po czym wrócił do przerwane go wątku:

– Rano siedzą zwykle w zamku, potem jadą na mszę, potem na obiad gdzieś do rodziny, a po południu zagląдают do biblioteki w Itagüí.

– Jeśli przyjdzie nam wyjąć dziewczynę ze mszy, to ja się nie piszę – zadeklarował Brewka.

– Ani ja – powiedział Pała i przeżegnał się.

– Dla spokoju waszych dusz, siostrzyczki miłosierdzia, zwiniemy ich... – Ulicą znów przemknął kabriolet, a pisk opon na rogu sprawił, że wszyscy się odwrócili. – Pieprzone maminsynki – warknął Małpa, a pieprzone maminsynki, potrząsając głowami, ryczały w najlepsze: *Get back to where you once belonged!* – Zwiniemy ich, jak tylko wyjdą z biblioteki – ciągnął, gdy kabriolet zniknął im z pola widzenia.

– Zanim wsiądą do wozu? – spytał Rudy.

– Wóz, znaczy się limuzyna? – spytał Brewka.

– Ja bym to zrobił później – powiedział Małpa.

– Dlaczego? – spytał Brewka.

Małpa już miał otworzyć usta, gdy na tym samym rogu, z za którego wóz wyłonił się dwukrotnie, po raz kolejny zapiszczwały opony.

– *Get baaack, get baaack!*

– Nadziane kmioty – margnął wściekle, patrząc na sunący przed nimi samochód. Zaczekał, aż odjadą, i spytał: – Co to ja mówiłem? – Ale Brewka, Pała, Rudy i Pluskwa spoglądali na siebie w milczeniu. Łyknęli piwa, a podminowany Małpa potarł sobie twarz i poczochnął włosy. – Będziemy potrzebować więcej ludzi – kontynuował. – Co najmniej dwóch, z jajami i kumatych.

- Ja mam jednego – powiedział Pluskwa.
- Czysty?
- Mniej więcej.
- Znasz kogoś jeszcze w policji? – Małpa zwrócił się do Pały, który zacisnął usta w skupieniu.
- Może. Musiałbym się wywiedzieć.
- Przypomniałem sobie! – zawołał nagle Brewka.
- Co?
- Co mówiłeś. Powiedziałeś, że wolisz zgarnąć dziewczynkę, dopiero jak wsiądą do auta.
- Już nie jest taką dziewczynką, Brewka, to prawie panienka – poprawił go łagodnie Małpa.
- Po co czekać, aż wsiądzie do samochodu? Dlaczego nie możemy zgarnąć jej wcześniej? – zapytał Brewka, ale wszyscy, łącznie z Małpą, byli już zaabsorbowani ponownym pojawieniem się kabrioletu, wraz z jego grzmiącym radiem i rozwrzeszczanymi młodziakami.
- Bo tak mi się, kurwa, podoba – burknął po chwili Małpa.
- Raptownie odsunął się z krzesłem, wstał i wyszedł na ulicę. Przystanął na środku z lekko rozstawionymi nogami, wyjął zza paska dziewięciomilimetrowego makarowa i wycelował przed siebie, w kierunku, z którego wyłaniała się właśnie maska kabrioletu. Kilka osób z ogródka lodziarni schowało się pod stoliki. Kumple z paczki byli pod wrażeniem – wyglądało na to, że Małpa postanowił zatrzymać samochód kulą, jeśli zajdzie taka potrzeba.
- *Get baaack, get...!*
- Kierowca kabrioletu, zobaczywszy kilka metrów przed sobą Małpę z wycelowaną weń lufą pistoletu, dał po hamulcach tak gwałtownie, że auto prawie zaryło zderzakiem w asfalt. Cała szóstka oniemiała z przerażenia, a dziewczyny zawyły jak opętane. Kierowca w popłochu wrzucił wsteczny bieg i nie patrząc do tyłu, nacisnął do dechy pedał gazu. Przydzwonili w latarnię i zaraz potem wyrwali do przodu, zdzierając gumę z opon. Małpa stał nieruchomo, trzymając ich na muszce, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Potem wcisnął makarowa za pasek i wrócił do stolika.
- Na czym to stanęliśmy?

Na zakończenie klasy Izolda ćwiczy przebiegi gamowe przez wszystkie siedem oktaf pianina dla wzmocnienia małych palców. Nauczycielka utrudnia jej życie i każe grać w górę *staccato*, z powrotem zaś *legato*, wyjaśniając, że to ćwiczenie na zwinność.

Po lekcji dziewczynka proponuje nauczycielce, że odprowadzi ją do wyjścia. Tak naprawdę to jedynie wybieg, żeby móc wskoczyć na rower, jak tylko Uribe sobie pójdzie. Może pedałować jedynie od garażu do bramy, co nie jest długim dystansem, wszystkiego góra sto metrów, ale dla Izoldy to prawdziwa autostrada do wolności. I tutaj nie może zabraknąć ostrzeżeń Heddy, która zawsze wyrasta spod ziemi, żeby uprzykrzać jej życie swoimi zakazami.

– Nie powinnaś wsiadać na rower w sukience, szalona dziewczyno.

Izolda puszcza jej reprimendy mimo uszu i wspina się na skraj lasu, pchając przed sobą rower. Tam wsiada znowu i pedałuje między rosnącymi z brzegu drzewami, ale zawadza o jakąś niską gałąź i przewraca się w zarośla.

W gęstwinie zalega cisza. Nie porusza się ani jeden liść, nie słychać choćby jednego ptaszka, nie kołyszą się nawet czubki najwyższych drzew. Tylko pięć jabłek, które wiozła w koszyku na kierownicy, toczy się bezgłośnie po ziemi. Izolda leży na wznak. Otwiera oczy i widzi blask jasnoblękitnego nieba sączący się przez gałęzie, wyglądające z tej pozycji jak ręce olbrzyma. Tuż obok niej, na końcu długiego liścia, przycupnął zielony świerszcz, który ma taką minę, jakby się jej przyglądał. Izoldę boli ramię. Pyta świerszcza, czy to prawda, że słyszy kolanami. Owad milczy, nie cyka, nie wachluje się skrzydełkami, nie skacze. Siedzi nieruchomo na liściu. Izolda ogląda bolące ramię: rękaw jest rozdarty i zakrwawiony, nieco poniżej barku dostrzega zadrapanie.

– *Isolde!* – z oddali słyszy swoje imię.

Zrywa się na równe nogi, otrzepuje sukienkę i zbiera rozsypane jabłka. Świerszcz skacze na plecy Izoldy, czepiając się sukienki, choć ona nic o tym nie wie. Wchodzi do lasu, nucąc jakąś piosenkę.

– Mówię panu, don Diego, można było zwariować – powiedział Małpa. – Wiedziałem, że ona tam jest, widziałem jak znika w gęstwinie, dochodził mnie jej

śpiew, słyszałem, że kluczy po chaszczach, lecz jej samej nie widziałem. Dlaczego nikt nie poszedł sprawdzić, co się tam dzieje?

– Guzmán chodził wiele razy i niczego nie znalazł.

– Skąd w takim razie te jej cudackie fryzury? – Don Diego zmarszczył czoło i spojrział w drugą stronę. Małpa nauczył się z czasem odczytywać jego gesty. Ten oznaczał, że nie chce już rozmawiać. Małpa usiadł i odchylił do tyłu krzesło, opierając je o ścianę. Poczł dotkliwie zimno i naszła go ochota, żeby napić się wódki. – Siedziała w tych chaszczach godzinami – ciągnął. – Spędzała tam całe popołudnia. Wychodziła tylko na wołanie matki, a i jej czasem kazała na siebie czekać. – Przycichł, ale zaraz dodał: – Nawiasem mówiąc, wczoraj z nią rozmawiałem.

– Łgarstwo.

– Przysięgam panu. Powiedziała, że ma kłopoty z żołądkiem.

– Dita nigdy nie będzie z wami rozmawiać.

– Kiedy właśnie to zrobiła. Jest zdesperowana, pragnie jak najszybciej się dogadać. – Don Diego podniósł się z wysiłkiem. Małpa uśmiechnął się do niego i rzekł: – Stracił pan wpływ na swoje życie, inżynierze. Teraz zależy ono już tylko od okoliczności.

– A czyje życie nie zależy od okoliczności? – spytał cierpko don Diego.

Małpa przyglądał mu się uważnie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ludzie pracujący dla pana i pańskiej kasty zdani są na łaskę i niełaskę pańskich kaprysów. W każdej sekundzie życia uzależnieni jesteśmy bardziej od przypadku niż od jakiejś osoby.

– Nie ma ludzi bez okoliczności. – Don Diego w końcu zdołał wyprostować się na pryczy. – Pan i ja byliśmy uzależnieni od Izoldy w całkiem odmiennych kontekstach.

Małpa odbił się od ściany razem z krzesłem.

– Ja nie byłem od niej uzależniony. Nigdy w swoim cholernym życiu nie zależałem od nikogo.

– To po co ją pan szpiegował? – spytał don Diego, ale zaraz machnął ręką, jakby chciał cofnąć to pytanie. – Nie, nie, inaczej: dlaczego nie mógł pan przestać jej szpiegować?

Małpa przygryzł górną wargę i roześmiał się, żeby zyskać na czasie.

– Wszystko, co robiłem, zależało ode mnie. Bo to ja postanowiłem, że ją pokocham – powiedział żarliwie. – Pan przecież wie, don Diego, że miłość to obsesja, „owa bestia dzika, co gromy gniewu roznosi, to zrywa się, to słabnie, to jak paw puszy”, jak pisał maestro Flórez.

Izolda śpiewa, idąc ścieżką wijącą się pośród drzew orzechowych, migdałowców,

kasztanów, genip i czapetek jambos. Kroczy pewnie dróżką, którą zna na pamięć, sama ją przecież wydeptała. Unosi brzeg spódnicy i składa w jej zagłębieniu, niczym w hamaku, pięć jabłek. Zanurza się w gąszczu, z którego nagle dobiega wzmożony szelest opadłych liści.

– Witajcie – mówi cicho słodkim głosem. – Witajcie, witajcie – powtarza, z uwagą wpatrując się w gęstwinię. Bierze jedno jabłko i rzuca je w zarośla. Słysząc dziwne mlaśnięcie, jakby owoc, zanim zdążył spaść na ziemię, nadział się na jakiś szpikulec. Izolda uśmiecha się. – Witajcie, witajcie – mówi znowu i z wszystkich stron w lesie dają się słyszeć ożywione szmery.

– Ciii – powiedział nagle Małpa i pokazał palcem na sufit. Don Diego, nie rozumiejąc, patrzył na niego pytającym wzrokiem. – Co to?

– Co...?

– Ciii – Małpa uciszył go znowu.

W oddali słyhać było jednostajny hałas, jakby pomruk silnika jakiejś maszyny. Małpa spojrział na zegarek i pokręcił głową. Dźwięk był coraz bardziej wyrazisty i donośny. Don Diego uniósł się z zadziwiającą lekkością i stanął naprzeciwko Małpy, prowadząc z nim dialog bez słów. Nie musieli nic mówić – potężniejszy hałas był dźwiękiem nadlatującego śmigłowca.

Małpa wypadł z izby i zatrzasnął drzwi, zapominając założyć kłódkę. Don Diego przystawił ucho do desek, którymi zabite było okno. Nie słyszał głuchego terkotu łopat, tylko oszalałe dudnienie własnego serca. Poczował, że robi mu się słabo.

Z drugiej strony chałupy Małpa wydawał rozkazy:

– Brewka, zgaś światło! Zamknąć wszystkie okna!

– Są zamknięte. Co się stało?

– Głusi jesteście, ciemniaki?

– Carlitos, okno w kuchni jest otwarte!

– Kto ma dyżur?

– Co to za hałas?

– Pluskwa i Rudy.

– Helikopter. Gdzie jest Pała?

– Co ty gadasz, Małpa? Heli... co?

– Ma dzisiaj służbę.

– Mordy w kubeł! – wrzasnął Małpa i pozostali dopiero teraz usłyszeli warkot silnika tuż nad swoimi głowami. Popatrzyli na siebie z przerażeniem.

– Znaleźli nas – zakwilił blady jak ściana Brewka.

– Zamknij się.

– Małpa, jest wpół do siódmej wieczór, o tej godzinie nikt w Medellin nie lata. Jeśli tu jest, to dlatego, że nas namierzeli.

– Stul pysk, łachudro!

Pluskwa i Rudy wpadli do chaty jak po ogień. Byli bladzi jak reszta, tylko nosy mieli czerwone od zimna.

– Małpa, słyszałeś?

– Mgła jeszcze nie zeszła? – spytał Małpa, a oni jak na komendę pokręcili głowami. – Nie ruszać mi się stąd. – Zmierzył wszystkich srogim spojrzeniem. Zanim wyszedł, przykazał jeszcze: – Jakby co, rozwalić starego.

Brewka opadł ciężko na kanapę i zaczął łkać.

Wyglądało na to, że śmigłowiec zatacza nad nimi kręgi. Hałas przenosił się z jednej strony na drugą, raz dalej, raz bliżej. Klęcząc na podłodze, don Diego skrzyżował ręce na piersi. Wiedział, że na drzwiach nie ma kłódki i że bandziory boją się bardziej niż on. Słyszał ich głosy, przypominające popiskiwanie zagonionych w kąt szczurów. W końcu zebrał się w sobie i wstał. Czuł się tak, jakby ktoś wyjął z jego ciała kości. Mimo to pomału ruszył przed siebie i ostrożnie otworzył drzwi.

– A jak tych helikopterów jest więcej? – pytał zlany zimnym potem Pluskwa.

– A jak wezmą nas w dwa ognie, z ziemi i z powietrza? – panikował Rudy, a Brewka wgrzyzał się w róg poduszki, żeby zdusić płacz.

Małpa wypadł z chaty z makarowem w ręce, skulony, jakby biegł pod ostrzałem, i wskoczył w wysokie, gęste chaszczce. Pełzał na czworakach, usiłując dojrzeć śmigłowiec. Czuł warkot silnika każdym porem skóry, ale nic nie zobaczył. Wystawił głowę znad rozłożystych, długich na półtora metra liści paproci i ujrzał ponurą, lichą chałupę bez dymu sączącego się z komina – tylko begonie wyodrębniały się z tego smutku barwnymi kwiatami. Schował głowę pod liście i po chwili, jak wyrzucony sprężyną, wyjrzał znowu.

– Co za bydlaki! – wydyszał.

Przy chacie stał czyściutki i lśniący jasnoniebieski dodge coronet, a z boku leżała czarna folia, którą powinni go byli przykryć. Małpa podpełzł na skraj krzaków, ale gdy już miał wypaść na otwarty teren, poczuł, że śmigłowiec przelatuje tuż nad nim, jeszcze niżej i z jeszcze bardziej ogłuszającym hurgotem. Zobaczył go w końcu, przez ułamek sekundy, gdy podmuch wywołany łopatom wirnika rozpląszczył zarośla. Znieruchomiał, spodziewając się najgorszego.

Izolda kładzie się na wilgotnym mchu. Już rozdała jabłka almirajom, które mają teraz ręce pełne roboty. Zaplatają jej włosy za pomocą swoich rogów i zręcznie przetykają je kwiatami, liśćmi i nasionami. Izolda przymyka oczy, a one związują jej warkocze smukłymi źdźbłami trawy. Izolda śpiewa im: *Alle Leut', alle Leut' geh'n jetzt nach Haus*. Świerszcz, który wcześniej wskoczył jej na plecy, teraz patrzy na nią z pobliskiej gałęzi. Izolda dostrzega go i ponawia pytanie: Czy to

prawda, że ma uszy w kolanach? Świerszcz nieznacznie porusza czułkami.

– Auć! – skarży się nagle dziewczynka.

To jeden z almirajów ściągnął zbyt mocno kosmyk, żeby spiąć fryzurę. Izolda siada i ostrożnie dotyka włosów, próbując wyobrazić sobie formę i rozmiar dzieła. Potem wstaje i mówi:

– Bardzo was wszystkie kocham, ubóstwiam was.

Podskakuje w drodze powrotnej do miejsca, gdzie zostawiła rower, radosna jak ptaszek. I śpiewa: *Grosse Leut', kleine Leut', dicke Leut', dünne Leut'*.

Don Diego powłóczył nogami, brnąc przez mrok korytarza. Drżał cały i z każdym krokiem czuł, że zaraz upadnie. Dowłókł się do dużej izby, tam ujrzał wszystkich. Oni jednak go nie widzieli. Stali odwróceny plecami, a lufy ich pistoletów wycelowane były w drzwi chałupy. Na podłodze, zwinięty w kłębek, szlochał Brewka.

Śmigłowiec huczał raz z jednej, raz z drugiej strony. Don Diego ruszył pośród nagromadzonych śmieci, przepełnionych popielniczek, pustych butelek po lemoniadzie, toreb z jedzeniem i kolorowych gazet bez okładek. Mężczyźni wystraszyli się, kiedy przeszedł obok nich, wlokąc się z wysiłkiem ku drzwiom.

– Dokąd to? – spytał Carlitos.

– Niech pan wraca do siebie – polecił Rudy.

Ale don Diego zignorował ich i kontynuował swoją pielgrzymkę. Kiedy wyciągnął rękę, żeby chwycić za klamkę drzwi, Pluskwa krzyknął:

– Kropnijcie go!

– Nie! – wrzasnął Brewka, z twarzą wykrzywioną płaczem. Zerwał się z podłogi i z rozpostartymi ramionami stanął pomiędzy don Diegiem i swoimi kumplami. – Nie! – zawył błagalnie.

Don Diego nie zatrzymał się ani nie spojrzał na nich. Po prostu otworzył drzwi i wyszedł. Przed sobą, w odległości kilkunastu metrów, zobaczył Małpę – klęczał na trawie, z głową i rękami wzniesionymi ku górze. Don Diego również spojrzał w niebo i wtedy spadł na niego papierowy deszcz. Wyciągnął dłoń, na której osiadł mały karteluszek. Ujrzał na nim siebie, ubranego w marynarkę, pod krawatem, trzymającego okulary w rękach. W treści ulotki został opisany jako siedemdziesięciosześcioletni, zdrowy, dobrze zbudowany mężczyzna, o jasnych oczach i zdrowym uzębieniu. Na dole była wzmianka o dwustu tysiącach pesos nagrody za każdą informację prowadzącą do jego uwolnienia. Obrzucił spojrzeniem Małpę zbierającego na czworakach rozproszone w trawie ulotki. W chwilę potem Pluskwa i Rudy złapali go za ramiona i zaprowadzili z powrotem do chaty. W oddali nikt nie usłyszał hałasu śmigłowca.

Wcześniej, wiele lat wcześniej, o tej samej godzinie wyłoniła się z lasu pewna

księżniczka. Miała włosy ułożone w ogromne, przypominające złociste rulony loki, przystrojone żółtymi i czerwonymi płatkami, dwiema orchideami po obu stronach głowy oraz bromelią w grzywce. Pędziła w dół na rowerze z zadartą do połowy ud sukienką z poszarpanym rękawem, śpiewając jakąś niemiecką piosenkę.

Był to zamek doskonały. Na samo wspomnienie zamku w Chambord w dolinie Loary don Diegowi zapierało dech w piersiach. Od strony fasady głównej, z tyłu, pod każdym kątem i w każdym świetle. Budynek centralny z czterema wieżami oraz z całym mnóstwem wieżyczek i szarych kominów, kontrastujących z jasnym tynkiem; jego monumentalność i wspaniałość czyniły z niego, jak zwykł mawiać don Diego, zamek z bajek.

– I właśnie czegoś takiego pragnie pan dla siebie? – spytał sarkastycznie Enrico Arcuri, francuski architekt włoskiego pochodzenia, którego zarekomendowano don Diegowi. Nie mógł się powstrzymać, usłyszawszy, że właśnie zamek w Chambord jest wyśnioną budowlą jego klienta.

– Cóż – odparł don Diego – od czegoś trzeba zacząć. Od idei przynajmniej.

– Zamek – mruknął Arcuri, splatając palce. Po chwili dodał: – Mam wrażenie, że spóźnił się pan o jakieś dwieście lat.

– Właśnie dlatego! – zawołał don Diego w uniesieniu. – Temu służą zamki w dzisiejszej rzeczywistości – zatrzymywaniu czasu. To tak, jakby nieprzerwanie żyć teraźniejszością i przeszłością.

Architekt zmrużył oczy, przyglądając mu się wnikliwie.

– Kolumbia to nie Francja – zauważył.

– Oczywiście – zgodził się don Diego. Zastanowił się przez chwilę i dodał: – Trzeba jednak pogodzić się z tym, co jest pod ręką. Podobno zamek w Chambord powstał na podstawie koncepcji da Vinci, ale mnie wystarczy, że mój zamek zaprojektuje jeden z jego włoskich potomnych, *signore* Arcuri.

Sędziwy i pyszałkowaty architekt przeżywał okres świetności na początku lat trzydziestych. Projektował rezydencje i ważne gmachy, głównie w Berlinie, Hamburgu i Frankfurcie. Uważano go za „wybitnego eklektyka”, a wśród jego wyznawców przeważali krytycy modernizmu, tendencji, którą Arcuri gardził.

– Zamków już się nie buduje – trwał przy swoim. – Nie wiem, czy to wpływ wojny, czy czegoś innego, ale całe to współczesne budownictwo można by zdefiniować jako stylistykę bunkra.

– To tylko moda. Jest mi całkowicie obojętna – zapewnił don Diego. – Pragnę czegoś, co będzie wiernym odbiciem moich marzeń, z uwzględnieniem realiów, ma

się rozumieć.

Arcuri nalał sobie odrobinę wody z karafki i wyjął z szuflady biurka fiolkę z pastylkami.

– Czym pan się zajmuje? – spytał don Diego, ale zanim pozwolił mu odpowiedzieć, zawołał głośno: – Cyrine! – Don Diego odwrócił głowę w kierunku drzwi w oczekiwaniu na wejście przywoływanej osoby. – Proszę wybaczyć – powiedział Arcuri.

– Pan Baumann nie wyjaśnił, kim jestem?

– Owszem, ale chciałbym wiedzieć, co pan robi, na co poświęca pan swój czas, jak wygląda pańskie życie.

– Z całym szacunkiem, ale myślę, że najpierw powinniśmy osiągnąć porozumienie, nie sądzi pan?

– Porozumienie handlowe? – spytał Arcuri i znów zawołał: – Cyrine!

– Nazwijmy to porozumieniem zawodowym – doprecyzował don Diego.

Drżącymi dłońmi Arcuri otworzył fiolkę i zażył jedną pastylkę. Z trudem uniósł do ust szklanekę z wodą, po czym wrzucił fiolkę do szuflady. Już po raz drugi podczas tej wizyty don Diego nie mógł oprzeć się wrażeniu, że rozmawia z niewłaściwym człowiekiem. Zaraz po przybyciu zmuszony był czekać na architekta dwadzieścia pięć minut, a gdy ten w końcu się zjawił, nie był łaskawy udzielić swemu gościowi żadnych wyjaśnień. Mirko ostrzegał, że to już starszy człowiek, chociaż wiek don Diegowi bynajmniej nie przeszkadzał – jemu również nie w smak były idee młodych architektów. Pomyślał nawet, że punktem stycznym z Enrico Arcurim mogłoby być ich zamiłowanie do architektury klasycznej.

– Szanowny panie – podjął architekt – nie mam zamiaru pana zwodzić. Postąpiłbym nieuczciwie, gdybym nie próbował odwieść pana od pomysłu budowy zamku. Istnieją inne alternatywy, równie tradycyjne, jednakowoż nie tak...

Przebierał palcami w powietrzu w poszukiwaniu adekwatnego słowa. Don Diego pochylił się, oparł dłonie na blacie biurka i powiedział:

– Proszę się nie fatygować, nie interesują mnie żadne alternatywy.

– ...Nie tak reakcyjne, tak bym to ujął – dokończył myśl Arcuri.

Don Diego zerwał się na równe nogi, jakby rozkurczyła się w nim jakaś niewidzialna sprężyna.

– Proszę pana, ideologia nie ma tu nic do rzeczy. Może go pan uznać za frywolny, ale to zwykły kaprys i dlatego właśnie wykluczam możliwość rozważenia innego wariantu.

Architekt po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Bardzo proszę, niechże pan siada. – Wskazał fotel dłonią, która przestała drżeć. Następnie wstał i podszedł do drzwi, otworzył je i ponownie wezwał Cyrine, tym razem już spokojnym głosem. – Czy w Boliwii macie monarchię? – spytał,

ponownie zwracając się do swojego rozmówcy.

– W Kolumbii – poprawił go don Diego. – Niestety, nie mamy.

– Pytam ze zwykłej ciekawości.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka zajrzała drobna kobieta w podeszłym wieku. Po francusku spytała Arcuriego, czy czegoś sobie życzy. Na jej widok don Diego wstał i skłonił głowę.

– Wiesz, co masz przynieść – powiedział i kobieta wyszła bez słowa. – Niewykluczone, że to dolina Loary tak mnie irytuje. – Ponownie spojrzął na don Diega. – Przekształcono ją w swoisty park rekreacyjno-wypoczynkowy, przypomina stół zastawiony wykwintnymi, okolicznościowymi tortami. Czy ktoś jest w stanie nas zrozumieć? Zrobiliśmy rewolucję, ale nadal wielbimy monarchię. Ta dolina niczego nas nie nauczyła, przeciwnie, całe nasze drobnomieszczactwo chełpi się nią.

Kobieta wróciła z jakimś pakietem w rękach i w milczeniu położyła go na biurku. Arcuri wzrokiem dał jej do zrozumienia, że może odejść. Wziął pakiet i podał go don Diegowi.

– Proszę otworzyć – zachęcił. – Niewiele brakowało, a nie znalazłbym ich. Dziś rano przetrząsnąłem cały dom. Kiedy pan przyszedł, wciąż jeszcze ukrywały się przede mną.

Don Diego ostrożnie odwinął papier. Jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzął kolekcję płyt. Był to *Parsifal* Wagnera pod dyrekcją Fritza Buscha, nagranie z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, zrealizowane w teatrze Colón w Buenos Aires. Oczy mu rozblęskły i z ledwością wykrztusił:

– Ależ to prawdziwy skarb...

– Proszę potraktować ten prezent jako kamień węgielny pod budowę pańskiego zamku.

– To raczej ja powinienem być... – Bezskutecznie próbował ukryć wzruszenie.

– Czyż to nie wszystko jedno? – rzucił Arcuri. – Projekt, który będziemy realizować, przeczy zdrowemu rozsądkowi. Lepiej zatem, jeśli zaczniemy się przyzwyczajać.

Roześmiali się i dziesięć minut później uszczęśliwiony don Diego, z prezentem pod pachą, biegł na spotkanie z Dita, czekającą na niego przy Bramie Słoni.

Po dawnym ogrodzie zoologicznym nie pozostał nawet cień. Zwierzęta, których nie rozerwały bomby, padły ze strachu.

– Część z nich wydostała się na miasto – opowiadała Dita. – Trzeba je było zastrzelić, bo gdzie je trzymać.

– Jakby mało było innych niebezpieczeństw – podsumował don Diego.

Spacerowali po zoo, pośród krzewiącej się na nowo roślinności.

– Którejś nocy szłam do schronu, zmierzchało się już i na ulicy nie było świateł – wspominała Dita. – Nagle zobaczyłam w oddali jakiś ruchomy kształt, coś, co poruszało się bardzo wolno. Pomyślałam, że to pies, i szłam dalej, ale gdy zbliżyłam się do niego na jakieś dwadzieścia metrów, o mało nie dostałam zawału. To była lwica.

Don Diego zatrzymał się i wyszeptał tylko:

– Boże...

– Skamieniałam. Spojrzałyśmy sobie w oczy. Z jej gardła dobył się słaby pomruk, zobaczyłam błysk kłów. Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby uciekać co sił w nogach, ale lwica zawróciła, kulejąc, i skryła się w ruinach.

– Ale coś ty robiła w Berlinie w czasie bombardowań? Dlaczegoś nie byłaś z rodzicami?

– Byłam z nimi. Mieszkaliśmy wtedy w Waldwinkel, ale przyjechałam tu z mamą po Annemarie, która wracała z północy.

W sadzawkach nie było wody. Dotarli aż do ruin ptaszarni i przystanęli, patrząc na nie w milczeniu. Myśleli o tysiącach ptaków, które wyśpiewywały tutaj swoje trele i które zabił huk detonacji. Teraz, pośród rumowiska, zakładały gniazda powracające stopniowo gołębie. Dita przez łązy zobaczyła kilka tabliczek informacyjnych i ruszyła w ich stronę. Don Diego podążył za nią. Tablice informujące o odbudowie można było spotkać na każdym kroku w całych Niemczech.

– Chodźmy zobaczyć niedźwiedzie – zaproponowała.

Pomimo zniszczeń zoo było miejscem bardzo chętnie odwiedzanym. Stało się oazą dla berlińczyków, neutralną przestrzenią dla wspomnień, gdzie mogli odpocząć od widoku wojskowych konwojów i zajadłych sporów między buntownikami, aktywistami i zrezygnowanymi. Minęli gromadkę dzieciaków śmiejących się i psocących, jakby nic nigdy się nie wydarzyło. Mijali staruszków siedzących na ławkach, grzejących się w słońcu, przeżuwających przeszłość i trawiących terażniejszość. Don Diego ujął dłoń Dity. Pod pachą ścisnął płyty, które podarował mu Arcuri.

– Pomyśl, że mogło być gorzej – powiedział.

– Było o wiele gorzej, niż mogłam to sobie wyobrazić.

– Berlin mógł zostać zrównany z ziemią, jak Hiroszima.

– Wszędzie było strasznie. – Dita zawiesiła głos i po chwili rzekła: – Nie chcę o tym rozmawiać.

Don Diego zacisnął szczęki, czuł się nieswojo. Wypuścił rękę Dity, żeby sięgnąć szalik.

– Popełnili błąd – powiedział. – Za kilka lat alianci uzmysłowią sobie swoją pomyłkę.

– Diego...

– Przekonasz się. Tak było zawsze, za jakiś czas zatęsknią za tym, co obrócili w perzynę.

Dita zatrzymała się raptownie i tonem nieznoszącym sprzeciwu powiedziała:

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Ktoś musi o tym mówić – nie ustępował don Diego.

– Nie jesteś jedyny. Mówią o tym wszędzie i co wskórali? – zapytała Dita i zaraz dodała: – Tyle tylko, że ból nie przestaje nas szarpać. – Don Diego chciał coś odpowiedzieć, ale dziewczyna położyła mu palce na wargach. – W mojej rodzinie zawarliśmy pakt milczenia, który dotyczy również ciebie.

Zacisnął usta, bo ujrział w jej oczach siłę, która osłabiła jego wolę. Dita wzięła go za rękę i ruszyli przed siebie w milczeniu. Wkrótce zobaczyli za murem ogromnego, stojącego na dwóch łapach, pomrukującego niedźwiedzia.

Małpa Riascos nie skończył jeszcze płacić, a młody już siedział na motocyklu. Nie posiadał się z radości. Odpalił maszynę i przygazował. Wibracje ryczącego silnika zaatakowały nogi obecnych w salonie, wdzierając się w ich system nerwowy. Później wyjechał na swoim bultaco nie przez drzwi warsztatu, jak należało, lecz wykonał slalom pomiędzy biurkami i sprzedawcami, którzy z zatkniętymi uszami odskakiwali z przerażeniem, umykając w ostatniej chwili spod kół. Szurnął przez wejście główne, wypadł na chodnik i na ulicę, nie patrząc, czy droga jest wolna. Małpa wybiegł przed salon, żeby zobaczyć, w którą stronę pognał, ale już stracił go z oczu. Tylko z daleka słychać było wycie silnika na wysokich obrotach.

Po chwili pojawił się na rogu ulicy, uśmiechnięty od ucha do ucha, radosny jak dziecko. Nie zatrzymując się, przejechał tuż obok Małpy. Uniósł rękę w pozdrowieniu i ponownie przyśpieszył. Zostawił go z krzykiem na ustach, który niknął w ogłuszającym hałasie.

– Wracaj, szczeniaku! – wołał za nim Małpa, ale młody był już za zakretem.

Sprzedawczyni wyszła na ulicę, aby wręczyć Małpie dokumenty.

– Co za chłopak, Boże mój... – westchnęła z zachwytem, choć jej twarz nie odzyskała jeszcze kolorów. – Dusza w pięty mi poszła i jeszcze nie wróciła. – Małpa wcisnął papiery do tylnej kieszeni spodni. – Będzie wdzięczny do końca życia – stwierdziła kobieta.

– Co? – Dopiero teraz na nią spojrzał.

– Teraz będzie pan mógł się cieszyć tym cherubinem przez jakiś czas. Za taki prezent...

Małpa powściągnął się z trudem i podrapał w głowę.

– To nie prezent – sprostował.

– Ach, nie? – rzuciła z udanym zdziwieniem i uśmiechnęła się.

W oddali ponownie ujrzeli młodego zbliżającego się do nich na pełnym gazie.

– Chyba wrócę do środka. Na dzisiaj wystarczy mi wrażeń – skwitowała sprzedawczyni i jeszcze od drzwi zawołała: – Niech pan lepiej kupi mu kask!

Młody zahamował, a potem przygazował mocno, rozkoszując się dudnieniem silnika.

– Ale odlot, Małpa! Po prostu obłęd! – wykrzyknął. – Jego autentyczna radość

udobruchała Małpę. – No, wsiadaj.

– Dokąd jedziemy?

– Przejechać się.

– Tylko powoli.

– Powoli? To tak, jakby mieć skrzydła i iść piechotą.

– Nie gazuj tyle. Zatrzesz silnik.

Młody roześmiał się i w kącikach jego ust pokazały się dwa dołeczki. Małpa poczuł, jak mroźna fala spływa mu z serca do żołądka. Wsiadł na motocykl i zaczął się rozglądać za czymś, za co mógłby chwycić. Zza szyby salonu, uśmiechnięta jak zawsze, sprzedawczyni pomachała im na pożegnanie.

Przejechali na drugą stronę rzeki Medellín z szybkością spadającej komety. Wyjechali na autostradę ślimakiem i pomknęli pomiędzy samochodami zdążającymi na południe. Małpie na nic się zdały bezustannie napominania: „Uważaj, wariacie!” za każdym razem, gdy zbyt niebezpiecznie zbliżali się do zderzaka jakiegoś samochodu. Niewiele brakowało, a wbiliby się w tył wielkiej ciężarówki pod mostem obok zakładów spirytusowych. Wtedy Małpa z całej siły grzmotnął młodego w ramię.

– Albo zwolnisz, albo ja wysiadam – zagroził.

Kontynuowali jazdę już o wiele spokojniej. Po chwili zjechali z autostrady i zatrzymali się, żeby kupić *pandequesos*. Młody nawet nie zsiadł z bultaco. Wolał zostać i kontemplować motocykl, dotykać go, gładzić bak i kierownicę. Raz po raz odkręcał i zakręcał korek wlewu paliwa, musnął opuszkami palców ciepłe siodło i rogiem koszuli wytarł lusterko wsteczne.

Małpa wrócił z dwoma piwami i torbą dopiero co wyjętych z pieca *pandequesos*.

– Kto teraz z tobą wytrzyma. – Pokręcił głową.

– Jak to kto? Ty, jak do tej pory dajesz radę.

Małpa podał młodemu torbę z *pandequesos*, ale ten chwycił butelkę piwa i przechylił ją, pijąc łąpczywie.

– Zaszło ci w gardle, co?

Młody zatrzymał się w połowie butelki. Zbliżył się do Małpy, popatrzył na niego szeroko otwartymi, spokojnymi oczami i szepnął:

– Dziękuję.

– Już myślałem, że nigdy na to nie wpadniesz – bąknął Małpa, żeby odpowiedzieć cokolwiek, bo kiedy młody patrzył na niego w ten sposób, zapominał, jak się nazywa. Nadgryzł *pandequeso*, żeby ukryć zmieszanie.

– Gdzie jedziemy? – spytał młody.

– Do domu. Muszę wziąć brykę i jechać do roboty. Późno się zrobiło.

– Mogę cię podrzucić.

Małpa mlasnął językiem i potrząsnął głową.

– Nie zaczynamy od nowa. Zobaczymy się później. Tak będzie lepiej. – Młody spoważniał i oparł się o motocykl, żeby dokończyć piwo. – Dzisiaj wieczorem to oblejemy – zaproponował Małpa, ale młody nie odpowiedział. Poszedł w stronę opuszczonego placu i cisnął w powietrze pustą butelkę. Później stanął w rozkroku, plecami do Małpy, żeby się odpryskać.

Obserwując go, Małpa czuł, jak tonie w oceanie wątpliwości i poczucia winy. Sytuacja komplikowała się coraz bardziej, nie był to najlepszy moment na takie prezenty i fetowanie. W Santa Elena jego ludzie zaczynali się niecierpliwić, minął już miesiąc, a sprawy nie posuwały się naprzód. Don Diego był nieustępliwy, jego rodzina również, choć dla Małpy było jasne jak słońce, że będzie ostatnim, który ustąpi.

– Co ten Małpa robi przez cały boży dzień, jak go tutaj nie ma? – spytał Chwast.

– Pewnie pracuje – odparł Pluskwa.

– Pracuje? Gdzie?

Skulony pod swoją białą ruaną, Pluskwa zastanowił się.

– Nie wiem, może dzwoni, jeździ, załatwia sprawy. – Po chwili milczenia dodał: – Zbiera informacje, zajmuje się wywiadem.

Chwast spojrział na niego i zadumał się.

– Jak to się skończy? – spytał.

– Pewnie tak, jak byśmy wszyscy chcieli.

– A jak nie?

Pluskwa wstał i zapalił światło. Położył rewolwer na stole i wygrzebał z popielniczki niedopałek. Przypalił go i rzekł:

– A jak nie, to nie.

– Małpa jest za miękki – stwierdził Chwast. – Daje się staremu wodzic za nos. Gdyby zostawił to mnie, raz-dwa przekonałbym go do napisania tego listu.

– Niby jak?

– Skręciłbym mu jaja. Tak jak mnie uczyli. Na początku jeden z drugim myśli, że jest wielki zuch, ale każdy ból ma swoje granice.

Pluskwa sztachnął się dwa razy i wypuścił z ust chmurę dymu. Zgasił kiepa, który parzył go już w palce.

– A jak to nie pomoże? – rzucił.

– Jak nie pomoże, to się skręca mocniej, aż do skutku.

Nagle usłyszeli głos don Diega nucącego tę samą, co zwykle, nikomu nieznaną piosenkę. Chwast skrzywił się, rozdrażniony.

– A nie mówiłem? – prychnął. – Wesoło mu, podśpiewuje sobie drań.

– Ostatnio, jak tylko się obudzi, śpiewa piosenkę o błękitnym ptaku – zauważył Pluskwa.

– A co, przecież ma tu jak u Pana Boga za piecem. Tego ptaka właśnie trzeba by mu było przyskrzynić.

Pluskwa parsknął śmiechem, ale zaraz chwycił go tak silny kaszel, że aż się przygiął do podłogi.

Nagle usłyszeli wołanie don Diega:

– Chcę do ubikacji! – Nie przestając kaszleć, Pluskwa pokazał na migi Chwastowi, żeby zajął się starym. – Do ubikacji! – krzyknął znowu don Diego.

Chwast zaklął pod nosem i wstał.

– Stary szczocho – warknął. – Wiadro mu dać, żeby lał u siebie w norze.

– Ty, Chwast, uważaj – ostrzegł go Pluskwa, walcząc z kaszlem. – Bez wygłupów.

Włożył rewolwer za pasek i usiadł. Po chwili dobiegł go znajomy szcęk zdejmowanej kłódki i szuranie butów don Diega. Potem usłyszał, jak Chwast dogryza staremu przy akompaniamencie nierównego ciurkania uryny. Wyszperał z kieszeni jedną z ulotek, które spadły ze śmigłowca. Małpa kazał je wyrzucić, ale Pluskwa zachomikował jeden egzemplarz i odtąd informacja o dwustu tysiącach pesos nagrody nie dawała mu spokoju. Wkuł nawet na pamięć numer telefonu, pod którym przyjmowano informacje dotyczące porwania.

Gdy tylko Chwast wrócił, Pluskwa skitrał ulotkę pod ruaną.

– Co się stało? – zapytał.

Chwast zerknął na zegarek i stęknął tylko:

– Jak ten czas sakramencko się wlecze.

Rozbijając się po mieście z młodym, Małpa zapomniał o bożym świecie. Gdy zobaczył, która jest godzina, zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia.

– Zawieź mnie do domu – burknął.

– A co, śpieszysz się?

Nie czekając na odpowiedź, młody przygazował do oporu. Popędził slalomem między samochodami, nie patrząc na znaki i światła na skrzyżowaniach. Wył przy tym jak kowboj na rodeo.

– Wolniej! – wrzasnął mu do ucha Małpa, ale młody był jak w transie.

Wówczas Małpa musiał zrobić to, czego zawsze pragnął, a czego robić nie powinien, na co nie mógł się poważyć w stosunku do innego mężczyzny. Objął młodego w pasie, żeby nie spaść na ostrych zakrętach. I tak – wtulony w niego, z rozwianymi włosami i oczami zaczerwienionymi od wiatru i kurzu – dojechał do domu, gdzie z okna na górnym piętrze zobaczyła go Lida. Dostrzegł ją tylko młody i na sekundę przed odjazdem podkręcił obroty silnika, puszczając do niej oko. W odpowiedzi kobieta gwałtownie zaciągnęła zasłonę.

– Skąd wracasz? – spytała, gdy tylko Małpa wszedł za próg.

– Z pracy.

- Z tym tam?
- Nie, on mnie tylko przywiózł.
- To jego motor?
- Jego.
- I skąd on ma pieniądze, żeby pozwolić sobie na takie luksusy?
- A skąd mam wiedzieć? – Małpa wzruszył ramionami.
- Będiesz coś jadł? – spytała Lida, kierując się w stronę kuchni.
- Nic. Muszę zaraz wyjść.

Wystawiła głowę zza framugi i ze zdumieniem zawołała:

- Jak to?! Znowu?! Przecież dopiero co wszedłeś!
- Muszę skoczyć w kilka miejsc – odparł Małpa.

W swoim pokoju powąchał się pod pachami i zmienił koszulę. Wziął sweter i wszedł do łazienki. Lida nadawała do niego z korytarza:

- Była tutaj ta dziewczyna.
- Która?
- Ta, co nosi minispódniczki, ta ostrzyżona na chłopaka.
- I co chciała?
- Pytała o ciebie. Przyjechała taką dużą ciężarówką, byli z nią jeszcze jacyś ludzie. Na chwilę zapadła cisza. Lida czekała w skupieniu.
- Mamo, jesteś tam jeszcze? – spytał Małpa.
- Jestem, a co?
- To niech mama już sobie idzie.
- Słucham?
- Niech mama idzie. Jak mama tam stoi, to nie mogę się odsikać.

Lida wróciła do kuchni i Małpa mógł wreszcie uwolnić z pecherza te pół tuzina piw, które wyłopał z młodym.

Izolda jest zakochana po uszy w Beatlesach. Marzy o tym, żeby chodzić na koncerty zespołu, i nuci piosenki w czasie kąpieli. Próbuje wygrywać na pianinie melodie i śpiewa cichutko: „Wszyscy żyjemy w żółtej łodzi podwodnej, w żółtej łodzi podwodnej, w żółtej łodzi podwodnej”. Zamyka się w swoim pokoju i tańczy rocka, potrząsając głową z rozpuszczonymi włosami. Chwieje się na zdradliwych szrudłach szpilek swojej mamy i podciąga wysoko spódnice, mającą imitować minispódniczkę, której nie pozwalają jej nosić.

W kraju, który nazywa się Wietnam, szaleje wojna. Z przyczyn niezbyt dla nas zrozumiałych codziennie giną ludzie. Przy stole słyszymy, jak dorośli rozmawiają o niej z przerażeniem. Pytam, czy to dlatego, że wojna jest tak blisko nas. Oddycham z ulgą, kiedy słyszę, że Wietnam znajduje się na drugiej półkuli. Nie brakuje jednak głosów zwiastujących trzecią wojnę światową, a nawet koniec świata. Mimo wszystko każdego popołudnia wychodzę bawić się z kolegami.

Limuzyna zatrzymuje się – to któryś z nas niefrasobliwie zostawił rower na środku drogi, jakby była naszą wyłączną własnością. Szofer naciska klakson i wychodzimy z krzaków, żeby go stamtąd zabrać. Wówczas widzimy samotną Izoldę siedzącą sztywno na tylnym siedzeniu. Spoglądamy na siebie w milczeniu, skonsternowani i urzeczeni. Nie spodziewałem się jej tam zobaczyć. Najbardziej jednak zdumiewa mnie to, że ona nas nie zauważa. Jest nieruchoma jak słup soli, uczesana i ubrana jak lalka; patrzy prosto przed siebie, jakby nas tam w ogóle nie było. Chcę przytknąć twarz do szyby, z dłonią na czole osłaniającą oczy od światła, lecz limuzyna rusza, gdy tylko przeszkoda zostaje usunięta.

Izolda jedzie do Klubu Uniön na lekcje pływania. Jest spóźniona z powodu załamania nerwowego, jakiego przed wyjazdem doznała Hedda. Nieobecna na miejscu Dita zdecydowała przez telefon, że tym razem Izolda może pojechać tylko z szoferem.

Gerardo ma duże doświadczenie i jedzie tą samą drogą, co zwykle. Są już niedaleko klubu, ale teraz musi pojechać objazdem z racji robót przy budynku Coltejer.

- Kiedy oni wreszcie skończą to chwalebne dzieło... – mruczy pod nosem.
- Tata obiecał, że zabierze mnie na ostatnie piętro – mówi Izolda.
- Ja bym tam nie wlaźł za żadne skarby świata. Wdygują panienkę aż na sam szpikulec, co to go teraz montują?
- Tam, gdzie powiewa flaga – wyjaśnia Izolda, przyklejona do szyby, ze wzrokiem wzniesionym ku górze.

Ulice w centrum są wąskie i panuje potworny tłok. Po obiedzie ludzie wracają do pracy i sklepy znów są otwarte. Gerardo oddala się od tego epicentrum, żeby pojechać ulicą Maturín, ale ktoś wjeżdża pod prąd i blokuje cały ruch. Grzęzną w kwartale pełnym barów i ulicznych handlarzy. I prostytutek, które wyszły coś zjeść, a teraz wracają do kantyn. Izolda patrzy na nie z ciekawością. Gerardo sprawdza, czy szyby są zamknięte, ale ona i tak widzi kobiety wciśnięte w niemożliwie kuse spódniczki i umalowane jak kłowni, którzy zabawiali gości na jej pierwszej komunii.

- I potrafi już panienka przepłynąć cały basen? – pyta Gerardo, próbując odwrócić uwagę dziewczynki.
- Też mi coś – odpowiada Izolda, nie odrywając wzroku od ulicy.
- Ten basen jest bardzo duży. A jakim stylem?
- Wolnym.

Gerardo naciska klakson i posuwa się do przodu, ale zaledwie o parę metrów. Zatrzymują się znowu, akurat naprzeciwko baru, do którego wchodzi dwóch młodzieńców, jeden z długimi włosami, drugi z olbrzymim afro. Izolda pęka ze śmiechu.

- Spójrz na tego pana, Gerardo.
 - Ten drugi też nie lepszy. Co za czasy, chłopca od baby odróżnić nie można.
- Izolda chichocze, ale naraz słyhać przeraźliwe krzyki. Dwaj młodzieńcy, którzy przed chwilą weszli do kantyny, wybiegają z nożami w dłoniach, tuż za nimi podąża jakiś mężczyzna.
- Łapać ich, łapać ich! – wrzeszczy do przechodniów.
 - Niech się panienka schowa, niech się panienka położy na podłodze! – rozkazuje Gerardo.

- Co się stało? – pyta wystraszona dziewczynka.

Gerardo nie wie, co się stało. Z kantyny, słaniając się na nogach, wyłania się obnażona do pasa kobieta z porzniętymi, zakrwawionymi piersiami. Wyciąga przed siebie ramiona, jakby szukała czegoś, na czym mogłaby się wesprzeć. Gerardo szaleńczo wali pięścią w klakson i krzyczy do Izoldy:

- Na podłogę, panienko, na podłogę! Niech panienka nie patrzy, niech panienka nie patrzy!
- Ale Izolda nie może już oderwać wzroku od błagającego o ratunek spojrzenia

kobiety. Izolda krzyczy z taką trwogą i siłą, że z jej gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Gerardo odwraca się na siedzeniu i usiłuje przygiąć ją do podłogi, ale ona siedzi nieporuszona, zdrętwiała, a w jej nieruchomych oczach maluje się zgroza. Zewsząd rozlega się wycie klaksonów. Po chwili kobieta upada na szybę, za którą siedzi Izolda, pozostawiając na szkle krwawy ślad. Chwyta za klamkę drzwi i po raz ostatni, zanim osunie się na ziemię, patrzy na dziewczynkę. Gerardo szarpie Izoldę za ramiona, kolejny raz próbując zmusić ją, żeby się pochyliła. W końcu ulega, lecz nie pod wpływem szarpnięcia – po prostu traci przytomność.

– Proszę spojrzeć, otwiera oczy – mówi jedna z dwóch zakonnice czuwających przy Izoldzie w klinice El Rosario.

Don Diego i Dita mówią do niej czule: Izoldo, Izoldo. Jest z nimi lekarz. Dziewczynka wodzi oczami dookoła. Dita ściska jej dłoń i pyta po niemiecku, jak się czuje. *Gut*, odpowiada, na co jedna z zakonnice przyciska ręce do piersi i woła z zachwytem:

– Taka mała, a już mówi po angielsku!

– Teraz musi odpocząć – uprzedza lekarz.

– Ja zostaję – stwierdza Dita i doktor kiwa głową.

Don Diego wychodzi w towarzystwie lekarza i zakonnice, które nie wiedząc czemu uśmiechają się promiennie. Przed szpitalem siedzi Gerardo. Widząc don Diego, zrywa się na równe nogi. Ten kładzie mu rękę na ramieniu i uspokaja go:

– Już odzyskała przytomność, lekarze mówią, że wszystko będzie dobrze. – Gerardo oddycha z ulgą. – Gerardo, proszę mi wybaczyć moje zachowanie, nie powinienem był pana obrażać – kaja się don Diego.

– Ależ nie, don Diego, przecież miał pan całkowitą rację. Nie miałem prawa jechać tamtędy z dzieckiem. To wszystko przez pośpiech.

– Proszę umyć auto i przyjechać po mnie.

Don Diego wraca do szpitalnego pokoju. Dita głaszcze rękę Izoldy i mruczy po cichutku jakąś niemiecką piosenkę. Dziewczynka ma zamknięte oczy, na jej rzęsach pęcznią krople łez. Don Diego chce coś powiedzieć, ale Dita ucisza go, przykładając palec do ust. Wsuwa dłoń we włosy córki i wraca do przerwanej kołysanki.

Twiggy śmieszyły paniusie w salonie piękności siedzące pod ogromnymi suszarkami, z wałkami na głowach, i porozumiewające się ze sobą, wrzeszcząc na cały regulator. Jedne ociekały potem, inne drzemały. Twiggy nie używała nawet ręcznej suszarki. Tleniła jedynie włosy, kazała je trochę podcieniować z tyłu i zaczesywała na bok, jeszcze mokre. Nie raz i nie dwa słyszała komentarze damulek spod suszarek: „Patrzcie na tamtą, wygląda całkiem jak chłopak”.

To chyba tylko ze względu na fryzurę, bo od szyi w dół Twiggy była stuprocentową kobietą, która nosiła spódniczki tak skąpe, że jak tylko po coś sięgnęła, zaraz świeciła majtkami. Wiele razy słyszała też: „Wstydu nie ma”.

Teraz fryzjerka próbowała przyczepić jej do włosów sztuczny koński ogon.

– Grzebyk dobrze nie chwyta, skarbie – skarżyła się. – Nie dość, że są krótkie, to jeszcze bardzo gładkie. – Twiggy pokręciła głową, żeby zobaczyć kucyk w lustrze.
– Siedź spokojnie – skarciła ją fryzjerka.

– Chcę zobaczyć.

– Za chwilę. Jak skończę, dam ci lusterko.

– Kolor może być – stwierdziła Twiggy.

– Jasne, że może być, skarbie – odparła chełpliwie fryzjerka. – Zaczekaj, przyczepię ci go wyżej, tak będzie szykowniej. – I za pomocą dwóch spinek zaczęła przytwierdzać grzebyk na czubku głowy klientki. – Byłoby ci bardziej do twarzy, gdybyś je nażelowała i zaczesła do tyłu – zaproponowała po chwili.

– Niech będzie – zgodziła się Twiggy.

Fryzjerka zmoczyła jej włosy, nasmarowała żelem i zaczesła w taki sposób, że wraz ze sztucznym ogonem utworzyły spójną fryzurę. Dokonywała już ostatnich już poprawek, kiedy na zewnątrz rozległ się natarczywy klakson samochodu. Wszystkie klientki z ciekawością wyjrzały na ulicę. Twiggy od razu rozpoznała dodge’a coroneta Małpy Riascosa. Gdy podeszła do okna, Małpa pokazał jej na migi, żeby wyszła.

– Czemu zawdzięczam ten cud? – zapytała po chwili, zaglądając przez opuszczoną szybę samochodu

– Właż. Muszę z tobą pogadać.

– Chwilunia, muszę zapłacić.

Twiggy poszła na sam koniec salonu, do wieszaka, na którym klientki zostawiały swoje torebki. Fachowo zamieszała wśród nich, żeby wydobyć swoją. W ramach tego manewru, z szybkością godną magika, zdołała splądrować cudzą własność. Oprócz forsy zarekwirowała trzy szminki, mały flakonik perfum, puder, kasetę magnetofonową i paczkę gumy miętowej. Skubnęłaby więcej, ale Małpa zaczął trąbić jak opętany.

– Z jakiej paki cały ten raban? – fuknęła, gdy tylko wsiadła do samochodu.

– Co się stało z twoimi włosami? – spytał Małpa.

Twiggy potrząsnęła głową, wprawiając w ruch koński ogon. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz włosy dotykały jej ramion.

– Tyle na ciebie czekałam, że zdążyły urosnąć – rzekła.

– Mam dużo roboty – usprawiedliwił się Małpa i ruszył przed siebie.

– I co cię tak nagle przypiliło?

– Sprawa się skomplikowała, piękna. Od ośmiu dni nie odbierają telefonu.

– No to masz problem.

Twiggy włączyła radio i pokręciła gałką w poszukiwaniu stacji Radio 15.

– Zgaś to – warknął Małpa. Zignorowała go i zatrzymała się na piosence Nicola di Bari *Serce to Cygan*. Małpa wyciągnął rękę i zgasił radio. – Musisz mi pomóc – powiedział.

– O nie, Małpa. Ostrzegałam cię, ja w tym palców maczać nie mam zamiaru.

– Nikt nie każe ci w to wchodzić, masz tylko rzucić okiem.

– Rzucić okiem na co?

Przyjrzała mu się. Nie widzieli się od dłuższego czasu i dopiero teraz zwróciła uwagę, jak bardzo jest zmalretowany. Na dodatek cuchnęło od niego paskudnie. Opuściła szybę.

– Na to, co się dzieje w zamku – powiedział.

– O nie, mój panie.

– Masz cykora?

– Nie. – Twiggy delikatnie pogłaskała koński ogon. – Wiesz, że strach się mnie nie ima. I że nie pakuję się w nie swoje rewiry.

– Kikowanie to twoja specjalność. – Małpa nie dawał za wygraną.

– Lubię wiedzieć, dokąd idę i na czym stoję.

– No więc?

– Mówiłam ci tyle razy, żebyś się w to nie pakował.

Małpa przygrzmocił pięścią w kierownicę.

– Ale już w to, kurwa, wlażem i potrzebuję twojej pomocy! – wrzasnął. Twiggy chwyciła nerwowo za brzeg minispódniczki i odwróciła głowę do okna. Chwilę później poczuła, jak Małpa łagodnie ujmuje jej dłoń. – Pomóż mi, piękna – załkał cicho.

Do tej pory Twiggy nie patrzyła na drogę, ale nagle zdała sobie sprawę, że Małpa wziął azymut na zamek. Wyjęła z torby paczkę papierosów i poczęstowała go. Odmówił, kręcąc głową.

– Narajałem się tyle, że niedobrze mi się robi – rzucił.

Twiggy przypaliła jednego i powoli wypuściła cienką smuzkę dymu. Potem znów musnęła palcami sztucznego kuca.

– I jak chcesz to zrobić? – spytała.

– Pisziesz się? – Małpa zerknął na nią.

– Zależy.

Podrapał się w głowę i zabębnił palcami w kierownicę.

– Do zamku prowadzi tylko jedna droga, ale jest obstawiona wojskiem.

– Ach, to cudnie...

– Może mogłabyś tam zajrzeć zza ogrodzenia, ale...

– Ale co?

Małpa potargał ręką włosy.

– Spokojnie – powiedziała Twiggy.

– Może z jakiegoś drzewa? – zasugerował niepewnie.

– Bomba, drzewa to moja specjalność.

– Chodzi o to, że nie jestem pewien. Pała mówi, że dokoła zamku też roi się od glin.

Twiggy pstryknęła palcami.

– Ej, mam sposób! – zawołała. – Pała jest policjantem, niech on tam się rozejrzy.

– Zapomnij. Jeśli nie dadzą mu tam służby, nic z tego. A jak na razie nie zanoszą się.

Obydwoje ucichli. Małpa terkotał palcami w kierownicę, dziewczyna dopalała papierosa. W oddali ukazała się ceglana wieża kościoła San José. Twiggy popatrzyła na nią i zaciągnęła się ostatni raz.

– Błogosławiony bądź, Ojczy – powiedziała.

Pół godziny później, wyprostowana i godna, szła cyprysową aleją w kierunku bramy wjazdowej zamku. Małpa obserwował ją z daleka. Ze zdenerwowania nie zwrócił wcześniej uwagi na jej kreację: koszulkę bez rękawów, kozaki na wysokim obcasie i niewiarygodnie skąpą minispódniczkę. Zatrąbił, żeby ją ostrzec, ale ona wkurzyła się tylko, że sterczy tam dalej, zamiast się wynosić. Pokazywał jej na migi, żeby wróciła.

– Wracaj! – krzyknął w końcu, ale ona odwróciła się ze złością i przyśpieszyła kroku, zbliżając się do bramy strzeżonej przez czterech policjantów.

– Otwórzcie drzwi Panu! – zawołała uroczyście.

– Jakiemu panu? – spytał jeden z funkcjonariuszy.

Dziewczyna wyjęła z torby Biblię, ukradzioną kilka minut wcześniej z zakrystii kościoła San José, i podstawiła ją pod nos pytającemu.

– Panu na niebiesiech – powiedziała. – On to posłał mnie, bym ulżyła cierpieniom mieszkańców tego domu.

Policjanci spojrzeli na siebie, drwiąco się uśmiechając.

– Teraz nie wpuszczamy nikogo.

Twiggy zapuściła żurawia w stronę zamku. Kręciło się tam sporo mundurowych, zaparkowanych było kilka samochodów. Znajdowała się zbyt daleko, żeby móc zobaczyć cokolwiek przez szyby okien.

– Przynoszę dobrą nowinę pani Benedykcie – powiedziała i włożyła rękę do torby, z której wyjęła grubą, również zwędzoną gromnicę. – I cudowną gromnicę, która wróci jej męża.

Policjanci ponownie popatrzyli na siebie, pochmurniejąc.

– Kim pani jest?

– Korną wysłanniczką.

– To już wiemy, ale konkretnie?

– Nie jestem sama. Tworzymy wspólnotę dziesięciu kobiet, które będą się modlić dopóty, dopóki nie wróci don Diego.

– Kim jesteście? Gdzie się modlicie?

Twiggy zawahała się, spojrzała na gromnicę i przycisnęła do piersi Biblię.

– Jesteśmy wszędzie tam, gdzie ból i cierpienie – odparła, patrząc przed siebie jasnym wzrokiem. Policjanci spoglądali w milczeniu jeden na drugiego. – Zaklinam – wzniosła ku nim raptem zwilgotniałe oczy – ośmielam się prosić jedynie o to, aby panowie przekazali moją nowinę doñi Dicie.

– Zna pani doñę Ditę?

– Oczywiście.

– Proszę tu poczekać – zdecydował jeden z policjantów i ruszył w stronę zamku.

Twiggy uśmiechnęła się do jego kolegów, oni zaś zlustrowali jej nogi. Odwróciła się od nich i spojrzała na drogę. Małpy już nie było.

– Jak ciężko się wchodzi pod tę górę – powiedziała. – I to w taki upał.

Po kwadransie w oddali pojawił się policjant. Szedł powoli, z poważnym obliczem. Twiggy poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Tamten wrócił pod bramę i szepnął coś na ucho koledze. Po chwili szcęknął rygiel.

Twiggy z ledwością zdołała ukryć zaskoczenie, gdy usłyszała:

– Niech pani wejdzie. Proszę iść w stronę tarasu, tam już na panią czekają.

W portyku oczekiwali jej lokaj Hugo i jakiś policjant. Wspięła się po schodach i o mały włos zderzyłaby się z nimi. Bardziej zdenerwowała się widokiem Hugona. Jak poczynać sobie ze stróżami prawa, wiedziała doskonale. Bawiąc się z nimi w ciuciubabkę, przestała się ich bać, ale postać Hugona przejęła ją dreszczem. Facet

od stóp do szyi spowity w czerń, tylko na dłoniach miał białe rękawiczki, wymizerowany i przybity z powodu tragicznego zniknięcia don Diega. A wręcz zdruzgotany tym, że i na niego padło podejrzenie, przesłuchiowano go nawet. Tykowały, wybrylantowały i sztywne, z zamkiem w tle – pod Twiggy zatrzęsły się nogi. „Wyglądał jak Drakula, Małpa. Przysięgam ci, jak prawdziwy wampir”, opowiadała później.

Policjant został na tarasie, ona zaś weszła za Hugonem do westybulu.

– Proszę zaczekać tutaj – rzekł dostojnie lokaj i wszedł na drewniane schody, zaczynające się na dole dwoma niezależnymi ciągami, które łączyły się na górnym piętrze. Z sufitu zwisał kryształowy ośmioramienny żyrandol. Z prawej strony na Twiggy patrzyła z portretu uśmiechnięta kobieta; domyśliła się, że to Benedikta. Zwróciła uwagę na złoty krzyż i szlachetne kamienie zdobiące jej szyję. Wyobraziła sobie, że prawdziwy krzyż musi z pewnością gdzieś tu być. Na lewej ścianie, w bogato zdobionej ramie znajdował się portret dojrzałego mężczyzny o poważnym obliczu. To chyba on, pomyślała. Rozejrzała się i korzystając z chwili samotności, weszła do następnego westybulu wychodzącego na ogród. Tutaj też wisiał żyrandol, jeszcze większy i ociekający jeszcze większą liczbą kryształowych wisiorów niż poprzedni. Naprzeciwko, oświetlony od zewnątrz naturalnym światłem, ukazał się jej oczom okrągły witraż przedstawiający don Diega i dziewczynkę zbierającą różowe, żółte i czerwone róże. „To ona”, powie później Małpa. „To Izolda”.

Z obu stron westybulu odchodziły dwa korytarze i chociaż nie widziała nikogo, usłyszała szmery rozmów i czyjś kaszel. Wzdrygnęła się z przestachem, kiedy za jej plecami rozległ się głos Hugona:

– Proszę za mną.

Posłusznie poszła za lokajem. „Mówię ci, Małpa, urodzony złodziej. Chodzi cicho jak kot”.

Po drodze zobaczyła krewnych don Diega kończących obiad w ogromnej jadalni. Rozmawiali cicho, byli bardzo eleganccy i dystyngowani. Towarzyszył im policjant wyższej szarży. „Nie wiem, w jakim stopniu. Nie znam się na tych ich falbankach”.

Wszyscy odwrócili się na widok Twiggy. Lokaj oznajmił:

– Proszę usiąść, pani zaraz przyjdzie.

Poszedł, ona zaś spostrzegła kątem oka, że stołownicy wciąż przyglądają się jej z jadalni. Może czekali, aż usiądzie, żeby zobaczyć, jak sobie poradzi z założeniem nogi na nogę bez pokazania tego, co pod spódniczką. Zorientowawszy się jednak, że zostali namierzeni, odchrząknęli i wrócili do swoich poszeptywań.

Niebawem zjawiała się Dita, uprzejma i uśmiechnięta, jak na portrecie z westybulu, mimo nieprzespanych nocy i trapiącej ją udręki. Twiggy wstała, przyciskając Biblię do piersi.

– Proszę wybaczyć, że kazałam pani czekać – rzekła Dita. – Przez cały ranek nie zdołałam się ogarnąć. – Miała na sobie swobodne, domowe ubranie, chociaż na jej piersi połyskiwał prawdziwy klejnot – srebrna brosza w kształcie starego klucza, inkrustowana diamentami. Twiggy z przejęciem zatrzepotała rzęsami. – Proszę, niechże pani spocznie – powtórzyła Dita.

– Dziękuję – szepnęła Twiggy, zniewolona jej głębokim spojrzeniem, nie wiedząc, co dalej począć.

Małpa tymczasem siedział nad kieliszkiem w kantynie w Envigado, kojąc nerwy wódką i wierszami o miłości. Mruczał coś niezrozumiale do siebie, jakby odmawiał modlitwę pod wpływem silnego wzruszenia. „Dlatego są tak czarne, jak smolne są noce lodowych biegunów, moje czarne kwiaty”. Uderzył dwa razy pustym kieliszkiem w stół, żeby dać o sobie znać kelnerce.

– Przynies mi jeszcze jedną podwójną – zażądał, gdy ta się zjawiała.

„Schowaj tedy ten bukiet lichy, smętny, żałobnych tych kwiatów, które dziś ci daję”. Spojrzał na zegarek i przetrząsnął kieszenie spodni. Przysięgłby, że powinna tam być jeszcze jedna moneta. Parszywe życie. Wyjął jednopesowy banknot i położył go na stole. Przeniósł wzrok na kelnerkę, która paplała z koleżanką za kontuarem, podczas gdy jego wódka wyparowywała na tacy.

W zamku Twiggy sprzedawałyby duszę diabłu za kieliszek alkoholu. Przedstawiła się jako wysłanniczka Pana, ale nie miała pojęcia, co dalej. Dita podziękowała i zastygła w oczekiwaniu. Twiggy wolałaby, żeby to ona przejęła inicjatywę w rozmowie, wtedy ona mogłaby się skupić na rozmowach panów w jadalni. Zdesperowana milczeniem pani domu i niezrozumiałym poszeptywaniem krewnych, otworzyła na chybił trafił Biblię i zaczęła czytać tekst z księgi Ezechiela: „Pośrodku było coś, co było podobne do czterech istot żyjących. Oto ich wygląd: miały one postać człowieka. Każda z nich miała po cztery twarze i po cztery skrzydła. Nogi ich były proste, stopy ich zaś były podobne do stóp cielca”⁶. Twiggy podniosła oczy i napotkała uśmiechnięte oblicze Dity.

Małpa klasnął w dłonie, żeby ponaglić kelnerkę rajcującą w najlepsze z barmanką. Ta zobaczyła go, pacnęła się ręką w czoło i głupio roześmiała. Ruszyła energicznym krokiem z kieliszkiem balansującym na tacy.

– Gdzie ja mam głowę, na śmierć zapomniałam!

– Weź to i daj mi resztę drobnymi, muszę zadzwonić – powiedział Małpa.

Kelnerka postawiła tacę na stole i z kieszeni fartuszka wyjęła dwudziestaka. Podała monetę Małpie i rzuciła kokieteryjnie:

– Proszę, to w ramach pożyczki, odda mi pan później.

Małpa wypił wódkę duszkiem, skrzywił się i wstał od stołu. W drodze do telefonu zamówił u kelnerki jeszcze jedną kolejkę.

– „Dokądkolwiek poruszał je duch, tam szły także koła; równocześnie podnosiły się z nimi, ponieważ duch życia znajdował się w kołach”⁷ – przeczytała Twiggy, usiłując jednocześnie wychwycić coś z rozmowy krewnych don Diega. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i napotykała oczy Dity, która trwała w niezmienionej pozie. – „Nad głowami tych istot żyjących było coś jakby sklepienie niebieskie, jakby kryształ lśniący”⁸...

– Proszę wybaczyć – przerwała jej Dita. – Nie zaproponowano pani nic do picia? – spytała z twardym, niemieckim akcentem, którego nigdy nie zdołała złagodzić. Twiggy tylko pokręciła głową. – Hugo! – zawołała pani domu.

Lokaj zjawił się w mgnieniu oka.

– Szklaneczkę wody, jeśli można – powiedziała Twiggy.

Dita dała znak Hugonowi, że może odejść, a Twiggy, żeby kontynuowała. Dziewczyna nie mogła odnaleźć miejsca, w którym przerwała, znów więc wybrała fragment na chybił trafił: „Jak pojawienie się tęczy na obłokach w dzień deszczowy, tak przedstawiał się ów blask dokoła”⁹...

Zadzwoił telefon i wszyscy zastygli. Biblia wypadła z rąk Twiggy i wylądowała na podłodze. Dita spojrzała na krewnych don Diega wbijających wzrok w telefon. Oficer policji wstał od stołu i na migi pokazał wszystkim, żeby zostali na swoich miejscach i zachowali ciszę. Sam zajął pozycję obok czarnego aparatu telefonicznego, do którego podłączone były dwa magnetofony. Telefon zdawał się dźwięczeć coraz głośniejsze. Wszyscy obecni czuli jego wibracje w kościach i wszyscy gapili się w niego, jakby za chwilę miał wydać z siebie coś jeszcze oprócz przeraźliwego dzwonienia.

Na Twiggy najpierw spłynęła fala gorąca, a po chwili przejęło ją chłodem. Czuła, że zaraz się rozsypie. Nie, to nie dla mnie, powtarzała sobie w myślach. Zerknęła na Ditę, która całą siłą woli usiłowała zachować milczenie, na krewnych, sprawiających wrażenie gotowych do ataku, i na oficera, który beznamiętnie wpatrywał się w telefon rozdzwoniony na wysokości jego kolan. W końcu aparat ucichł i wszyscy odetchnęli.

– A jeśli to nie był on? – spytał ktoś od stołu.

– Kimkolwiek by był, powinien wiedzieć, że dzwonić tu nie należy – stwierdził twardo oficer.

Dita załkała i przytuliła się do Twiggy, która korzystając z okazji, gwizdnęła jej broszkę. Krewni wstali.

– Jest nam bardzo przykro, ale nie mamy innego wyjścia – powiedział jeden z nich.

Dita, nie odzywając się słowem, pośpiesznie wyszła.

– Panowie... – zabrał głos ktoś inny, lecz oficer uciszył go, zezując w stronę zmartwiałej Twiggy, która ciągle tkwiła w sali kolonialnej.

Wszyscy przenieśli na nią wzrok, na co ona uśmiechnęła się niepewnie. Zrozumiała sugestię i wyszła, usiłując przypomnieć sobie drogę do wyjścia. Hugona z wodą się nie doczekała.

– Nie, Małpa, to nie dla mnie.

– No i?

– No i co?

– Co dalej?

– To wszystko.

– Chyba kpisz!

– Zrozum, rozmawiali bardzo cicho i do tego o czymś, czego kompletnie nie kapowałam.

– Ale przecież na coś musiałaś zwrócić uwagę, nie wiem, na jakieś zdanie, słowo. Skoro był tam ten glina, to chyba dlatego, że rozmawiali o nas, no nie?

– Faktycznie. Mówili coś o tym, jak działać, coś o gubernatorze i coś tam o nagrodzie.

– „Coś tam”? Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić to „coś tam”?

– Wypchaj się, Małpa. – Twiggy zjeżyła się i łyknęła wódki. Po chwili powiedziała: – Gadali o jakimś Belgu.

– O Belgu?

– Tak, o Belgu. Zdaje się, że ktoś powiedział, że w następnym tygodniu przyjeżdża Belg.

Małpa potarł twarz, poruszony do żywego. Przygryzł górną wargę i zapalił papierosa.

– Zagraniczny detektyw? – Twiggy wzruszyła ramionami. – Masz to gdzieś, no nie?

Dziewczyna wstała i położyła na stole małe zawiniątko.

– Spadam – powiedziała.

– Nigdzie nie idziesz – warknął Małpa i Twiggy klapnęła z powrotem. – Co to jest?

– Nie chciałeś przypadkiem dowodu? Powinieneś być mi wdzięczny, że nie wzięłam tego dla siebie.

Zmierzyli się wściekłym wzrokiem. Małpa odsunął krzesło z szurgotem i wstał. Podrapał się w głowę, po czym wcisnął ręce w kieszenie i podszedł do szafy

grającej, w której właśnie zmieniała się płyta. Od stołu rozległ się dziki wrzask Twiggy. Małpa zobaczył, jak dziewczyna odrywa sztuczny koński ogon i chowa go do torby. Wrócił do stolika.

– O co ci chodzi? – zapytał.

– O nic. – Włała sobie do ust resztę wódki. – Długie włosy to też nie moja bajka.

[6](#) Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa, 1980.

[7](#) *Ibidem*.

[8](#) *Ibidem*.

[9](#) *Ibidem*.

Enrico Arcuri rozłożył na stole kreślarskim zdjęcia kilkunastu zamków, z których don Diego miał wybrać ten najbliższy jego sercu. Były to zamki niemieckie, austriackie, włoskie i tylko dwa francuskie. Żaden z nich nie pochodził z doliny Loary i żaden nie dorównywał rozmiarami zamkowi w Chambord.

– Niezbędne mi jest ogólne wyobrażenie o stylu i wielkości – powiedział Arcuri.

– Te odpadają – szybko postanowił don Diego, odkładając na bok zdjęcia największych budowli. – Wprawdzie nie można im odmówić monumentalności, ale musimy być realistami i dostosować się do miejscowych warunków.

– Jeśli już zdecydował się pan na takie przedsięwzięcie, moglibyśmy wykorzystać pochyłość terenu i zaprojektować obiekt na różnych poziomach – zaproponował architekt.

– Powinien pan się z nim zapoznać – powiedział don Diego.

– Słucham?

– Mam na myśli teren. Powinien pan wybrać się ze mną do Medellín.

Arcuri otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie wybuchnął gromkim śmiechem, wyrażającym raczej niedowierzanie niż rozbawienie.

– Nie ma najmniejszej możliwości, żebym wszedł na pokład samolotu – oświadczył.

– Problemy ze zdrowiem?

– Tak. Strach to problem zdrowotny, i to bardzo poważny.

Don Diego uśmiechnął się.

– Można przecież popłynąć statkiem.

– Medellín to miasto portowe? – Don Diego pokręcił głową. – Proszę zatem o tym zapomnieć. Zrobimy tak, jak mówiliśmy – ja tutaj, pańscy architekci na miejscu. – Don Diego rozłożył ręce na znak kapitulacji, zaś Arcuri zabrał się do przeszukiwania sterty zrolowanych planów i map. – Czy obejrzał pan już wszystkie fotografie? – spytał, nie przerywając poszukiwań.

Don Diego jeszcze raz powiódł wzrokiem po zamkach rozrzuconych na stole i zatrzymał się przy La Rochefoucauld. Ujął zdjęcie w palce i podszedł do okna, aby przyjrzeć się mu w naturalnym świetle. – Jest – rzucił nagle Arcuri i rozpostarł plan na stole, przyciskając jego rogi grubymi zeszytami. – Oto pański teren.

– A to zamek, który mi się podoba.

Don Diego podszedł do architekta i pokazał mu fotografię.

– La Rochefoucauld! – zawołał Arcuri. – Znam go jak własną kieszeń.

– Czy ma jakiś związek z de La Rochefoucauld pisarzem?

– Bardzo ścisły, zwłaszcza z jego kuzynami i wszystkimi, którzy przeżyli kardynała Richelieu.

– Ach, Richelieu.

– Tak, książę ciemności. – Architekt położył zdjęcie zamku na planie. – To już coś. – Uśmiechnął się. – Woli pan z rzeką czy bez?

Don Diego zachichotał.

– Pod lasem płynie strumień – odpowiedział. – Myśli pan, że się nada?

W drzwiach ukazała się głowa Cyrine.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedł pan Baumann – zaanonsowała po francusku.

Arcuri przeprosił na chwilę swego gościa i wyszedł za kobietą. Don Diego nie spodziewał się spotkać tu Mirka. To, co wydało mu się zbiegiem okoliczności, okazało się dobrze uknutym spiskiem.

Wszyscy trzej poszli napić się czegoś do niedawno odbudowanego Kranzlera, kawiarni, w której popołudniami grała orkiestra kameralna. Dla don Diega nie istniała większa rozkosz niż delektowanie się kawą i kawałkiem tortu przy dźwiękach muzyki klasycznej. Mirko i Arcuri zamówili dzin. W trakcie muzycznej pauzy Mirko zagadnął:

– Chcielibyśmy zaproponować ci przystąpienie do naszego projektu.

– Pragniemy reunifikować Niemcy – oświadczył bez ogródek Arcuri.

– We dwójkę? – spytał niewinnie don Diego.

– Nie żartuj, sprawa jest poważna – powiedział Mirko.

– Nie jesteśmy sami, są nas tysiące zwykłych obywateli, Francuzów jak ja, Włochów, Anglików i ma się rozumieć, całe rzesze Niemców – wyjaśnił podekscytowany Arcuri.

– I teraz postanowili panowie zwerbować Kolumbijczyka – zauważył nie bez ironii don Diego.

– Potrzebujemy wsparcia. Partia z powodu represji ma związane ręce...

– Jaka partia? – spytał don Diego.

Mirko i Arcuri spojrzeli na siebie. Od strony orkiestry znów popłynęły dźwięki muzyki.

– Baza narodowosocjalistyczna przetrwała nietknięta – podjął Arcuri, lecz don Diego przerwał mu pełnym zniecierpliwienia gestem.

– To Mozart – rzekł cicho.

– Diego, idee nie umarły – usiłował tłumaczyć Mirko, jednak jego też don Diego

uciszył energicznym ruchem ręki. Mirko i architekt patrzyli, jak zamyka oczy i unosi się na skrzydłach *andante*.

O ósmej wieczór czekał na Dite w bramie jej domu. Byli umówieni na kolację. Wyszła, elegancko ubrana i pachnąca perfumami, ale nie miała ani torebki, ani palta.

– Jeszcześ niegotowa?

– Owszem. Wejdz, proszę.

Pocałowała go w windzie. Był to długi, wilgotny pocałunek, jak ten sprzed kilku dni w kinie. Don Diego zatrzymał się taktownie przed drzwiami jej mieszkania. Był tam po raz pierwszy. Dita wprowadziła go do środka, trzymając za rękę.

Z kuchni unosił się zapach przygotowywanej potrawy, czegoś, co miało dużo pieprzu. Z radioli słyhać było wysoki głos niemieckiej piosenkarki, której don Diego nie potrafił zidentyfikować.

– Nie poznajesz jej? – spytała Dita. – To Rosita Serrano.

– Chilijka, którą uwielbiał Hitler!

Dita położyła mu palec na ustach.

– To muzyka dla ciebie. Śpiewa kilka piosenek po hiszpańsku – powiedziała i dodała: – Daj mi swój płaszcz.

– Nie, po co, nie opłaca mi się zdejmować – odparł don Diego.

– Daj – nalegała Dita.

Don Diego rzucił dyskretne spojrzenie w kierunku pokoi.

– A twoje koleżanki?

– Nieobecne. – Dita uśmiechnęła się znacząco, wieszając palto don Diega w szafie w przedpokoju. Później stanęła przed nim i powiedziała cicho: – Nie wróć na noc.

Pocałowała go ponownie, o wiele śmieiej i namiętniej, niemal z gorączkowym pośpiechem.

Jakiś czas potem don Diego spostrzegł na dywanie spinkę od koszuli. W pierwszej chwili chciał wstać i ją podnieść, ale wstydził się swojej nagości. Leżąca u jego boku Dita zdawała się spać. W dużym pokoju Rosita Serrano kończyła właśnie śpiewać *La Palomę*. Na nocnym stoliku stały dwa kieliszki do połowy napełnione szampanem. Don Diego chciał napić się wody, ubrać się i obmyć twarz. Nie otwierając oczu, Dita oparła głowę na jego ramieniu, jedną dłoń położyła mu na piersi, drugą zaś wsunęła pod kołdrę i odszukała zwiotczały członek. Uśmiechnęła się. Poczul zawstydzenie, jak przed paroma chwilami, wtedy gdy jej ręka buszowała w jego spodniach. Na coś podobnego pozwoliła sobie jedynie jakaś Rumunka czy Egipcjanka w burdelu Turczynki. Nigdy nie spodziewałby się takiego wybryku po dobrze wychowanej Niemce, córce pastora. Dita oswobodziła swoją zdobycz i przesunęła rękę ku talii don Diega, którego nie opuszczało uczucie zakłopotania.

Nie nawykł do takich pieszczot ani do zażywania sjeisty po odbywym stosunku. Próbował się podnieść, ale dziewczyna wciąż trzymała ramię na jego brzuchu i nie pozwalała wstać.

– Kocham cię – wyszeptała. – Ale nie chcę wychodzić za mąż.

– Słucham?

Don Diego usiadł raptownie na łóżku. Dita otworzyła oczy i położyła głowę na poduszce.

– Bardzo cię kocham – powtórzyła spokojnie. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś mężczyzną, z którym pragnę spędzić resztę mego życia. Ale nie chcę wychodzić za mąż.

Rozbieganymi, ciskającymi pioruny oczami don Diego próbował zlokalizować swoje ubranie, ale dostrzegł jedynie spodnie porzucone w połowie drogi między pokojem i salonem.

– Co ty mówisz, Dito? Chyba alkohol uderzył ci do głowy.

– Nie – odparła cicho. – To decyzja podjęta dawno temu i nie ma nic wspólnego z twoją osobą.

– Czegoś takiego nie może powiedzieć kobieta. – Wpatrywał się natarczywie w swoje spodnie. – Czegoś takiego nie może powiedzieć kobieta taka jak ty.

– Pozwól, że ci wyjaśnię...

– Nie. Jak mogłaś oświadczyć mi coś podobnego, i to zaraz po tym, co właśnie zrobiliśmy?

– Chcę jechać z tobą do Ameryki, pragnę mieć z tobą dzieci, ale nie chcę żadnych pośredników w moich uczuciach.

– Zamilcz!

– Diego, zmiłuj się.

– Milcz!

– Nie, musisz mnie wysłuchać. – Don Diego odrzucił gwałtownie kołdrę, przysiadł na brzegu łóżka i chwycił się obiema rękami za głowę. – Miłość – podjęła Dita – to nie jest coś, co można sformalizować...

– Dość, nie chcę tego słuchać! – krzyknął i goły, w samych skarpetkach, pomaszerował energicznie w kierunku drzwi. Zgarnął z podłogi spodnie i ruszył prosto do salonu, gdzie zostawił resztę garderoby.

Dita weszła do łazienki i zdjęła z wieszaka szlafrok. Zawiazywała go, po omacku szukając stopami kapci pod umywalką. Nie znalazła. Usiadła na sedesie i wysikała się. Oparła łokcie na kolanach i ukryła w dłoniach twarz.

– Jesteś uparty jak kozioł! – krzyknęła po chwili. Wytarła się i wrzasnęła ponownie: – Latynoski macho od siedmiu boleści! Tak trudno wysłuchać tego, co mam do powiedzenia?

Spuściła wodę i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Włosy miała w nieładzie,

a jej niebieskie oczy rozjaśniała złość. Próbowała uładzić palcami fryzurę, ale po chwili machnęła na to ręką i wyszła.

– Diego! – zawołała z pokoju.

Poszła do salonu, spojrzała w stronę innych pokoi, weszła do kuchni. Nic. Przepadł jak kamień w wodę. Otworzyła drzwi mieszkania i krzyknęła w dół schodów:

– Diego!

Wróciła do salonu i usiadła. Po chwili usłyszała jednostajny, piskliwy chrobot. Podeszła do radioli i ujrzała wirującą płytę Rosity Serrano z igłą przeskakującą na środku krążka. Wyłączyła aparat i wróciła do pokoju. Rzuciła się na łóżko, na którym jeszcze przed chwilą przeżyła ekstatyczne uniesienie z mężczyzną. Chwyciła poduszkę i wtuliła się w nią z całych sił. Potem przekręciła się na bok i jej wzrok napotkał dwa kieliszki szampana. Na dywanie skrzyła się spinka od koszuli don Diega, samotna niczym gwiazda.

21

– Nie. Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Nie rób jaj – powiedział Carlitos.

– Była o tym mowa, tak czy nie? – spytał Małpa, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– Wszyscy o tym wiedzieli i wszyscy byli przygotowani na długą walkę, tak czy nie? Zakładaliśmy, że to się może przeciągnąć i do pół roku, a ile czasu minęło, miesiąc?

– Zgadza się, Małpa – przyznał Rudy. – Ale działamy pod dużą presją.

Szalejąca na zewnątrz nawałnica napierała na chałupę z taką siłą, jakby się uparła, żeby zerwać z niej dach. Przez pęknięte szyby wdzierał się wściekły wiatr i deszcz. Małpa nie pozwalał rozpalić ognia w kominku i teraz chłód przenikał mur z suszonej cegły.

– Rozmawiałeś z Pałą? – spytał Carlitos.

– Gadam z nim codziennie – odparł Małpa.

– No i co? Mówił coś?

– Niby co, Carlitos? Wyrażaj się jaśniej.

– No, o tym, co się dzieje w policji.

– Jestem na bieżąco z tym, co się dzieje w policji. I co z tego? Może wcześniej nie wiedzieliśmy, co może się dziać? Nie pamiętacie, że już mieliśmy gliny na karku, że musieliśmy się ostrzeliwać? A teraz przelatuje nam nad głową helikopter i zaraz macie pełno w gaciach.

Siedzieli w dużej izbie, jedni na rzuconym na podłogę starym materacu, inni na kanapie, z której sterczały zardzewiałe sprężyny.

– Małpa, tu nie chodzi o helikopter.

– Co? Nie usłyszałem.

– Nie chodzi o helikopter – powtórzył nieco głośniejszym głosem Chwast. – Szukają nas wszędzie, przetrząsają wszystkie dziury, oferują nagrody, sprowadzili więcej wojska i policji...

– Szukają, ale nie wiedzą kogo – przerwał mu Małpa. – Tropią gagatków, którzy zgarnęli gościa, ale nie wiedzą, kim oni są, nie znają ich nazwisk, nie mają zdjęć, najmniejszego śladu. Szukają nieznanym im ludzi, całkiem na ślepo.

– Tymi nieznanymi ludźmi jesteśmy my, Małpa.

Potężny grzmot wstrząsnął chatą i na ułamek sekundy przygasło światło. Brevka wydał z siebie bolesny jęk, który utonął w huku. Schudł bardzo, a jego krzaczaste brwi nastroszyły się i zgęstniały, przypominając dwa czarne robaki wijące się na czole. Głębokie podkowy pod oczami sprawiały, że jego spojrzenie było jeszcze smutniejsze.

– I znaleźli jeepa – dodał Rudy.

– Jeepa porzuciliśmy – sprostował Małpa, wstając z kanapy. – Czegoś tu nie kapuję. Gadaliśmy już o tym tysiąc razy. Wałkowaliśmy wszystko punkt po punkcie. Chciałbym usłyszeć coś, o czym nie wiem.

– A jak nie zapłacą?

– Zapłacą. Co jeszcze?

– Może opuścisz im trochę?

– Ani centava. Co jeszcze?

– Mnie nie martwi ani wojsko, ani pały – odezwał się milczący dotąd Pluskwa.

Małpa pokazał na niego i zawołał z dumą:

– Brawo, Pluskwa! Przynajmniej jeden gada do rzeczy.

– Martwi mnie to – ciągnął Pluskwa – że zaczyna brakować kasy.

– Jak to? – Rudy spojrział na niego.

– A szmal z Banco Comercial? Przecież w całości przeznaczony był na tę akcję? – zdziwił się Chwast.

– I nic się nie zmieniło – pośpiesznie zapewnił Małpa.

– Twiggy mówi, że zostało pięćdziesiąt tysięcy pesos – powiedział Pluskwa.

– Niemożliwe – zaniepokoił się Rudy.

– Twiggy bredzi! – uniósł się Małpa. – Strzegę tej kasy jak oka w głowie, żeby wystarczyło na jak najdłużej. Mamy od groma wydatków, ale tego pilnuję, spokojna głowa.

Pozostali popatrzyli na siebie jakoś dziwnie. Małpie się to nie spodobało.

– No, co? – spytał buńczucznie.

– Potrzebuję forsy – powiedział Pluskwa. – W domu nie ma na żarcie. Wiesz przecież.

– Każdy dostanie swoją działkę.

– Kiedy?

Małpa zrobił powolną rundkę za plecami kompanów, osaczając ich swoimi krokami i wzbierającym gniewem.

– Banda niewdzięczników! – wybuchnął wreszcie. – Za chwilę dzięki mnie będą srali kasą, a ci wyskakują z jakimiś dziadowskimi pretensjami!

Wszyscy podwracali głowy, z wyjątkiem Pluskwy, który patrzył Małpie prosto w oczy.

– Co ty właściwie robisz, jak cię tu nie ma? – spytał.

– Co ja robię? – Małpa podszedł do niego. – A jak myślisz, co robię? Drapię się po jajach?

– Właśnie dlatego pytam. – Pluskwa wstał. – Bo my nie wiemy, co robisz.

– Zajmuję się czymś – Małpa wycelował w niego palcem – o czym ty nie masz bladego pojęcia, na czym wy wszyscy znacie się jak świnia na gwiazdach: wywiadem.

– Ach, tak... Zajmujesz się wywiadem. I jak to się robi?

– Wywiadując się. – Małpa opuścił ramię, nie spuszczając wzroku z Pluskwy. Kolejny grzmot sprawił, że wszyscy się wzdrygnęli. Małpa rozciągnął usta w uśmiechu. – Jeszcze jakieś zażalenia, panienki?

– Puść Brewkę – poprosił Rudy.

– Nie ma mowy.

– Od czasu tego zdarzenia z helikopterem puszczają mi nerwy. Potrzebuje odpoczynku.

– Właśnie dlatego musi zostać – tłumaczył Małpa. – Jak jest taki rozkołatany, jeszcze gdzie pójdzie i narobi smrodu. Lepiej niech tu siedzi.

Brewka trząsnął się z zimna, głowa zwisała mu na piersi, obejmował się ramionami. Małpa popatrzył na niego.

– Dajcie mu coś na sen – powiedział.

– Ale co, tabletki?

– Nie, Chwast, coś do picia, jakieś ziółka.

– Małpa, przecież zabroniłeś nam przypalać.

– Ty już wiesz, co mam na myśli. Nie udawaj głupiego.

Trzy mocne uderzenia w drzwi zamknęły temat.

– I co teraz? – spytał Carlitos.

– Idź do niego – powiedział Pluskwa. – Pewnie chce mu się lać.

Don Diego ponownie załomotał w drzwi. Carlitos dzwignął się, ale Małpa go powstrzymał.

– Siedź. Ja pójdę – powiedział i ruszył w głąb korytarza.

– Dzień dobry, don Diego. Leje jak z cebra, co?

Stary nawet na niego nie spojrział. Oczekał, aż Małpa zejdzie mu z drogi, i powlókł się do ubikacji.

– Musimy porozmawiać! – zawołał za nim Małpa z korytarza.

Za drzwi dało się słyszeć szemranie urywanego, wątego strumyczka. A zaraz potem cichy śpiew: „Ten błękitny ptaszek to miłość jest ma, co płonie do ciebie, najgorętszy żar mych dziecięcych lat”.

Małpa raptownie otworzył drzwi, w chwili gdy don Diego odwracał się, żeby zapiąć spodnie.

– Przecież się umawialiśmy – powiedział z wyrzutem stary.

– Byłem ciekaw, co też wprawia pana w tak dobry nastrój, że śpiewa pan przy tej robocie.

Don Diego opłukał ręce i pochylił się nad umywalką, żeby ochlapać wodą twarz. Później obtarł się rękawem koszuli i spytał:

– Co pana kosztuje przynieść mi ręcznik i mydło?

– Tyle samo, co pana napisanie paru słów do rodziny.

– W takim razie faktycznie drogo – odparł don Diego i wrócił na wyrko. Ściągnął buty i nakrył się derką.

– Muszę panu wyznać – zagaił Małpa – że byliśmy w pańskim zamku. – Don Diego obrzucił go pytającym spojrzeniem. – Nie, to nie ja byłem u pana w gościach – wyjaśnił Małpa. – Mogliby mnie przecież poznać po głosie. Jeden z moich ludzi wszedł do takiej sali z obrazem, na którym księżulki popijają winko.

Twarcz don Diega ściągnęła się. Chodziło o renesansowe płótno wiszące w sali kolonialnej.

– Jesteście podszyci tchórzem, nie poważylibyście się tam pokazać – powiedział.

– Proszę mi wierzyć, inżynierze, nie miałem innego wyjścia. Muszę wiedzieć, co się tam wyrabia, jak się sprawy mają.

– Ależ rzecz w tym, że nie dzieje się nic. I nic się stanie.

– Tu bym się z panem nie zgodził – zaproponował Małpa. – Byli tam pańscy krewni oraz major policji, major Salcedo, z tego, co udało mi się ustalić. Są gotowi do rozpoczęcia negocjacji.

– Rozmawiali z pańskim oprychem? – W głosie don Diega brzmiało powątpiewanie.

– Niezupełnie – odparł Małpa. – I bardzo proszę nie wyrażać się w ten sposób o moich ludziach. – Przysunął sobie stołek do pryczy i usiadł. – Uciał sobie za to pogawędkę z doñą Dita.

– Bezczelne kłamstwo! – zawołał don Diego i w tym samym momencie piorun uderzył tak blisko, że w chacie zgasło światło. W izbie zrobiło się ciemno jak w grobie.

Małpa po omacku odnalazł drogę do drzwi. Do korytarza wsączało się jeszcze gasnące światło wieczoru.

– Dajcie mi tu jakąś świeczkę! – krzyknął i oparł się o futrynę.

– Dita nigdy nie będzie z wami rozmawiać – w ciemności rozległ się spokojny głos.

– Już to zrobiła i była bardzo uprzejma. Jej lokaj przyniósł nawet mojemu człowiekowi szklanę wody.

– Wierutne kłamstwo.

– Ubrana była w kremowy pulowerek i spodnie w kawowo-niebieską kratę.

Carlitos przyniósł świeczkę. Małpa posłał mu mordercze spojrzenie.

– I co, mam sobie podłubać w nosie tym zgaszonym knotem?

Carlitos bez słowa zawrócił do kuchni.

– Miała srebrną broszkę w kształcie klucza – ciągnął Małpa.

Don Diego zacisnął powieki i poczuł, że zapada się w inny, o wiele głębszy mrok. Uczepił się koca i powtórzył cicho:

– Kłamstwo.

Kiedy znów otworzył oczy, ujrzał twarz Małpy oświetloną świeczką i napiętnowaną cieniami rzucanymi przez tańczący płomień. Wyglądał upiornie. Ruszył powoli naprzód, osłaniając płomień dłonią. Kucnął i postawił świeczkę na podłodze.

– Kim jest Belg? – zapytał.

– Jaki Belg?

– Ten, który ma złożyć wizytę w pańskim domu. – Kto to jest? – nastawał Małpa, ale don Diego ani pisnął. Światło przygasło nieco, jakby kończył się knot. Małpa przechylił nieznacznie świecę, by odlać roztopioną stearynę. – Proszę mnie posłuchać. Sytuacja, pańska sytuacja, jest już i tak nazbyt skomplikowana, żeby jeszcze wikłać w to zagraniczną policję.

– Mam niemieckie obywatelstwo – powiedział don Diego. – Jestem obywatelem Europy. Ten barbarzyński czyn skierowany jest również przeciwko Europejczykom.

– Nie przestraszę się ludzi kłapiących dziobem po inszemu. Moje kulki wchodzą w każdego bez wyjątku.

– Ichniejsze też. Nie jest pan ciałem chwalebny.

– Więc to jednak policjant.

Don Diego odpowiedział Małpie lekkim uśmiechem. Potem spojrzął na zgaszoną żarówkę na suficie i rzekł:

– Co za ulga.

– Co takiego?

– Ciemność.

– Ach, tak – odparł Małpa. – Ale prędzej czy później naprawią awarię. – Wziął z podłogi świeczkę i wstał. – A to na dowód, że potrafimy wejść do pańskiego zamku – powiedział samochwalczo, wyciągając zawiniątko spod ruany i podając je rozmówcy. – Pożyczylimy to sobie podczas wizyty. Bardzo proszę zwrócić doñi Dicie zaraz po powrocie, zgoda?

Rozdygotany don Diego przyjął od Małpy mały pakiecik i odwinął papier. W ubogim świetle świeczki rozbłysła broszka. Wzruszenie sprawiło, że klejnot wyslizgnął mu się z drżących palców i upadł na podłogę. Odgłos metalu uderzającego o deski zginął w dudnieniu deszczu bijącego wściekle o dach. Don Diego przypadł do podłogi w poszukiwaniu broszki, ale wtedy Małpa zdmuchnął

płomień świecy i pomieszczenie na powrót pogrążyło się w ciemności.
– Miłego wieczoru, don Diego.

Kobieta, którą zadźgano nożem na oczach Izoldy, ta z zakrwawioną piersią i wzrokiem błagającym o ratunek, nawiedzała nocami pokój śpiącej dziewczynki i za każdym razem gdy już, już miała upaść bez życia na łóżko, budziła ją z koszmaru. Krzyki przerażenia rozbrzmiewały w całym zamku i sprawiały, że Dita i don Diego wybiegali ze swoich sypialni, a w ślad za nimi Hedda, Hugo i służące. Nawet Guzmán słyszał wrzaski w swoim domku. Byli i tacy, którzy zapewniali, że słyhać je było z daleka, a że nie znali historii z zamordowaną prostytutką, stwierdzili, że Izolda oszalała z powodu życia w odosobnieniu. Jeszcze inni mówili, że rozum odebrały dziewczynce gwizdy dochodzące z sąsiadujących z zamkiem pastwisk. Prawda jest taka, że teraz źródłem tych przeraźliwych krzyków są złe wspomnienia.

– Proszę iść spać – mówił don Diego do służby podczas tych pierwszych nocnych incydentów, kiedy to wszyscy zbierali się w szlafrokach, oczekując jego poleceń.

Zostawali tylko on i Dita, niekiedy Hedda, jednak pewnej nocy ona również straciła panowanie nad sobą i zaczęła wydzierać się wniebogłose, natchniona lamentami Izoldy. Don Diego musiał potrząsnąć rozhisteryzowaną kobietą i obsztorcowawszy ją, wysłał z powrotem do łóżka. Później powiedział Dicie:

– Niech Izolda śpi z tobą, dopóki jej nie przejdzie.

Od zdarzenia z zasztyletowaną kobietą Izolda prawie się nie odzywała. Na domiar złego don Diego zabronił rozmawiać przy niej na ten temat. Dita była przeciwnego zdania: dziewczynka powinna mieć możliwość wyrażenia swych uczuć, być może jest dezorientowana i nie rozumie tego, co się wydarzyło. Zachęciła córkę do malowania, zakładając, że rysunki wydobędą z niej podskórne lęki. Ale Izolda, pociągnąwszy za ledwie kilka pierwszych linii, niekształtnych krech, mięła te próby i wyrzucała do kosza, nim zdążyły się przeobrazić w jakąkolwiek czytelną formę. Całkiem inaczej rzecz się miała z kolorowymi ilustracjami, jakie malowała pod wpływem klasycznych bajek, które czytała jej matka. Nie mówiąc już o rysunkach almirajów, kolonizujących ściany jej pokoju. Dita poprosiła ją tylko:

– Jeśli pragniesz mi coś powiedzieć, nie wahaj się ani sekundy.

Lecz przez ostatnie tygodnie nie przemówiła ani razu. Ani jednego słowa o tamtym dramatycznym wydarzeniu. Zaś nocne przebudzenia zanikały z wolna,

przynajmniej te związane z sennymi koszmarami.

My zaś niestrudzenie karmimy naszą fantazję – już nie obrazem małej dziewczynki biegającej po ogrodach, ale wizją wybujałej, dzięki niemieckim genom, pannicy. Mimo to dorastamy dość opieszale. Wciąż jeszcze bawimy się w rozbójników wymachujących drewnianymi mieczami, w kilerów plujących ołowiem z palców, w uczestników dalekich wypraw na bezpańskie, zarośnięte zielskim płace i szpiegów biorących nogi za pas pod wpływem najłżejszego szelestu. Czujemy się niezwykle ważni, bo nazwiska naszych rodziców drukowane są w książkach telefonicznych, i mamy nieziemską radochę z oglądania golasów w czasopismach publikujących relacje z Woodstock. Dorośli wciąż wałkują temat wojny w Wietnamie i wyrażają swój niepokój, że sprawy idą bardzo źle. Kiedy pytam, dlaczego musimy przejmować się nie naszą wojną, mój tata mówi, że wszystkie wojny na świecie są nasze.

Izolda wraca do ogrodu, chociaż nie ugania się już za wiewiórkami ani nie macha do przelatujących nad jej głową samolotów. Zamyka się w La Taranteli i wymyśla nowe zabawy z lalkami. Teraz są jej publicznością, przed którą ona, z zamkniętymi oczami i dłonią na piersi, śpiewa *Yesterday*.

Po długiej nieobecności wraca też do lasu. Śmiało zanurza się w gęstwinę i nuci sobie jak zwykle. Garstka promieni słońca przedziera się przez gałęzie. Izolda siada na grubym korzeniu i milknie. Słyszy wówczas cykady, komary, mole i świerszcze, chrząszcze, żaby na mokradłach, wołki zbożowe w pniach, a wysoko w górze – czarne motyle, trzepocące skrzydłami. Chwilkę później spośród krzewów dochodzi ją szmer, to jej podekscytowani przyjaciele, szczęśliwi, że mogą ją w końcu zobaczyć. Widzi ich rogi. Są jak kręcone lizaki wystające spomiędzy liści. Podchodzą blisko i otaczają ją szczelnym kręgiem.

– Witajcie, witajcie, witajcie wszystkie – pozdrawia almiraje i wyciąga ku nim dłonie, żeby mogły je polizać.

Hedda spogląda na zegarek i stwierdza, że już czas, by Izolda wróciła do domu i umyła się do kolacji. Tego wieczoru don Diego wydaje uroczyste przyjęcie na cześć hiszpańskiej pianistki Alicii de Larrocha, która w Medellín zagra dwa koncerty. Korzystając z nieobecności dziewczynki bawiącej się w ogrodzie, Hedda sposobi się pierwsza. Bierze kąpiel, spryskuje się perfumami, smaruje miejsca ukąszeń pluskiew i boryka się z włosami, które trzeba ujarzmić w nienaganny kok. Wychodząc, natyka się na Hugona, który wręcza jej kopertę i mówi:

– List z Niemiec.

Hedde ogarnia niepokój. Bierze kopertę i bada ją palcami – jest cienka. Dziękuje

Hugonowi i wraca do swojego pokoju.

Dita również rozpoczęła przygotowania do kolacji. Jej fryzjerka Rocío delikatnymi dotknięciami szczotki nadaje ostateczny kształt fryzurze i jednocześnie zasięga języka:

– Kto będzie na kolacji?

– Pianistka, dyrygent orkiestry symfonicznej, dwóch kuzynów don Diega, nauczycielka muzyki Uribe i Jego Ekscelencja biskup López.

– Jego Ekscelencja?

– Mhm.

– Ależ on jest piękny – wzdycha fryzjerka i zrasza włosy Dity delikatną mgiełką lakieru.

W bibliotece don Diego i Rudesindo, który zjawił się nieco wcześniej, popijają whisky.

– Więc tak to wygląda – mówi Rudesindo.

– Nic nowego – odpowiada don Diego.

– Niby tak, ale wszyscy o tym mówią.

– Plotki wysrane z palca, Rude.

– Coś jest na rzeczy.

– Ani krzty. – Obaj unoszą szklanki i pociągają małe łyeczki. – Co teraz czytasz? – pyta don Diego.

– Zabijesz mnie śmiechem, jeśli ci powiem.

– Gorzej niż Brecht?

– Mój drogi, Brechta należy czytać innymi oczami.

– Przyznaj się – nalega don Diego – jakimże to szubrawcem się zaczytujesz?

– Wziąłem się za Gonzala Arangę.

– Nie!

– Jego twórczość jest frapująca.

– Rude, właśnie dzięki takim typkom w tym kraju jest, jak jest. Przypomnij sobie, ile samolotów wprowadzono na Kubę.

– Gonzalo Arango nie jest komunistą, poparł nawet Llerasa Restrepę.

– Zaczekaj. – Don Diego unosi dłoń, prosząc o chwilę ciszy. – Zdawało mi się, że słyszałem jakiś krzyk.

Obydwaj wstają i wychodzą z biblioteki. W korytarzu spotykają Ditę, ubraną już do kolacji. Fryzjerka idzie z tyłu, trzymając walizeczkę z przyborami fryzjerskimi.

– Słyszałeś? – pyta Dita.

– To była Izolda? Gdzie jest Izolda? – niepokoi się Diego.

– To chyba Hedda.

Schodzą na dół. Dita i Rocío jedną stroną, don Diego z Rudesindem – drugą. Naprzeciw nim wychodzi Hugo.

– To Hedda – mówi.

Dita idzie przodem i puka do pokoju guwernantki. Powtarza pukanie kilkakrotnie, jednak Hedda nie odpowiada.

– Hedda, czy wszystko w porządku?

– Tak – słycać głos z za drzwi.

– Co się stało? Dlaczego pani krzyczała?

– Nic się nie stało.

Dita puka raz jeszcze.

– Proszę pozwolić mi wejść. – Hedda uchyla drzwi i wystawia obrzmiałą twarz. Ma zapuchnięte oczy, kosmyki oswobodzonych z koka włosów sterczą we wszystkie strony. – Mogę wejść? – pyta Dita.

Hedda przytakuje głową, nie spuszczać oka z mężczyzn.

– Wracajmy na górę, Rude – mówi don Diego.

– To ja już się pożegnam – dyga fryzjerka.

Dita zamyka za sobą drzwi i w tej samej chwili rozlega się klakson limuzyny.

– Przyjechały panie – oznajmia don Diego i pyta: – A gdzie jest Izolda?

Hugo unosi ramiona.

– Powinna być w swoim pokoju – odpowiada.

– Proszę ją zawołać. Pójdę przywitać gości. Zechcesz mi towarzyszyć, Rude?

– Ja już się pożegnam – informuje jeszcze raz fryzjerka.

– Tak, tak, panienko, niech pani będzie tak uprzejma wyjść tylnymi drzwiami, przyjechali już goście – tłumaczy don Diego.

– Jego Ekscelencja się spóźnia, prawda? – pyta kobieta, ale don Diego już jej nie słyszy.

Idzie za Hugonem do drzwi. Po drodze mija się ze służącą i mówi jeszcze:

– Proszę powiedzieć Izoldzie, żeby zeszła na dół.

Alicia de Larrocha przybywa w towarzystwie nauczycielki Uribe. Dziesięć minut później zjawia się dyrygent orkiestry symfonicznej z innym gościem. Jego Ekscelencji wciąż nie ma.

– Założę się, że ten jego volkswagen nie może podjechać pod górę – szepcze Rudesindo do ucha don Diega.

Korytarzami wartkim strumieniem płyną tace z napojami i przekąskami. Od czasu do czasu na pierwszy plan wybija się lament Heddy. Dita wciąż jeszcze od niej nie wyszła, co zaczyna wzbudzać irytację don Diega. Ani jej, ani Izoldy nie ma u jego boku podczas powitania gości.

– Co z Izoldą? – pyta Hugona.

– Nie ma jej – słyszy w odpowiedzi.

– Jak to nie ma? Gdzie ona się pałęta?

– Nie wróciła jeszcze z ogrodu.

Don Diego idzie do pokoju Heddy. Puka do drzwi, otwiera mu Dita.

– Co się dzieje?

– Już wychodzę.

– Gdzie jest Izolda?

– Powinna być w swoim pokoju.

– Nie ma jej tam. Służba mówi, że jeszcze nie wróciła z ogrodu. Co się stało Heddie?

– Nic poważnego, kłopoty osobiste.

– Dito, przyjechali już goście.

– Jego Ekscelencja też?

– Nie, on jeszcze nie, ale pozostali już tu są. Pośpiesz się.

– Daj mi minutę – prosi Dita i zamyka drzwi.

Po chwili don Diego rozpoznaje klakson volkswagena Jego Ekscelencji.

Przed zamkiem Guzmán i dwie służące nawołują Izoldę.

– Moje kochane maleństwa, muszę już wracać – mówi Izolda do almirajów.

Cykady wzmagają swoje cykanie, puszczyki pohukiwanie, żaby rechoczą przeraźliwie, a robaczki świętojańskie tworzą szpaler ciągnący się aż na skraj lasu, aby oświetlić jej drogę. Almiraje wracają ze spuszczoneymi rogami do swoich legowisk pośród listowia.

Jego Ekscelencja przybył w towarzystwie młodego człowieka, wysokiego, przystojnego młodzieńca o wielkich oczach, którego przedstawił jako asystenta działu księgowości wyższego seminarium. Nie jest duchownym, ale uśmiecha się i składa ręce jak rasowy ksiądz. Ponieważ jest gościem nadprogramowym, don Diego dyskretnie wydaje Hugonowi dyspozycję, aby przygotował jeszcze jedno miejsce przy stole.

Wreszcie zjawia się Dita, kradnąc ukłony i pozdrowienia przeznaczone dla Jego Ekscelencji.

– Proszę wybaczyć, ale w ostatniej chwili zatrzymała mnie nieprzewidziana okoliczność. W każdym razie w takich sytuacjach Diego zawsze radzi sobie lepiej ode mnie – usprawiedliwia się i pytającym wzrokiem indaguje don Diega o Izoldę. Ten w odpowiedzi marszczy brwi.

– Niech będzie błogosławione to uroczyste spotkanie i jego uczestnicy – mówi jowialnie Jego Ekscelencja. – Dziękuję gospodarzom za tak wspaniałe zaproszenie.

Wszyscy unoszą kieliszki w toaście. Dita dziwi się ogromnie, dostrzegając Rocío zaglądającą ukradkiem z korytarza. Zorientowawszy się, że jej obecność została odkryta, fryzjerka cofa gwałtownie głowę.

– Pójdę po Izoldę – przeprosza wszystkich Dita.

Don Diego proponuje, żeby na rozgrzewkę wspaniała de Larrocha zagrała coś na fortepianie.

– Szanowni państwo, zapraszam do salonu.

Dita idzie schodami na górę. Słysząc dzwonek do drzwi, ale ona nie zatrzymuje się i zmierza prosto do pokoju Izoldy.

– Kto to może być? – pyta don Diego i sprawdza, czy przypadkiem nie brakuje kogoś z gości.

Hugo otwiera drzwi. Pod jego ramieniem, niczym gwałtowny podmuch wiatru, wdziera się Izolda. Goście zatrzymują się w pół kroku.

– Izolda! – z góry słysząc nawoływanie Dity, nieprzerywającej poszukiwań córki.

Goście stoją jak zamurowani z uśmiechami na zastygłymi na twarzach. Osłupiały don Diego bezwiednie otwiera usta.

– Cześć, tato – mówi Izolda.

W głębokiej ciszy słysząc kroki Dity, schodzącej po schodach na dół.

– Jaka rozkoszna – rzuca Jego Ekscelencja, aby zagadać konsternację.

Izolda wygląda nie tyle rozkosznie, co egzotycznie. Sukienka utyłana w ziemi, sznurówki bucików rozwiązane, a na ramionach źdźbła trawy. Głowę wieńczy upleciony z włosów diadem, zdobny w margerytki i liście laurowe. Ku potylicy pędy wypuszcza siedem skołtunionych kosmyków przybranych słupkami hibiskusa.

– Pozazdrościć oryginalności – cmoka nad nią Jego Ekscelencja. – Któż tak cię przystroił, moje dziecko?

Zanim Izolda zdoła otworzyć usta, aby wspomnieć o almirajach, matka bierze ją za rękę i kategorycznym głosem nakazuje:

– Proszę ze mną, natychmiast! – I ciągnie ją za sobą, ale wzrok Izoldy przykuty już jest do niespokojnych oczu asystenta działu księgowości wyższego seminarium.

Młody wyskoczył nagi z łóżka i popędził do łazienki wypłukać sobie usta. Nabierał i wypluwał wodę kilka razy, potem nałożył na palec trochę pasty znalezionej w szafce i wypucował zęby. Uśmiechnął się do lustra i wytarł mokre dłonie o pierś. Wrócił do pokoju, gdzie na łóżku, z rozłożonymi nogami, leżał Małpa Riascos. Wciąż wtulał się w czerwoną spódniczkę.

– Och, ty szczeniaku! – zawołał, kiedy usłyszał kroki młodego. Szczeniak położył się obok i zapalił papierosa. Małpa wziął od niego macha. – Wiesz, o czym myślałem? – spytał.

– Nie jestem wróżbitą, Małpa – odparł młody.

– Jak już to wszystko się skończy, pryskamy stąd i lecimy do Stanów.

– A co to jest „to wszystko”? – Młody wypuścił kilka kółek z dymu.

– No wiesz, mój biznes.

– Aha.

– Nigdy już tu nie wrócę – powiedział Małpa po chwili milczenia.

– A co ty tak biadolisz? Przecież idzie ci jak z płatka.

– Chodzi o dużą kasę. Lepiej się ulotnić, zanim sprawy przybiorą zły obrót.

Młody wziął z nocnego stolika popielniczkę, w której leżało już kilka poskręcanych niedopałków, i położył ją sobie na brzuchu. Małpa obserwował, jak popielniczka wznosi się i opada w rytm jego spokojnego oddechu.

– Jak mówisz o wyjeździe, to masz na myśli, że na zawsze? – spytał młody.

– Zgadza się.

– A mój motor?

– Sprzedasz go. Tam kupię ci lepszy.

Młody spojrzał bystro na Małpę. Ten ponownie zabrał mu papierosa i zaciągnął się kilka razy.

– Czy ja wiem. Może faktycznie moglibyśmy wybrać się na wakacje. Ale żeby na zawsze? Tutaj mi dobrze.

– A kto ci powiedział, że tam nie będzie ci dobrze?

– Nikt. Dlatego lepiej, jak zostanę.

– Oj, nie marudź – jęknął Małpa i położył rękę na brzuchu młodego, tuż obok popielniczki. Młody znów obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

– Seans pewnie już się skończył – westchnął Małpa, patrząc na zegarek.

– Na co ją wysłałeś?

– Nie pamiętam tytułu. Coś z Clintem Eastwoodem w roli głównej.

– Niezły twardziel z tego gościa – gwizdnął z uznaniem młody. – I jej się to podoba?

Małpa zaśmiał się.

– Ważne, żeby trochę się rozerwała. – Biedaczka, prawie stąd nie wychodzi. Tylko na mszę.

– Ona mnie nie lubi.

– Wiem.

– Co o mnie mówi?

– Nic. Po prostu jej nie pasujesz i tyle.

Młody ukatrupił niedopalonego papierosa w popielniczce.

– Grunt, żebym tobie się podobał.

Małpa zsunął nieco dłoń, aż dotarł do miejsca, z którego wyrastały włosy łonowe młodego.

– Wiesz przecież... – Młody wyprostował się gwałtownie i całe cmentarzysko z popielniczki wysypało się na pościel. – Szlag by trafił – syknął Małpa.

– Ale ze mnie lebiega – powiedział młody, zrywając się z łóżka.

– I kto teraz będzie musiał słuchać kazania doñi Lidy? – poskarżył się Małpa, usiłując zebrać popiół.

– Ty. – Młody podniósł z podłogi majtki. – Małpa, potrzebuję forsy na benzynę.

– Jak to? Przecież dałem ci trzy dni temu.

– Mówię ci, on ciągnie jak smok. Zresztą muszę skoczyć do Santa Fe de Antioquia.

– Co? Z kim?

Nagle dobiegł ich hałas otwieranych drzwi. Małpa przyłożył palec do ust.

– To mama – wyszeptał. W mgnieniu oka narzucił na siebie ubranie, po czym szepnął do młodego: – Na razie nie wychodź. Dam ci znać. – Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Synku! Wystraszyłeś mnie – użalała się z dołu Lida. – Myślałam, że cię nie ma. A gdzie samochód?

– A czemu mama wróciła tak prędko? O której skończył się film?

– Wyszłam wcześniej. Co za straszne rzeczy. Bez przerwy strzelają się i mordują! Po co każesz mi oglądać takie okropności? Jadłeś coś czy mam ci zrobić?

– Kimnąłem się trochę.

– Zaczekaj, zdejmę tylko buty i zaraz coś przygotuję.

Małpa wrócił do pokoju i znów szepnął do młodego:

– Na razie nie wychodź. Dam ci znać. – Po czym ponownie zamknął drzwi

i zaczekał, aż matka wejdzie do kuchni.

– Co tam tak stoisz, synku? Chodź tutaj.

Gdy usłyszał szczękanie garnków, uchylił drzwi pokoju i gestem przywołał młodego.

– Mamo, idę na chwilę do garażu – powiedział głośno, gdy obaj schodzili po schodach.

Na dole młody znów zaatakował go o pieniądze.

– Wściekłeś się czy co? – zachnął się Małpa, ale wyciągnął portfel i dał mu parę pesos.

– A na drogę do Santa Fe? – spytał młody. – Za to nie dojadę nawet do Sopetrán.

Małpa otworzył zardzewiałe drzwi garażu, gdy z kuchni rozległ się głos Lidy:

– Synku!

Młody bez słowa wyciągnął przed siebie dłoń. Małpa dał mu wszystko, co miał w portfelu, i ponaglił, żeby wyprowadzał motocykl, tylko po cichu, bez odpalania. Młody kiwnął na niego palcem, a potem przytknął mu usta do ucha i szepnął:

– Czy ty nie jesteś za stary, żeby mieszkać z mamusią?

– Synku! – rozległo się ponownie.

Gdy młody wypchnął motocykl na ulicę, Małpa pośpiesznie zamknął garaż.

– Synu! – Lida stanęła u szczytu schodów. – Co ty tam robisz?

Już miał jej odpowiedzieć, kiedy ogłuszył go grzmot motoru.

– Co za gnój – syknął pod nosem, nie rozumiejąc, dlaczego bultaco ryczy coraz głośniejsze.

– Kto to był? – spytała Lida. – To chłopaczysko?

– Jakiś nygus z dzielnicy – odparł, wchodząc po schodach.

– Ostatnio jesteś bardzo dziwny. Co się z tobą dzieje?

– Nic.

Małpa usiadł przy stoliku, a Lida zabrała się do bełtania czekolady.

– Dziecko, powiedz mi, czy ty palisz marihuanę z tym chłopakiem?

– O Jezu, mamo...

– Dziwnie się zachowujesz. Szlajasz się po całych dniach nie wiadomo gdzie, nie wracasz na noc, Bóg wie czym się zajmujesz.

– Nie chcę o tym rozmawiać, mamo.

– Nie mów, jeśli nie chcesz, ale mnie musisz wysłuchać. Do twojej siostry doszły już słuchy o tym i owym.

– Mamo, daj sobie siana, co? – jęknął Małpa i wstał.

– Stałeś się bardzo ordynarny. Gdzie idziesz? Czekolada już gotowa. Synu!

Małpa zamknął się swoim pokojem i runął na skotłowane łóżko, wciskając twarz w poduszkę. Pościel przesiąknięta była wonią młodego i oprószona popiołem. Choć łóżko było małe, Małpa poczuł, że nie dałby rady go objąć.

– Synku, synku!

Po raz pierwszy, odkąd zaczęło się to wszystko, miał ochotę zapłakać.

Bar La Esquina w Parque Obrero, po przekątnej od biblioteki, którą don Diego ofiarował gminie Itagüí, był centrum operacyjnym Małpy Riascosa. „Moje biuro”, zwykł o nim mawiać. To tam spotykał się ze swoimi kompanami, jakby byli zwykłymi klientami knajpy przychodzącymi na piwo.

Małpa skrywał twarz pod bejsbolówką i okularami. Zawsze wybierał stół w głębi, skąd mógł obserwować, jak don Diego wraz z rodziną wchodzi i wychodzi z biblioteki. Na stole rozkładał papiery i mapy, na których zaznaczał drogi, skrzyżowania i ulice. Jego ludzi uspokajał fakt, że rozmawiali o tych sprawach w tak ruchliwym, publicznym miejscu.

– Brewka, gdzie chowają się szczury?

– W szczurzych norach.

– W dziurach, w piwnicach. W kanałach ściekowych, w śmieciach. Tam też kręcą się koty, no nie? – Kumple nie wyglądali na zbyt przekonanych. Małpa wyśmiewał ich strach, chociaż często też prowokował, kiedy widział, że mają cykora. Jego zimna krew sprawiała, że czuli się przy nim malutcy, jednak paradoksalnie właśnie to upokorzenie dodawało im sił, gdy wydzierał się jak na filmach: „Nie ruszać się, to jest napad!”. – Jeśli ktoś nas tu widzi razem, myśli co najwyżej, że jesteśmy pedziami. – Zachichotał i zaraz spowaźniał. – Już są – powiedział ścisłym głosem i kiwnął głową w stronę ulicy. – Nie patrzcie wszyscy naraz.

Limuzyna marki Packard zaparkowała przed biblioteką. Szofer Gerardo wyskoczył pośpiesznie, żeby otworzyć tylne drzwi Izoldzie i Dicie. Don Diego wysiadł z drugiej strony.

Małpa spojrział na zegarek.

– To nam daje mniej więcej pół godziny – rzucił. – Dzisiaj przyjechali wcześniej.

Chwast, Pluskwa i Rudy spojrzeli ukradkiem za okno.

– Nie wszyscy naraz – powtórzył Małpa.

– Kto przyjechał? – zapytał Pluskwa.

– Cała trójka. Czasem doña Dita zostaje w domu.

– Mała przyjeżdża zawsze? – spytał Rudy.

– Zawsze.

– Mogę rzucić okiem? – poprosił Brewka.

– Pojedynczo – uprzedził Małpa.

Limuzyna przesłoniła im nieco wejście do biblioteki. Zdołali zobaczyć tylko, że czekają na nich dwie kobiety. Don Diego wszedł ostatni. Gerardo został przy samochodzie.

– Kiedy don Diego przyjeżdża z książkami, mogą zabawić w środku z godzinę, tak plus minus. Jeśli jest na pusto, wychodzą góra po czterdziestu minutach.

– Szofer jest uzbrojony?

– Nie wiem.

– A jak ma jakąś pukawkę?

– Gorzej dla niego.

– I co oni tam robią w środku? – spytał Brewka.

– Nie mam pojęcia, ale możesz iść na przeszpiegi. – Rudy zarzął. – Nie żartuję – powiedział Małpa. – Brewka, idź i zobacz, co tam w trawie piszczy. – Brwi Brewki to wznosiły się, to opadały. – Skorzystamy z twojej dociekliwości i raz na zawsze dowiemy się, co oni tam, u diabła, wyczyniają.

– Ale jak ja tam wejść, Małpa?

– Normalnie, drzwiami. To biblioteka publiczna, no, idź i poczytaj trochę. Jesteś taki nieokrzesany, że może ci to wyjść tylko na dobre.

Brewka zerknął spode łba na towarzyszy, szukając u nich wsparcia.

– To się nazywa wywiad, Brewka – rzucił Chwast i parsknął śmiechem.

– Mówisz poważnie? – upewnił się Brewka, podczas gdy pozostali dusili się ze śmiechu. – Ale... co mam czytać?

– Spytaj, czy mają wiersze Julia Flóreza. Są pierwsza klasa. – Brewka zaśmiał się głupkowato, starając się obrócić całą sytuację w żart, ale tym razem nikt nawet się nie uśmiechnął. – No, znikaj, już cię tu nie ma. – Małpa pstryknął mu palcami przed nosem. – I powiedz kelnerce, żeby się tu pofatygowała, dobra? – dodał, kiedy Brewka wstał powoli.

Patrzyli, jak się oddala i jak pokazuje kelnerce stół, przy którym zostawił kompanów. Powlókł się przez park i zanim dotarł do rogu, odwrócił się jeszcze w kierunku baru. Może łudził się, że zawołają go z powrotem. Przeszedł na drugą stronę ulicy, minął Gerarda opartego o limuzynę i niepewnie wszedł do biblioteki.

– No, dobra, wracając do tematu – powiedział Małpa. – Jak się ma sprawa z tym drugim gościem?

– Jest zwarty i gotowy – odparł Pluskwa.

– Można mu ufać?

– Na sto procent.

– Kto to jest?

– Carlos.

– Carlos i co dalej? – Pluskwa wykrzywił usta na znak, że nie wie. – Od razu widać, że znacie się jak łyse konie – rzucił z przekąsem Małpa.

– Wszyscy mówią na niego Carlitos – tłumaczył się Pluskwa.

– Dobra, przyprowadź mi tego Carlitosa. Pogadam z nim i przy okazji zapytam o nazwisko.

– Małpa – odezwał się Rudy.

– No?

– Widząc ich teraz, jak wchodzi do biblioteki, pomyślałem sobie...– Rudy przerwał i Małpa spojrział na niego wyczekująco. – Jak zobaczyłem tę facetkę, pomyślałem sobie...

– Cholernie dużo myślisz, Rudy.

– Małpa, wziąć sobie na kark małą dziewczynkę to skomplikowana sprawa. Dzieciaki łatwo zapadają na różne choroby, tęsknią za matką i stają się nie do zniesienia. Nie wiem... są o wiele bardziej delikatne. Możemy napytać sobie biedy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że może lepiej, jakbyśmy zgarnęli jej matkę.

– Panowie sobie życzą? – Głos kelnerki przerwał ich dyskusję.

– Macie... chorizo? – wydukał Małpa.

– Ile sztuk? – spytała kelnerka.

– Ze sześć.

– Ze sześć czy sześć?

– Sześć. I jeszcze cztery piwa. – Małpa czekał, aż kobieta odejdzie. Później zacisnął pięść, z trudem powstrzymując się od walnięcia nią w stół. – Słuchaj, Rudy, ty zakuta pało, nie będziemy zmieniać planów na tydzień przed akcją.

– Przecież nie trzeba nic zmieniać – przekonywał Rudy. – Po prostu zamiast dziewczynki zwiniemy jej matkę.

– Co by cię bardziej zabolalo? – syknął Małpa. – Gdyby ktoś porwał twoją żonę czy córkę?

– No, to przecież jasne, ale...

– Ale już lepiej stul dziób, dobra? – przerwał Małpa i zwrócił się do wszystkich: – Czy ktoś jeszcze chciałby się pochwalić jakimś ciekawym pomysłem?

Kompani pospuszczali głowy, poprawiając się nerwowo na stołkach. W głębi, pośród gwaru rozmów, muzyki *carrilera*, brzęku szklanek i butelek, zdało się im słyszeć skwierczenie chorizo na rozgrzonym oleju. Małpa wydobył z kieszeni złożone na pół papiery. Przeciągnął dłonią po blacie, żeby się upewnić, że stół jest suchy, a później rozłożył kartki i powiedział:

– Słuchajcie uważnie, zrobimy to tak.

W lutym w Berlinie można było uświerknąć. Temperatura tak spadła, jakby zima miała zamiar zapuścić korzenie na wieki. Dotkliwy mróz sprawiał, że oczekiwanie na wiosnę dłużyło się w nieskończoność. Wiatr wzmacniał drażliwość i w berlińczykach zaczynało odzywać uczucie, które towarzyszyło im podczas wojny – zima od niepamiętnych czasów była sojusznikiem wroga. Jednym z najgorszych doświadczeń dla mieszkańców powojennego Berlina była zima podczas blokady tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Dla don Diega zimowe miesiące w Berlinie były jednak miłą odmianą od monotonii ciepłego Medellín. Lubił przechadzać się w mroźne dni pod błękitnym niebem i rozmyślać. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przechadzał się i rozmyślał bardzo intensywnie o swoim związku z Dita. Musiał samotnie przezwyciężyć narastający w nim zamęt, bowiem nie chciał wtajemniczać nikogo, nawet Mirka, w propozycję Dity dotyczącą wspólnego życia na kocia łapę. Być może Mirko wykpiłby ten rzadko spotykany w pełni dwudziestego wieku typ prostoduszności lub poczęstował dyskursem narodowosocjalistycznym, krytykującym dziewczynę za wyłamywanie się z ustalonego porządku. Don Diego przeczuwał nawet, że Mirko nigdy nie traktował go jak równego sobie. Kiedy słyszał przyjaciela perorującego na temat „czystości rasowej”, nie potrafił wyzbyć się uczucia, że to właśnie o nim mowa, wiedząc doskonale, że Ameryka Łacińska jest częścią dyskryminacyjnej mapy Baumanna. Jeśli pozostawali w bliskich stosunkach, to tylko dlatego, że wygląd i maniery don Diega były zgoła europejskie i że łączyła ich miłość do muzyki oraz beztroskiego, pełnego przyjemności życia. Tak czy inaczej, nawet Mirko nie wiedział o namiętnościach, które targały jego przyjacielem.

Tymczasem Dita, jak gdyby nigdy nic, kontynuowała swoje kursy sztuki, pogodzona z myślą, że spłoszony don Diego ulotnił się z jej życia na zawsze. Opowiedziała już o nim swojej rodzinie, choć ta nie zdążyła go poznać. Może gdyby doszło do spotkania, don Diego zrozumiałby liberalne poglądy Dity, tak bliskie przekonaniom jej ojca.

Po długim namyśle zdecydował, że musi ją zobaczyć. Pewnego mroźnego popołudnia, kiedy słupek rtęci pokazywał dziesięć stopni poniżej zera, bez

uprzedzenia poszedł pod jej dom i postanowił poczekać na nią w bramie. Był tak opatulony, że Dita ledwie go rozpoznała.

– Diego, na Boga, wejdz, proszę. Dlaczegoś wcześniej nie zadzwonił?

– Byłem u Arcuriego i po wyjściu jakiś impuls przywiódł mnie tutaj.

– Ach, impuls. – W głosie Dity zabrzmiała nuta gorzkości.

– Dito, marznę tu od godziny. Myślisz, że spontaniczny impuls zmusiłby mnie do stania na tym mrozie przez tyle czasu?

Na górze Dita zapaliła piecyk gazowy i podała gościowi lampkę koniaku. Don Diego, wciąż jeszcze w rękawiczkach, palcie, szaliku i kapeluszu, ujął jej dłoń i rzekł:

– Nie śmiałybym cię lekceważyć i nakłaniać do zmiany zdania. Możliwe, że popełniamy błąd, ale we dwójkę będzie nam łatwiej udźwignąć to, co przyniesie nam los.

– To nie jest błąd... – rzekła z uporem Dita, ale położył jej palec na ustach.

– Niczego nie tłumacz. – Sięgnął do kieszeni palta, wyjął paczuszkę zawiniętą w pozłacany papier i wręczył ją Dicie. Odwinęła ostrożnie papier, spod którego wyłoniło się małe, aksamitne pudełko. – Skoro nie jest nam dane wziąć ślubu, obrączka byłaby nie na miejscu. – Dita otworzyła pudełko. W środku mieniła się srebrna broszka w kształcie klucza inkrustowana diamentami. – To klucz, który otwiera nasze serca i zamyka na zawsze – powiedział drżącym głosem don Diego. – Strzeż go, ty zrobisz to lepiej.

Dita wsunęła szpilkę broszki w bluzkę, ale nie mogła jej zapiąć.

– Pomóż mi – poprosiła.

– Nie mogę. Mam skostniałe palce.

Ściągnęła ukochanemu skórzaną rękawiczkę i wzięła jego dłoń w swoje ręce. Zbliżyła do niej usta i pochuchała ciepłym powietrzem, nie przestając patrzeć mu w oczy. Później potarła jego zmarznięte palce i na każdym z nich złożyła pocałunek.

Pod nadzorem braci Rodríguezów rozpoczęto prace ziemne na terenie, na którym miał powstać zamek. Don Diego przysłał gotowy projekt wraz z rekomendacjami Enrica Arcuriego. Zadaniem Rodríguezów było dostosowanie projektu do warunków terenowych oraz życzeń i potrzeb don Diega.

– Arcuri zaprojektował nawet fosę dla dzikich zwierząt – objaśniał architektom don Diego. – Chciałbym też, aby biblioteka znalazła się w najwyższym punkcie, najlepiej w jednej z wież. Arcuri usytuował ją na dole, bowiem nie wie, jaki widok rozciąga się ze wzgórza.

Firma H.M. Rodríguez i Synowie była najbardziej prestiżowym biurem architektonicznym w Medellín. Najwspanialsze rezydencje oraz imponujący

budynek firmy farmaceutycznej Pasteur to ich dzieła. Synowie, którzy niedawno wrócili ze Stanów Zjednoczonych, zachłyśnięci nowoczesnością, uśmiechali się jednak do łoż, rozwijając plany przysłane im z Berlina przez don Diega. Ojciec skarcił ich: „Tu nie ma nic do śmiechu. Zakasać rękawy i do roboty. Będziecie budować ostatni zamek na tych ziemiach”.

Na początek przeprojektowali podpory budynku. Zrezygnowali ze sklepienia żebrowego, decydując się na mury z pełnej cegły i międzypoziomy ze zbrojonego betonu. Oprócz tego postanowili wprowadzić więcej elementów nawiązujących do art déco, kolorowe witraże, zaprojektować basen z geometrycznymi wykończeniami, betonowe sufity pokryć boazerią i, rzecz jasna, założyć ogrody w miejsce fosy opasującej budowlę.

Z dnia na dzień zbocze wzgórza Balsos zaroilo się od ciężarówek transportujących w górę i w dół ziemię, piasek i materiały budowlane. Don Diego dzwonił z Europy i wydawał polecenia: „Trzeba wykonać spiżarnię, garderobę, pomieszczenie do prasowania, drewnię, ach! i domek dla ogrodnika, który przeoczył Arcuri. I proszę pamiętać o bibliotece w wieży”.

Tymczasem planował z Ditą podróż do Kolumbii. Odwiedzali wspólnie sklepy z artykułami dekoracyjnymi, galerie sztuki i antykwariaty. Zapełniali przepastne kufry lampami, tkaninami, obrazami, porcelaną i zastawą stołową. Pewnego dnia don Diego stwierdził, że Berlin zrobił się dla niego zbyt mały.

– Jedźmy do Paryża – zaproponował.

– Na zakupy? – zapytała Dita.

– Na zakupy, na zabawę, na przejażdżkę, na cokolwiek. Po prostu nacieszyć się życiem.

Odkąd pojednał się z Ditą, był w stanie euforii i choć nikt w Kolumbii nie wiedział, że zamierza wrócić, do tego w towarzystwie, nigdy przedtem nie odczuwał takiej radości z podróży do kraju.

– Najpierw pojedźmy do Herscheid – powiedziała Dita. – Nie znasz jeszcze mojej rodziny.

Entuzjazm don Diega nieco przygasł.

– Wiedzą już, że to był twój pomysł? – spytał.

– Co takiego? Podróż?

– Nie. To drugie.

– Aha...

Dita z wielką uwagą owijała amforę pianką. Nawet na niego nie spojrzała.

– Chyba nie zamierzasz im powiedzieć dopiero w mojej obecności?

Posłała mu pogodny uśmiech. Podniosła amforę i poprosiła:

– Mógłbyś mi pomóc?

W pociągu don Diego był spięty, mimo że urokliwy krajobraz zachęcał do odprężenia. Dita patrzyła przez okno na góry. To nie była zwyczajna podróż do rodzinnego domu, jedna z tych, które odbywała co trzy miesiące. Możliwe też, że ta będzie ostatnią. Milczała niemal przez całą drogę. Od czasu do czasu zdawała się uśmiechać, choć don Diego dostrzegał też w jej oczach łzy.

– Wszystko to wydaje mi się jakąś bajką – odezwał się, żeby zająć czymś jej myśli.

– To jest bajka – odparła Dita.

Wielkie połacie ziemi przykryte były jeszcze białym płaszczem śniegu, gdzieniegdzie jednak wyłaniała się już soczysta zieleń łąk.

– Spójrz na niebo.

Dita niechętnie popatrzyła na posępny firmament. Możliwe, że don Diego był jedynym pasażerem mogącym patrzeć w górę, nie spodziewając się ujrzeć tam bombowców.

Arnold i Constanza przyjęli ich bardzo życzliwie i ugościli obfitym obiadem. Nie było tylko Annemarie, która mieszkała w Kolonii, odkąd w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku wyjechała na studia. Z początku rozmawiali wyłącznie o krajobrazie, don Diego porównywał go do niektórych miejsc w Kolumbii. Po obiedzie Dita zakomunikowała mu, że porozmawia z rodzicami. Don Diego co rychlej zaczął się zbierać do wyjścia. Powiedział, że chciałby się trochę przejść i rozejrzeć po okolicy. Zostawił ich przy stole, uśmiechniętych serdecznie, jak przystało na rodzinę pastora.

Architekci Rodríguezowie wnikliwie studiowali projekt, usiłując rozszyfrować rysunki sporządzone przez Arcuriego.

– Nie ma garażu – zauważył jeden z braci. – Ten facet zapomniał o garażu.

– A potrzebne będą co najmniej dwa – stwierdził drugi.

– Don Diego chce zobaczyć zdjęcia – powiedział Rodríguez senior.

– Zdjęcia czego? Chyba tylko tego wykopu, bo nic innego nie ma.

– W takim razie wyślijcie mu zdjęcia wykopu i uaktualniony projekt z naniesionymi garażami.

Kiedy dwaj bracia zostawali sami, zaczęli zrzędzić: „Przecież to nie jest ani średniowiecze, ani gotyk, co to ma być? Wszystkiego po trochu, jak to w zamkach”.

Don Diego wrócił ze spaceru i zastał Ditę z Arnoldem w dużym pokoju. Siedzieli w milczeniu przy kominku i wpatrywali się w ogień. Constanza w kuchni zmywała naczynia. Arnold miał zaczerwienione oczy. Don Diego pomyślał, że to pewnie

od dymu. Dita kiwnęła na niego ręką i poprosiła, żeby do nich dołączył.

– Chcesz kawy?

Podziękował, przerażony perspektywą pozostania sam na sam z Arnoldem, który trwał w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w tańczące na kominku płomienie. Trzask polan i strumień wody rozbryzgujący się w kuchennym zlewie były chyba jedynymi dźwiękami w promieniu wielu kilometrów.

– Wszystko wokół jest takie piękne – zaczął don Diego, żeby podsunąć jakiś temat. Dita pokiwała głową. Arnold nawet nie mrugnął.

Wtem z kominka wystrzeliła iskra i spadła na dywanik z owczej skóry.

– Aj! – zawołała Dita, a Arnold szybko zdeptał pożar w zarodku. Don Diego chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz nie bardzo wiedział co. Z kranu przestała cieknąć woda i teraz z kuchni dobiegał szczęk talerzy.

Nieskończenie długie milczenie przeciął w końcu Arnold:

– Przed odjazdem musicie zobaczyć moją uprawę porów – oświadczył, nie odrywając wzroku od kominka.

26

Po urzędzeniu dzikiej awantury Brewka oświadczył, że wraca na piechotę do Medellín. Ruszył przed siebie energicznie, sadząc długie kroki i potykając się o kamienie. Chwast i Pluskwa wołali za nim od progu chaty, ale Brewka był głuchy na ich krzyki. Gdy dotarł do furtki, Pluskwa wy dobył rewolwer i strzelił w powietrze. Wówczas Brewka stanął jak wryty.

– Następną rozwałę ci łeb – ostrzegł go Pluskwa.

– Na mózg ci padło?! – wrzasnął Chwast. – Żeby zaraz strzelać?!

Wystraszony Carlitos wypadł przed chatę z pistoletem w rękę.

– Co się stało?

– Przyprawdźcie go – zarządził Pluskwa.

– Dlaczego strzelałeś?

– Idźcie po niego, do jasnej cholery! Ten facet jest groźniejszy od zbłąkanej kuli.

– Chwast i Carlitos ruszyli w stronę furtki. Na ten widok Brewka rzucił się do ucieczki. – Łapcie go! – wrzasnął Pluskwa.

Puścili się za uciekającym, który co chwila przewracał się, wstawał i znowu upadał. Capnęli go, ale zdołał się wyrwać, wskoczył do jakiegoś rowu i zaczął wierzgać. Chwast ściągnął pasek od spodni i zaczął go nim okładać. Carlitos obezwładnił uciekiniera, po czym tym samym paskiem związali mu ręce.

Gdy rozległ się wystrzał, don Diego przytknął ucho do desek, którymi zabite było okno. Jedyne, co zrozumiał, to krzyk: „Łapcie go!”. Przed jakąś godziną słyszał, jak się kłócili. Wziął to za kolejną zwyczajną sprzeczkę. Potem przemknęło mu przez myśl, że może zjawili się jego oswobodziciele i stąd ten wystrzał, lecz naraz usłyszał zgrzyt otwieranej kłódki.

– Będzie wam raźniej – wydyszał Pluskwa, wrzucając do środka spętanego Brewkę.

Gdy drzwi znów się zatrzasnęły, Brewka załkał. Nagle zerwał się z podłogi i kopnął wściekle w drzwi, po czym zachwiał się i upadł ponownie. Popęzł ku ścianie i pochlipując, oparł się o nią plecami. Don Diego podszedł do niego i rozwiązał mu ręce. Wówczas Brewka wyszłochał:

– Kryją się w zaroślach... Od kilku dni... Jest ich ze stu...

– Kto taki? – spytał don Diego.

– Żołnierze. Jest ich ze stu, a może więcej. Opuścili się po linach z helikoptera na sąsiednie wzgórze. Idą tutaj. Zabiją nas wszystkich. Pana też zabiją.

– Idą tutaj? Widział pan, żeby podchodzili bliżej?

Brewka potaknął i znów się rozplakał.

– Zaatakują nas, a ci idioci mi nie wierzą.

Don Diego sięgnął po szklankę stojącą na nocnym stoliku, żeby dać mu się napić. Szklanka jednak była pusta.

– Niechże się pan uspokoi – upomniał Brewkę. Podeszedł do drzwi i zastukał dwa razy. – Otworzyć! – zawołał.

– Mam troje dzieci... – zaszlochał Brewka.

Don Diego uderzył raz jeszcze, ale nikt się nie zjawił. Przystanął przed Brewką i zapytał:

– Jest pan pewien, że to żołnierze?

Na Medellín spadła potężna ulewa, nadciągająca z południa. Rzeka wezbrała w swoim korycie. Niebo zaciągnęło się posepnymi chmurami i przedwcześnie zapadł zmierzch. Dita nie usłyszała ani klaksonu limuzyny, ani dzwonka do drzwi, ani krewnych don Diega wchodzących do zamku.

Leżała na łóżku, przykryta szalem z kaszmiru, gdy Hugo zapukał do jej sypialni, aby zaanonsować gości.

– Panowie czekają na dole.

– O której przyjechali? – spytała, zdezorientowana.

– Przed chwilą.

– W taką ulewę?

Hugo wyszedł, a Dita doprowadziła się do ładu przed toaletką.

Kiedy weszła do salonu, wszyscy wstali. Zaintrygował ją wzrost Belga. Był wyższy od pozostałych o ponad głowę. Przedstawiono go jej.

– Marcel Vandernoot – powiedział sam zainteresowany i przywitał się po francusku.

Dita była przeciwna sprowadzaniu tego człowieka. Nie wierzyła w takie historie. Krewni don Diega uparli się, że należy skorzystać ze wszystkich możliwości, ale największy opór budziła w niej konieczność goszczenia go w zamku. To był podstawowy warunek, od którego spełnienia zależało powodzenie jego pracy. Uspokoiła się nieco, widząc Guzmána wchodzącego z niedużą walizką. Kazała ją wnieść na górę i spytała zebranych, czy czegoś się napiją.

W Santa Elena jeszcze nie padało, choć ciężkie chmury przesłoniły niebo. Mężczyźni usłyszeli warkot motocykla i zaniepokoiли się. Silnik nie brzmiał

znajomo. Było jeszcze widno i Chwast poszedł na przeszpiegi. Przy furtce natknął się na Małpę, który szedł pod górę.

- To motor Twiggy? – spytał Chwast.
- Co to było z tym wystrzałem? Kto strzelał?
- Skąd wiesz?
- Kto strzelał, pytam się.
- Pluskwa.

Nabuzowany Małpa wpadł do chałupy, gdzie Carlitos i Pluskwa grali w karty. Przed wyjściem Chwast zostawił na stole kartę odwróconą kolorem do dołu.

– Brewka chciał nawiać... – próbował tłumaczyć Chwast, ale Małpa już naskoczył na Pluskwę.

- Co zrobiłeś, ty kretynie?!
- Małpa, on chciał prysnąć.
- I pierwsze, co ci przyszło do tego pustego łba, to strzelać do niego?
- Nie strzeliłem do niego.
- Aha, to świetnie – wycedził zjadliwie Małpa.

Nagle rozległ się odgłos kopania w drzwi izdebki, w której trzymali don Diega.

– To on – rzucił Chwast.

– Don Diego?

– Nie, Brewka.

– Co za tępe skurwiele. – Małpa pokręcił bezradnie głową i poszedł w stronę prowizorycznej celi.

Gdy tylko się oddalił, Pluskwa natarł na Chwasta.

- To ty puściłeś parę z gęby?
- Daj spokój – obruszył się Chwast. – Na dzień dobry zapytał, kto strzelał.
- Kto go tu przywiózł? Czyj to był motor? – zainteresował się Carlitos.
- Zapytałem go o to, ale myślisz, że mi odpowiedział?

Usłyszeli krzyk, a zaraz potem rozległ się głos Małpy:

– Pluskwa! Zamknij go gdzie indziej! – Trzymał Brewkę za kark i popychał go przed siebie. Brewka miał zakrwawione usta i błędny wzrok.

Gdy Pluskwa zabrał kompana, Małpa wrócił do izdebki i zamknął za sobą drzwi.

– Co ja się z panem mam, don Diego, naprawdę – powiedział. – Nie wstyd panu?

Marcel Vandernooot taktownie wymówił się od kolacji z Ditą i krewnymi don Diega, tłumacząc, że po tak wyczerpującej podróży chciałby odpocząć i oczyścić się.

– Proszę za mną, pokaże panu łazienkę – rzekła Dita.

– Mam na myśli innego rodzaju oczyszczenie – odparł Marcel i przybliżywszy dłonie do skroni, wykonał kilka kolistych ruchów.

– Ach! – zawołał jeden z krewnych.

– W takim razie pokażę panu pokój – powiedziała Dita i dodała: – Każę dostarczyć owoce, na wypadek gdyby jednak pan zgłodniał.

– I szklankę mleka, jeśli można.

Po drodze Dita wyjaśniała:

– Pokój gościnny zajmuje policja. Pełno tam różnych urządzeń i kabli. To bardzo dziwny dom, nie brak w nim salonów, ale pokoi mamy tu jak na lekarstwo. – Przeszli korytarzem i Dita zatrzymała się przed jakimiś drzwiami. – To pokój mojej córki – oznajmiła i delikatnie nacisnęła klamkę.

W środku panował idealny porządek. Na nienagannie zasłanym łóżku z baldachimem leżały dwa pluszowe zwierzaki. Na nocnym stoliku stał wazon z bukietem świeżych kwiatów. Dita zaciągnęła zasłony.

– Może pan skorzystać z prawej części szafy. Widzę, że nie ma pan ze sobą zbyt wiele rzeczy. Przyjechał pan na krótko?

Marcel przyglądał się z zachwytem rysunkom wiszącym na ścianach w porządku tworzącym swoisty ornament. Każdy kolorowy obrazek przedstawiał króliki z rogami na czołach psocące pośród kwiatów i krzewów.

– Co to jest? – spytał.

– Almiraje.

– Kto je namalował?

– Izolda.

Mężczyzna obszedł wszystkie ściany, przyglądając się z uwagą niezwyklej kolekcji.

– Tam jest łazienka. – Dita wskazała drzwi. – Ręczniki i mydło są do pańskiej dyspozycji. Gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, proszę zwrócić się do Hugona. Poznał go już pan.

– Owszem – odpowiedział Marcel, po czym zamknął oczy i westchnął głęboko. Dita spojrzała na niego, nie kryjąc zdumienia. Mężczyzna westchnął powtórnie, wzniosł wysoko ręce, po czym opuścił je bardzo powoli, jakby zgniatał powietrze nad swoją głową. Otworzył oczy, uśmiechnął się i szepnął: – Energia jest cudowna.

– Proszę odpoczywać. – Dita była już prawie na korytarzu, lecz przystanęła w drzwiach. – Jeszcze jedno, panie Vandernoot. Zegar dzwoni codziennie o godzinie szóstej trzydzieści rano. – Marcel poszukał go wzrokiem. – Tam, pomogła mu – na stoliku nocnym. Proszę go nie regulować. Aby wyłączyć alarm, wystarczy nacisnąć przycisk.

– Mnie on nie jest potrzebny.

– Mimo wszystko proszę zostawić, jak jest. Diego lubi jego dźwięk – powiedziała Dita z naciskiem i dodała: – Zaraz polecę służbie, żeby przyniesiono panu mleko.

Małpa krążył po izbie. Zatrzymał się przed jedną ze ścian i palcem prześledził trajektorię jakiegoś pęknięcia.

– Jej bym tu nie sprowadził, o nie – powiedział miękko. – Znalazłbym dla niej piękny dom z przytulnym, suchym pokojem, z czystą łazienką, miałyby nawet do dyspozycji telewizor, żeby się nie nudziła.

– A światło? Też byłby pan tak szczodry jak w stosunku do mojej osoby i zostawiałby je pan włączone dniem i nocą? – spytał don Diego.

– Nie zrozumiał mnie pan, inżynierze. Tłumaczę panu właśnie, że z nią wszystko byłoby inaczej. Jak mógłbym traktować ją tak, jak, za przeproszeniem, pana, skoro ją od zawsze kochałem? – Małpa, zamyślony, oparł się plecami o ścianę. – Nigdy dokładnie nie liczyłem, ale czekałem na nią z dziesięć lat.

Don Diego wstał i nieznacznie wygiął się do tyłu.

– To ciekawe – powiedział – ale tutaj, w tych warunkach, pojąłem, że życie jest mądre.

– Dlatego że to pan jest tutaj zamiast niej?

– Między innymi. – Don Diego zaczął krążyć po pokoiku, jakby stąpał śladami pozostawionymi przez Małpę. Za każdym razem gdy przechodził obok niego, rzucał mu drwiące spojrzenie. – Coś panu nie idzie ten biznes, co? – spytał po chwili.

– Wszystko przebiega zgodnie z planem.

– A ten wystrzał sprzed paru chwil to pewnie na wiwat?

– Wypadek przy pracy.

– Ćwiczą panowie celność? – Don Diego roześmiał się głośno.

– Na celność nie mogę narzekać – odparł Małpa. – Mam nadzieję, że nie będę musiał panu tego udowadniać.

– Doprawdy, wyświadczyłby mi pan przysługę. – Don Diego stanął zaledwie krok od Małpy. – Nie musiałyby pan celować – powiedział i położył dłoń na sercu. – Wystarczyłoby przyłożyć lufę pistoletu tutaj i po krzyku.

– I po krzyku – powtórzył Małpa.

Don Diego poczuł od niego odór przetrawionego alkoholu. Przyjrzał się bacznie zaczerwienionym i podkrążonym oczom. Małpa nawet oddychał z wysiłkiem, ciężiej niż on, stary człowiek.

– Mam wrażenie, że wszystko to przyszło dla nas obu zbyt późno – odezwał się don Diego. – Dla mnie, pańskiej ofiary, i dla pana, mojego ciemżyciela. – Zawiesił na chwilę głos i dodał: – Jak by nie patrzeć, pan przegra, a ja wygram.

– Nie, don Diego, w najgorszym razie stracę tylko swój czas. Jeden trup mniej, jeden więcej, nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

– Aż tak z panem źle?

Małpa posłał mu aroganckie spojrzenie.

– Och, don Diego, jak niewiele pan wie o życiu. – Gdzieś w drugim krańcu chaty dał się słyszeć płacz Brewki, skamlącego o coś niezrozumiale. Pozostali darli się na niego, żeby stulił pysk. – Wybaczy pan, ale zdaje się, że mnie potrzebują – powiedział Małpa, wycofując się do drzwi.

– Niech pan będzie tak dobry i zgasi światło – poprosił don Diego.

– Niech pan zamknie oczy.

Małpa przekręcił klucz w kłódce. Zerknął na wyłącznik w korytarzu. Nagle usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Przez ułamek sekundy łudził się, że to może u Brewki. Wszystko stało się jasne, gdy zobaczył ciemną szparę w drzwiach. Don Diego rozbił żarówkę.

Leniwe chmury przeciągają nad doliną i zmieniają kolor w zależności od pory dnia. Późnym popołudniem mogą naciągnąć najbardziej fantazyjnymi odcieniami pomarańcza. Są kłębiaste i suną w stadach na tle intensywnie błękitnego nieba, my zaś leżymy w trawie i bawimy się w odgadywanie ich kształtów. Robimy to bardziej z nudów niż dla frajdy, popalając przy tym kradzionego papierosa.

Już nie skaczemy przez strumienie i nie budujemy zapór w rynsztokach na wzgórzach. Szalejemy jak dawniej na rowerach, chociaż słuchamy innej muzyki i gadamy na inne tematy. Zmienia się nam głos i rozprawiamy o filmach erotycznych, których nigdy nie widzieliśmy. Nienawidzimy fryzjera. Chcemy zapuścić długie włosy jak niezłomni hipisi. Teraz patrzymy na dziewczyny inaczej. Między nimi jest ta, która ciągle przykuwa naszą uwagę – dziewczyna z zamku.

Mnie osobiście frapuje w niej nie to, że jest księżniczką, ale jej inność. Śpiewa na cały głos w domku dla lalek, spowita w welon, tańczy samotnie w ogrodzie i znika na długie godziny w lesie. Ludzie mówią, że jej dziwaczność bierze się wyłącznie z samotności.

Dita jedzie z nią do przymiarki do krawcowej, co jest czymś niezwykłym, bo to krawcowa fatyguje się zawsze do zamku. Tym razem jednak, załatwiając w mieście sprawunki, Dita postanawia, że po drodze wstąpią przymierzyć sukienki. W kwestii fatałaszków Izolda również jest inna. Musi przymierzyć co najmniej trzy modele, a ponieważ nie jest już małą dziewczynką, idzie do przebieralni. Tam na haczyku wisi czerwona, zapomniana przez krawcową minispódniczka.

Izolda dostrzega ją, gdy przymierza pierwszą sukienkę. Chłonie wzrokiem jaskrawą czerwień. Gdy wchodzi z drugą sukienką, zdobywa się na odwagę, aby tamtą dotknąć – uszyta jest z grubego materiału, z boku ma suwak. Wychodzi z przebieralni, żeby krawcowa mogła dokonać poprawek, ale jest już tak rozkojarzona, że nie dociera do niej to, co mówi mama. Patrzy na swoje odbicie w lustrze, na plisowaną, sięgającą kolan sukienkę w pastelowych kolorach, kokardy w talii, hafty na piersi i rękawy wykończone koronką. Zezuje na spódniczkę i przenika ją zimny dreszcz.

– Izoldo, Izoldo.

– Tak, mam? – reaguje z opóźnieniem.

– Odpowiedz mi, proszę.

– Ale na co?

– Wolisz kokardę z przodu czy z tyłu?

Ponownie przygląda się swemu odbiciu w lustrze. Nic jej się nie podoba. Nie tylko sukienka. Pantofle, skarpetki, uczesanie, nawet blada cera.

– Izoldo.

– Nie chcę kokardy.

Dita i krawcowa spoglądają na siebie.

– Spróbuj tę. – Krawcowa podaje trzecią sukienkę i dziewczynka wchodzi do przebieralni, zasuwa zasłonkę i rozbiera się. Odczuwa ulgę, gdy sukienka zsuwa się po jej nogach aż do ziemi. Patrzy w lustro i dotyka dwóch wżgórków, które zaczynają kiełkować na jej klatce piersiowej. Z jednej strony widzi uniform księżniczki w kolorze lila, pulchny niczym babka piaskowa, z drugiej zaś, z wieszaka, mruga do niej bezwstydną minispódniczką.

Zakłada liliową sukienkę i wychodzi z niedopiętymi guzikami.

– Co się z tobą dzieje? – dziwi się Dita.

– Nic – mówi obojętnie Izolda, podczas gdy krawcowa dokonuje poprawek, upinając materiał szpilkami.

– No i jak, podoba ci się? – znów indaguje Dita. Izolda wzrusza ramionami. – Słucham? – dopytuje matka.

– Jest jak ubranko dla lalki – odpowiada Izolda.

– Jak to ubranko dla lalki?

– Wyglądam w niej jak lalka.

– To źle?

– To nudne.

– Gotowe – oznajmia krawcowa. – Możesz się przebrać.

Izolda znika w przebieralni. Słyszy, jak matka z krawcową omawiają detale wykończenia. Ściąga z siebie liliową sukienkę i przez nogi wkłada minispódniczkę. Gdy ją podciąga, z każdym centymetrem wzrasta jej podniecenie. Zasuwa zamek. Spódniczka, o dwa rozmiary za duża, pływa jej na biodrach. Zbiera ją z obu stron dłońmi i spogląda w lustro. Uśmiecha się, zachwycona. Drżąc na całym ciele, zawija na zakładkę górną krawędź spódniczki tak, aby lepiej ją dopasować, żeby jej przypadkiem nie zgubić. Na wierzch wkłada sukienkę, w której przyjechała.

– Izoldo, idziemy.

Ogląda się z boku, żeby sprawdzić, czy aby nic nie widać. W talii zauważa niewielkie zgrubienie, więc rozciąga sukienkę na boki, żeby nie było tak widoczne. Nagle Dita rozsuwa zasłonkę.

– Czemu tak się guzdrzesz? – Izoldzie dudni w piersi. – Gotowa? – ponagla ją

matka.

Dziewczynka przytakuje. Na odchodne omiata się wzrokiem z góry na dół.

W aucie nie mówi ani słowa. Oblewa ją pot. Przez całą drogę patrzy przez okno i marzy, aby opuścić szybę i wpuścić trochę świeżego powietrza.

Zaraz po przybyciu do zamku wyskakuje z limuzyny i pędzi po schodach na górę, do swojego pokoju. Zamyka drzwi, przekręca zamek i ściąga minispódniczkę. Rozkłada ją na łóżku i rozprasowuje dłonią. Przykłada do twarzy, wacha, ogląda od środka i na zewnątrz. W końcu kładzie się z nią na łóżku przykrytym narzutą, wtulając się w czerwony materiał.

Zamyka oczy i marzy.

Kotary były zaciągnięte, światła wygaszone. Na środku stołu stała mała szklana lampa, w której płonęła czarna świeczka, przywieziona przez Marcela z Belgii. Pod lampką rozpościerała się mapa Medellín. Płomień świecy wydobywał z mroku wyraz niedowierzania malujący się na twarzach zebranych. Poza Rudesindem obecne były jeszcze cztery osoby: dwóch krewnych don Diega, major Salcedo i Dita. Z początku nie chciała brać w tym udziału, ale Belg wymógł jej obecność, aby zagwarantować pomyślny rezultat swoich poczynań.

– A teraz poproszę, aby wszyscy podali sobie ręce – polecił Marcel Vandernoot. Mówił po francusku, Rudesindo tłumaczył. – Nie za mocno i nie za słabo, tyle tylko, aby połączyć energię. Wciągamy powietrze nosem i wypuszczamy ustami. A teraz, bardzo proszę, niech wszyscy zamkną oczy.

Za oknami słychać było wiatr poświsztujący między gałęziami drzew, ptasi rwetes w samo południe i przyciszone pogwarki policjantów rozstawionych wokół zamku. Major Salcedo nakazał funkcjonariuszom zachowanie ciszy i najwyższej czujności. W każdej chwili Marcel mógł ustalić miejsce pobytu don Diega. Tak naprawdę nikt nie miał pojęcia, czy to coś da, ale rodzina postanowiła wyczerpać wszystkie dostępne środki. Z wiarygodnego źródła wiedziała o zdolnościach Vandernoota do znajdowania zaginionych przedmiotów i osób.

– Czym innym jest zaginiony, a zupełnie czym innym przypadek Diega – dowodziła w swoim czasie Dita.

– Tutaj nie ma to znaczenia – usłyszała w odpowiedzi.

Nie miała już siły sięgać po nowe argumenty.

– Tyle się wydarzyło – powiedziała. – Róbcie, co chcecie.

Cały poprzedni dzień Marcel spędził w miejscach, w których zwykle przebywał don Diego. W pierwszej kolejności odwiedził jego pokój. Dotknął i obmacał wszystkie jego przedmioty osobiste. Obejrzał się w lustrze, w którym przeglądał się don Diego, przeciągnął po policzkach jego pędzlem do golenia, przeczesał włosy grzebieniem, nasmarował się wodą kolońską, a nawet usiadł na sedesie, na którym don Diego toczył dotkliwie boje z zaparciem. W końcu wdział na siebie ubranie porwanego i położył się na jego łóżku.

Po południu zaszył się w bibliotece i przystąpił do przeglądania książek

i zagranicznych czasopism. Włączył radio, w którym don Diego słuchał programów Deutsche Welle nadawanych z Bonn oraz hiszpańskiego Radio Exterior. Przetrzęsnał kolekcję płyt i wysłuchał fragmentów jego ulubionych oper. Z okna ogarnął spojrzeniem to samo Medellín, które w zadumie kontemplował don Diego. Zobaczył dym fabryk, rzekę, sępy, lotnisko i wysokie zielone góry, dławiące horyzont.

Późnym wieczorem zasiadł do kolacji, zajmując miejsce pana domu. Ujrawszy to, Dita odwróciła się na pięcie i wróciła do swojego pokoju. Poprosiła, żeby przyniesiono jej kolację na górę. Przed spoczynkiem Marcel zapukał do jej drzwi i spytał, czy nie sprawiłoby jej kłopotu, jeśliby tej nocy przespał się w łóżku don Diega.

– Sprawiłoby, i to ogromny – odparła oschle. – Może najpierw podziękowałby pan za to, że ofiarowałam panu pokój córki? – dodała i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Następnego dnia, przed sesją, Dita kolejny raz poskarżyła się Rudesindowi:

– Zakłada rzeczy Diega, wszystkiego dotyka, wszystko przestawia z kąta w kąt, wszędzie go pełno.

– Na tym polega jego praca – bronił Belga Rudesindo. – Zobacysz, zapomnisz o tych niedogodnościach, kiedy odnajdzie Diega.

– On sam wygląda, jakby się zgubił – dowodziła Dita. – Błąka się po całym domu, wchodzi we wszystkie zakamarki.

W końcu Rudesindo wyciągnął ostateczny argument: sprowadził Marcela z bardzo daleka, więc jakże mu teraz nie pozwolić pracować na swój sposób. Ostatecznie Dita zdzierżyła w sobie opór i oto siedziała wraz z innymi wokół świeczki, trzymając dłonie sąsiadów, w oczekiwaniu na kolejną instrukcję.

– Duchu Diega – powiedział Marcel.

Zanim Rudesindo zdążył przetłumaczyć, Dita oswobodziła swoje dłonie z dłoni sąsiadów i z furią zerwała się od stołu.

– Duchu?! Jak to duchu?! – Marcel otworzył oczy. Pozostali również puścili ręce towarzyszy. – Jak to duchu? – powtórzyła pytanie Dita.

– Muszę wiedzieć, czy pani małżonek wciąż jest z nami – odparł Marcel.

– Przyjechał pan tutaj, aby szukać żywego czy umarłego?

– Dito... – wmieszał się Rudesindo.

– O co chodzi? Co się stało? – spytał jeden z krewnych, nieznający francuskiego.

Dita odsunęła krzesło i pożegnała się z gośćmi.

– Jest bardzo zdenerwowana, co zresztą zrozumiałe – tłumaczył Rudesindo.

– Przerwała krąg – zauważył Marcel, ale Rudesindo nie rozumiał. – Teraz będzie nam potrzebna nowa osoba.

– Nie ma nikogo więcej – powiedział Rudesindo.

- O co chodzi? – spytał krewny.
 - Potrzebujemy nowej osoby.
 - Do czego?
 - Do czegoś, co ma związek z jakimś kręgiem. – Rudesindo był coraz bardziej zirytowany.
 - Teraz to już będzie na serio? – spytał drugi krewny.
 - *Alors*¹⁰ – powiedział Marcel.
- Jeden z członków rodziny szturchnął drugiego łokciem.
- Uwaga, on wszystko rozumie.
 - Nie ma nikogo więcej – powtórzył Rudesindo, lecz dokładnie w tej chwili jego wzrok napotkał przechodzącego Hugona, który zbierał srebrną zastawę do czyszczenia. – Może być ktokolwiek? – spytał.
 - Jeśli tylko się zgodzi... – odparł Belg.

Małpa leżał na łóżku i obgryzał paznokcie, a Twiggy tańczyła przed nim. Wyginała ciało na wszystkie strony, ze wzniesionymi ramionami, i śpiewała do piosenki docierającej z głośnika radia: „...jeden promyk słońca o, o, o...”. Prowokowała Małpę, trzepocząc sztucznymi rzęsami, patrzyła na niego pożądliwie, uginając kolana i pieszcząc swoje uda. „W serce mi się wplątał, o, o, o...” Odwróciła się i wciąż podrygując, przesunęła się ku drzwiom, najwyraźniej chcąc je zamknąć.

– Zostaw – zaprotestował nerwowo Małpa. Twiggy skrzywiła się i kontynuowała taniec, odwrócona do niego plecami. Kołysała pośladkami, na których niemal pękała w szwach żółta sukienka. – Chodź tu i uspokój się – poprosił Małpa.

- Nie bądź taki sztywniak, zatańcz ze mną – sarknęła Twiggy.
- Myślisz, że mam teraz głowę do tańca?

Twiggy zbliżyła się, potrząsając ramionami. Rozstawiła lekko nogi i jej sukienka uniosła się do góry. Małpa zauważył, że nie ma nic pod spodem. Wzięła jego rękę, wsunęła ją sobie między uda i zacisnęła je, nie przerywając tańca.

– Przeleć mnie, jak jesteś taki ogier – jęknęła żarliwie. Przypadła do niego i pocałowała w usta. Zaczęła kąsać jego wargi, wsunęła mu język do ust. Uchyliła powieki i napotkała szeroko otwarte oczy Małpy.

- Czemu ich nie zamykasz? – spytała.
- Lubię wszystko widzieć.
- A może się boisz?
- Boję się? Niby czego?
- Tego, co się czuje.
- Myślałby kto.

Twiggy possała jego język, zsuwając jednocześnie rękę w dół, w poszukiwaniu

twardego wzniesienia pod spodniami. Gdy nie znalazła tego, na czym jej zależało, mocno zacisnęła palce. Małpa zawył z bólu.

– Co ty tam wyprawiasz?! – zawołała z kuchni Lida. Twiggy prychnęła, podniosła się z łóżka i wróciła do tańca. – Ścisz tę muzykę, głowa mi pęka! – krzyknęła ponownie Lida.

Małpa posłuchał się matki, a Twiggy założyła ręce na piersi.

– Nie bądź taka, piękna – powiedział przymilnie.

– A co? Mam tańczyć do wrzasków twojej starej? – rzuciła.

– Nie płacz, będziesz miała kasę i czas, żeby tańczyć przez całe życie.

– Myślałam, że kazałeś mi przyjść, żeby się ze mną kochać.

– Przecież wiesz, co się dzieje. Cały czas chodzi mi po głowie ten detektyw, którego ściągnęli do Medellín.

– Jaki detektyw?

– Ten Francuz.

– Ach, masz na myśli Belga – poprawiła go Twiggy. – Przecież nawet małe dziecko domyśliłoby się, po co go tu sprowadzili – żeby odnalazł staruszkę.

– Ciszej – syknął Małpa.

– No to zamknij te pieprzone drzwi, żebyśmy przynajmniej mogli normalnie porozmawiać.

– Przystopuj, dobra?

Obydwoje zaczerpnęli powietrza. Przez chwilę omijali się wzrokiem.

– Ja już się na to nie piszę. Więcej moja noga tam nie postanie – zastrzegła na wszelki wypadek Twiggy. – Jeśli po to mnie tu ściągnąłeś.

– Nie po to.

– A po co?

– Pała mówi, że ten facet, odkąd przyjechał, nie wyściubił nosa poza zamek. Ponoć tylko raz wyszedł na krótki spacer po ogrodzie. I że przewala się tam chmara ludzi.

Twiggy przysiadła w rogu łóżka i chwyciła dłonią stopę Małpy.

– Czemu nie zamkniesz tego tematu po dobroci?

– Puścić go? – Twiggy skinęła głową. – Nie, piękna, to nie wchodzi w grę. – Twiggy połaskotała go w podeszwę, na co Małpa podkurczył nogę. – Wszystko, co miałem, zainwestowałem w ten interes. Jeśli teraz się wycofam, zostanę na lodzie. Poza tym, jak bym spojrział w oczy chłopakom?

– Oni też już są zmęczeni – powiedziała Twiggy.

Nagle w drzwiach stanęła Lida.

– Synku, chcesz coś zjeść? – spytała.

– Jezu, mam, ale mnie wystraszyłaś! – poskarżył się Małpa, po czym zwrócił się do Twiggy: – Chcesz coś zjeść?

- Ciebie pytałam – powiedziała surowo Lida.
- Nie, Małpeczko, dziękuję bardzo – odparła Twiggy i położyła głowę na nogach mężczyzny. Lida spojrzała na nią. Kiedy opuściła wzrok na rozchylone uda dziewczyny, oczy wyszły jej z orbit.
- Na razie nic, mam – rzucił Małpa. – Dzięki.
- Gdy tylko Lida sobie poszła, Małpa szepnął do Twiggy:
- Ten Belg nam bruździ, trzeba go sprzątnąć.
- Nie rób więcej głupstw – powiedziała i przez spodnie ugryzła wypukłość pod jego rozporkiem. Małpa odskoczył jak oparzony. Twiggy podpełzła za nim na czworakach i znów go pocałowała. – Chłopaki narzekają z powodu forsy – powiedziała.
- Wiem. – Małpa pokiwał głową. – A ty na dokładkę naopowiadałaś im, że mało co zostało.
- Bo naskoczyli na mnie, że to niby ja ją trwonię – broniła Twiggy.
- Mamy wiele wydatków – westchnął Małpa.
- Jakich wydatków? Jedyne, co tam, na górze, potrzeba, to trochę żarcia.
- A broń? A amunicja? – przypomniał Małpa.
- To akurat było wliczone od początku.
- Zgadza się, ale tak się złożyło, że muszę płacić wielu postronnym ludziom.
- Jakim ludziom?
- Synu! – zawołała Lida z kuchni.
- Przed chwilą jęczałaś, że nie chcesz się w to mieszać, to teraz nie bądź taka dociekliwa – powiedział Małpa, ignorując matkę.
- To ty mnie w to wikłasz – odgryzła się Twiggy. – Mam prawo zapytać.
- Synu, chodź tu do mnie na chwilę!
- W nic cię nie wikłam – Małpa spuścił z tonu. – Proszę cię jedynie, żebyś zrobiła to, co robisz zawsze.
- Tak, ale chcesz, żeby to zrobiła w twojej sprawie.
- Synu, przyjdiesz w końcu czy nie?
- Już idę!
- Co za upierdliwa mamuśka – zachnęła się Twiggy.
- Przyhamuj, piękna – ostrzegł ją Małpa. – Nie zapominaj, że to moja mama.
- Lida siedziała przy stole z założonymi rękami. Twarz miała czerwoną od gniewu.
- O co chodzi? – zapytał Małpa.
- Synu. – Lida wciągnęła powietrze nosem i pokręciła z oburzeniem głową.
- Co się stało, mammo?
- Synu. – Lida w końcu zebrała się w sobie. – Ta kobieta nie ma na sobie majtek.
- Że co?
- Tylko nie udawaj, że nic nie widziałeś. Ja widziałam wszystko.

– Nie wiem, mamó, ja jej tam nie zaglądam.
– Zabierz mi ją stąd, ale już.
– Mamó...
– To porządny dom.
– To moja dziewczyna.
– W takim razie spotykaj się z nią gdzie indziej. Zabieraj ją i żebym jej tu nigdy więcej nie widziała.

– Pryska my – rzucił Małpa po powrocie do pokoju.
– Mamuśka się piekli, co? – zadrwiła Twiggy.
– Nie podnoś mi ciśnienia, dobra? Wystarczy, że z nią muszę się użerać.
Twiggy wstała, poprawiła sukienkę i chwyciła torbę. Zanim wyszła, zapytała jeszcze raz:

– Małpa, nie jesteś za stary, żeby mieszkać z matką?

– Żyje – oświadczył Marcel Vandernoot.

Rudesindo przetłumaczył jego słowa i z piersi obecnych wyrwał się okrzyk ulgi.

– Jest pan pewien? Skąd pan to wie? – spytał jeden z krewnych.

– No nie, tego nie będę tłumaczył – zastrzegł Rudesindo. – Skoro tak mówi, to znaczy, że wie i kropka.

– A czy może nam pan powiedzieć, gdzie się znajduje? – spytał praktyczny z natury rzeczy major Salcedo.

– Dzisiaj przestąpiłem progi życia pozagrobowego – odparł Marcel natchnionym głosem. – Wypatrywałem jego duszy, nie ciała.

– Cóż, przynajmniej możemy wykluczyć najgorsze. – Rudesindo popatrzył z optymizmem na zebranych.

– Czy mogę przekazać dobrą nowinę pani? – spytał Hugo, siedzący między krewnymi.

– Ja pójdę – oznajmił jeden z nich, wstając od stołu.

– Hugo, może pan już odejść – rzekł Rudesindo.

Marcel również wstał.

– Muszę odpocząć – powiedział.

Po drodze do pokoju ujrzał krewnego don Diega, tego, który miał przekazać Dicie radosną wiadomość. Właśnie pukał do jej drzwi.

– Otwórz, bardzo cię proszę, otwórz – nalegał. – Diego żyje.

Skrzyżowali spojrzenia. Zrezygnowany krewniak rozłożył ręce, a Marcel, nie zatrzymując się, poszedł dalej.

Dita patrzyła przez otwarte okno, ignorując pukanie i entuzjastyczne nawoływania. Naprzeciwko niej zielenił się las, w którym Izolda spędzała wolne chwile w przerwach między lekcjami. Wydał jej się rzadszy i cichszy niż zazwyczaj.

Pomyślała, że gdyby nie obecność policji, chętnie poszłaby tam na spacer, jak to czyniła przed uprowadzeniem don Diega. On nigdy nie przemógł się, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Docierała do miejsca, w którym zaczynała się gęstwina, i przystawała. Jakaś niewytłumaczalna siła powstrzymywała ją przed wkroczeniem w głąb. Zastanawiała się, gdzie w tym lesie znajduje się wejście do sekretnego świata jej córki. Z każdej takiej wycieczki wracała z co najmniej jednym włosem ucepionym ubrania – złocistym długim włosom, który mógł należeć tylko do Izoldy.

Któregoś dnia opowiedziała o tym don Diegowi, a ten stwierdził, że to czysty przypadek. Nie przyjmował do wiadomości faktów. „A któż inny tutaj może mieć takie włosy?”, perswadowała Dita i każdy przyniesiony z lasu egzemplarz wkładała do szkatułki na biżuterię, zamykanej na klucz.

Teraz ten sam las sprawił, że ocknęła się ze wspomnień. Nieoczekiwanie gałęzie drzew poczęły miotać się na wszystkie strony. Dita spojrzała w górę, wypatrując oznak nadchodzącej burzy, lecz niebo było bezchmurne, a reszta ogrodu pogrążona w martwocie. Las zajęczał, zakołysał się i z drzew oderwały się suche liście, które poszybowały w stronę okna. Konary wyciągały ku niej swe ramiona, jakby ją przyzywały, a szamoczący się w listowiu wiatr przypominał żałosny lament.

10 Gra słów polegająca na zestawieniu francuskiego słowa *alors* i, w domyśle, fonetycznie brzmiącego podobnie, hiszpańskiego wyrażenia *al loro* – ostrożnie, uwaga, które wydawało się słyszeć krewnym don Diega (przyp. tłum.).

Opuścili Niemcy i wyjechali na sześciomiesięczne zakupy do Paryża. Chcieli cieszyć się życiem. Żyć, póki można, jak mawiał don Diego, odkąd skończył dwadzieścia pięć lat i przedterminowo poprosił papę o należną mu schedę. Minęło kolejne ćwierć wieku, a on przez wszystkie te lata dochował wierności swojej złotej maksymie, żyjąc tak, jak sobie zamierzył. Nawet Paryż jednak w końcu męczy i gdy oboje uznali, że zgromadzili już najpotrzebniejsze rzeczy do urządzenia nieskończonego jeszcze zamku, postanowili wyruszyć w podróż do Kolumbii.

Wraz z kuframi pełnymi ubrań i trzydziestoma skrzyniami najróżniejszych rozmiarów zaokrętowali się na statek należący do armatora Norddeutscher Lloyd. Dita wolała płynąć statkiem, aby powoli rozstawać się z dotychczasowym życiem.

– Wszystko będzie się zmieniać stopniowo, powietrze i niebo, klimat – mówiła. – Podróżując samolotem, nie masz czasu, by delectować się nostalgią. Przemieszczasz się błyskawicznie i kiedy znienacka docierasz na miejsce, nie pozostaje nic innego, jak z punktu zająć się nowym życiem. Tymczasem statek... Po całych dniach możesz wspominać, tęsknić, widzieć odległość w pienistym śladzie za rufą, w kolorze wody. Wszystkie morza i oceany są jednością. Wsparta na barierce, mogę wypłakiwać oczy, wiedząc, że wody te to także wody Morza Północnego.

– W trakcie podróży mogłabyś pożałować swojej decyzji – uprzedził ją don Diego.

– Wykluczone – stwierdziła kategorycznie Dita.

– Podoba mi się pomysł ze statkiem. Kiedy o tym opowiadasz, czuję się, jakbym siedział w kinie i oglądał film.

Dita uśmiechnęła się do niego.

– Nie wszystko trzeba zaraz zapisać po stronie strat, dostanę też coś w zamian. Zostawię zimno i zacznę się przyzwyczajać do tropiku.

– Nie sposób przywyknąć do tropiku – zauważył don Diego. – Myślę, że nie potrafisz nawet go sobie wyobrazić. Całe szczęście, że będziemy tam tylko przejazdem. W Medellín klimat jest o wiele łagodniejszy.

– Cóż, wykorzystam więc podróż, żeby przyzwyczajać się do ciebie.

Nadszedł dzień odjazdu. Weszli na pokład bardzo ciepło ubrani, chroniąc się

przed chłodem europejskiej zimy. Zdumieli się, że tak wiele osób decyduje się jeszcze na podróż do Ameryki transatlantykiem. Już od jakiegoś czasu krążyły słuchy o zamknięciu tej linii, a jednak w dalszym ciągu gwarantowano wygody i luksusy świadczone niezmiennie od kilku dekad.

– Mam nadzieję, że ta podróż ukozi nasze nerwy – powiedział don Diego, gdy już rozgościli się w kabinie pierwszej klasy.

– Jeśli masz na myśli mnie, możesz być całkowicie spokojny. Ja się nie lękam – odparła Dita.

– Ponoszę za ciebie odpowiedzialność, Dito.

– Zobaczysz, że będzie na odwrót – zaśmiała się. – I to w najmniej spodziewanym dla ciebie momencie.

Dopóki znajdowali się na Morzu Śródziemnym, don Diego potrafił jeszcze zamaskować swój niepokój, lecz gdy przez Cieśninę Gibraltarską wypłynęli na ocean, stanął na dziobie, przytłoczony ogromem rozciągającego się przed nim i wtapiającego w szarość popołudnia Atlantyku. Był sam, Dita wolała zostać na rufie z większością pasażerów, odprowadzając wzrokiem topniejący z wolna ląd. Statek pożegnał się długą, ochrypłą, rozdzierającą powietrze syreną. Don Diego pomyślał, że jego los jest równie niepewny, jak los Dity. Trzymając się poręczy barierki, z rozkołysanym wysokimi falami stalowym kolosem pod stopami, po raz pierwszy w życiu poczuł się dojrzałym mężczyzną. Uprzytomnił sobie, że być może osiągnął już wiek, w którym burzliwy czas młodości minął bezpowrotnie. Ten rozdział życia, pełen beztroski, ekscesów, alkoholu i kobiet, wydawał się zamknięty. Najbardziej jednak dręczył go paradoks polegający na tym, że porzucił stan kawalerski, ale wciąż był kawalerem.

Tej samej nocy, w sali restauracyjnej, po wypiciu trzech kieliszków szampana, podzielił się swymi myślami z Ditą.

– Moja rodzina będzie chciała zobaczyć zdjęcia ze ślubu. – Jadła w milczeniu. Od dłuższego czasu ocean kołysał się gniewnie i kelnerzy dokonywali cudów ekwilibrystyki, aby nie uronić niczego z tac. Don Diego nie dawał za wygraną: – Do tego zaproszenia, karty okolicznościowe, będą chcieli usłyszeć całą historię. – Statkiem wstrząsnęło tak potężnie, że pianista pomylił klawisze. Dita powiodła wzrokiem po pasażerach siedzących przy sąsiednich stolikach. Uśmiechnęła się do tych, którzy odwzajemnili jej spojrzenie. – Zmusisz mnie do tego, bym kłamał.

– A dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć prawdy? – spytała.

– Ponieważ w normalnym stanie rzeczy powinnaś być moją żoną.

– Jestem nią.

– Nie jesteś.

– Ach, nie? – obruszyła się, patrząc mu surowo w oczy.

Don Diego spuścił wzrok na talerz z prawie nietkniętą kolacją.

– Wiesz doskonale, co mam na myśli – powiedział.

Kilka osób opuściło restaurację, nie czekając na kawę i deser.

– Nalej mi jeszcze – poprosiła Dita. – Jeśli mam się pochorować, to niech to będzie z winy szampana. – Gdy don Diego napełnił oba kieliszki, dodała: – Nie dotrzymujesz obietnicy.

– Której spośród wszystkich, jakie ci złożyłem?

– Tej, że nigdy więcej nie wrócisz do tego tematu. – Jeden z kelnerów stracił równowagę i upadł na podłogę z tacą i jej zawartością. Rumor sprawił, że oboje podskoczyli. Pianista skapitulował i zszedł z posterunku. Dita wypiła duszkiem zawartość swojego kieliszka i powiedziała: – Ale nie martw się, z innych wywiązujesz się przykładowo. – Oczy jej błyszczały, kiedy ścisnęła dłoń don Diega. – Chodźmy lepiej do kabiny – wymruczała. – Tutaj wszystko zaczyna się sypać.

Wstając od stołu, zahaczyła wzrokiem o butelkę w wiaderku z lodem. Stwierdziwszy, że została w niej jeszcze połowa szampana, chwyciła ją za szyjkę i uniosła ze sobą.

Szli objęci kurczowo, chwytając się poręczy w korytarzu i odbijając od ścian. Wszedłszy do kabiny, Dita ściągnęła pantofle, a don Diego padł na łóżko jak długi.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Wielkie nieba! – zawołał. – Przeprowadzam się przez ten ocean od czternastego roku życia i nie taki sztorm przeżyłem.

– Nic nie jadłeś – zauważyła Dita i zaczęła się rozbierać.

Don Diego ciągle jeszcze nie mógł się oswoić z tak nachalnie serwowaną nagością przyzwoitej kobiety. Nigdy nie powiedział jej tego wprost, ale wolałby, żeby rozbierała się w łazience i wychodziła z niej w koszuli nocnej. On nie potrafił się przemóc i obnażyć w jej obecności, zawsze paradował w piżamie. Nie miał za to żadnych oporów, aby później ona rozebrała go do rosołu.

Dita nagusieńka kluczyła po kabinie, zataczając się od ściany do ściany.

– Szukasz czegoś? – spytał.

W końcu dotarła do fotela, na którym zostawiła szampana.

– Tego – odparła i pociągnęła spory łyk prosto z butelki.

– Dito...

– Tak?

Tak naprawdę nie wiedział, co powiedzieć. Jej widok przywoływał wspomnienia wszystkich dziewczynek, które przewinęły się przez jego życie. Dita ślalomem dotarła do łóżka i położyła się obok niego.

– Jesteś bladziutki – stwierdziła z troską. – Na pewno dobrze się czujesz? – Gdy przytaknął, zamknęła go w objęciach. Po chwili chwyciła butelkę i pociągnęła kolejny sążnisty łyk. – Chcesz? – zaproponowała.

– Zaczekaj, przyniosę kieliszki – odparł, wciąż pozostając w wieczorowym stroju

– w smokingu i muszce. Chciał wstać, ale w tym samym momencie statek przechylił się i don Diego runął wprost na Dite, która parsknęła niepohamowanym śmiechem.
– Nie kpij ze mnie – mruknął.

Dita wzięła jego dłoń i złożyła na niej gorący pocałunek.

– Zostań tutaj i nie ruszaj się – zakomenderowała. Uniosła butelkę i przechyliła ją nieznacznie w taki sposób, że cienki strumyk szampana celował prosto w jej pępek. Don Diego przyglądał się jej, oszołomiony. – Ja jestem twoim kieliszkiem – oznajmiła bezwstydnie. – Pij.

Don Diego odstawił butelkę na nocny stolik i spojrzał na malusieńkie jeziorko szampana w zagłębieniu pępka Dity. Chciał się pochylić, ale poczuł mdłości. Zerwał się i chwiejnym krokiem pośpieszył do łazienki.

Mijały dni, ciepłe wiatry w końcu zawitały na pokład statku i pasażerowie mogli spędzać więcej czasu na leżakach, zażywając kąpeli słonecznych. Pochowali w walizach grube, wełniane okrycia. Można już było spać przy otwartych oknach, chociaż bardzo prędko trzeba je było znów zamknąć i włączyć klimatyzację. Dita bardzo dobrze zniosła zmianę klimatu, za to don Diego nieustannie narzekał. Ona wyobrażała sobie wcześniej, że upał to upał i jest taki sam na całym świecie. Jednakże karaibskie temperatury wydały się jej inne.

– To kwestia zapachu – objaśnił don Diego. – Żar wydobywa woń ze wszystkiego i rozsiewa ją w powietrzu.

– Nie jesteś odpowiednio ubrany – zauważyła.

– Odpowiednie ubranie na lato nie istnieje – zrzędził. – Siłą rzeczy jest nieeleganckie i wygląda koszmarnie.

Statek zawinął do portu w Santo Domingo, gdzie Dita po raz pierwszy zetknęła się z nową cywilizacją.

– Oprócz zapachu jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Mam wrażenie, że wszystko.

Nic, co chłonęła wzrokiem, nie przypominało jej tego, co znała wcześniej. Nawet tutejsze samochody, o wiele bardziej kolorowe, dłuższe, przestronniejsze – nigdy nie widziała tylu kabrioletów naraz. Inne były ubikacje, łóżka, ubrania, inni byli ludzie. Przystanek w Santo Domingo był bardzo krótki i nie zdążyła się zachwycić tym nowym światem.

– A przecież nie widziałaś Barranquilli – napomknął enigmatycznie don Diego.

– Jest jeszcze wspanialsza?

Wykonał gest, który można było uznać za synonim tyleż kpiny, co niechęci.

– To po prostu Barranquilla – odparł lakonicznie.

Klimatyzacja nie chłodziła należycie kabiny i don Diego męczył się nocami

okrutnie. Dita była przyzwyczajona do europejskich upałów, lecz na statku też spała fatalnie. Nie skarżyła się jednak i kiedy nie mogła zasnąć, patrzyła przez okno na ciemne morze, sącząc resztki wina, jak zawsze skonfiskowanego ze stołu po kolacji.

Pewnej nocy, niezwykle czymś poruszona, obudziła don Diega.

– Spójrz – powiedziała, pokazując mu okno.

– Co się stało?

– Spójrz tam, na zewnątrz.

Don Diego wyprostował się na łóżku i namacał w ciemności okulary.

– Nic nie widać, szyba jest zaparowana.

– Za szybą – wyjaśniła Dita i dopiero wtedy dostrzegł jakieś białe nitki przemykające za oknem.

– To wiatr, śpij. – Ziewnął i wtulił się w poduszkę.

Za szybą tysiące białych, cieniusieńkich włókien falowały to w tę, to w tamtą stronę na tle rozświetlonego księżycem nieba. Dita nie odważyła się wytrzeć pary ze szkła z obawy, że wraz z nią zdematerializuje się to niesamowite zjawisko.

– Wiatr? – spytała, nie dowierzając. – Don Diego zamruczał coś na odczepnego, próbując ponownie zasnąć. – Nie wiedziałam, że można zobaczyć wiatr – Dita nie przestawała się dziwić, ale ponieważ jej ukochany nakrył już głowę prześcieradłem, podciągnęła fotel bliżej okna i kontynuowała obserwację. W końcu i ona zasnęła.

Dwa dni później, w piekielnej spiekocie, pod pręgierzem słońca odkształcającego horyzont, przybili do Puerto Colombia. Mrowie czarnoskórych w kanoe otoczyło statek, a dziesiątki rozradowanych gołych dzieciaków rzuciły się w morze. Trójkolorowa wyblakła flaga zwisała leniwie w ciężkim, gęstym powietrzu. W kilka sekund Dita zrozumiała, dlaczego don Diego nie mógł lub nie potrafił opisać jej Barranquilli. Z przerażeniem i fascynacją patrzyła na prymitywne chałupy, ziemię, piasek, rozgardiasz i nędzę. Bojąc się go urazić, nie zapytała, czy w Medellín będzie tak samo.

Roztapiający się w upale don Diego nadzorował przeładunek skrzyń, które resztę podróży miały odbyć rzeką, i kompletował bagaże zabierane do samolotu. Dita czekała na niego pod koszmarne hałaśliwym wentylatorem, umierając z pragnienia. Przestrzegł ją, żeby pod żadnym pozorem nie przyjmowała niczego do picia. Pośród niesamowitego zgiełku i ludzkiej ciżby gryzła się, czy aby nie popełniła fatalnego błędu.

30

– Ten stary zrobi to, co mu każę, po dobroci albo siłą – powiedział. Otworzył gwałtownie drzwi i jaskrawe światło wtargnęło do izdebki. Oślepiiony nagłym blaskiem, don Diego w pierwszej chwili nie mógł dojrzeć rozwścieczonego oblicza porywacza. – Idziemy, inżynierku. – Małpa chwycił go brutalnie za ramię. Don Diego próbował się wyrwać, ale Małpa, nie cackając się, poderwał go do góry. – Idziemy, powiedziałem – powtórzył, cedząc słowa przez zęby.

Nogi don Diega zaplątały się w derkę i już miał wyrznąć na podłogę, kiedy Małpa go pochwycił.

– To boli! – poskarżył się don Diego.

– Mam już pana po dziurki w nosie – rzucił Małpa, nie przestając go ciągnąć.

W korytarzu minęli się z Carlitosem, trzymającym w ręku banana. W dużej izbie czekali już na nich Chwast i Pluskwa.

– Czego pan ode mnie chce? – spytał don Diego. – Gdzie mnie pan ciągnie?

– Tutaj, niedaleczko – rzekł Małpa i popchnął go w kierunku drzwi chałupy.

Don Diego uniósł rękę, zasłaniając oczy przed światłem.

– Niech mnie pan puści. Mogę iść sam.

– Przecież nic pan nie widzi, don Diego. Zaraz się pan przewróci – napominał go Małpa i zawołał: – No, dobra, Pluskwa, dawaj tu wszystkich!

Popołudnie było chłodne, jak wszystkie popołudnia w Santa Elena. Nisko nad ziemią wisało ołowiane niebo i jak zawsze w sierpniu wiał porywisty wiatr. W każdej chwili mogło się rozpaść na dobre. Trawa była wilgotna, jakby poprzedniego dnia lunął deszcz.

Małpa wyprowadził don Diega, cały czas trzymając go za ramię. Odeszli na paręnaście metrów od chaty. Dopiero wtedy don Diego bardzo powoli otworzył oczy. Naturalne światło sprawiało mu fizyczny ból. Rozejrzał się wokół i rozpoznał ciągnący się w nieskończoność las, który widział już przed kilkoma tygodniami.

– Która godzina? – spytał.

– Najlepsza na zrobienie pamiątkowego zdjęcia – odparł Małpa i skinął na Pluskwę. Don Diego ujrzał męzczyznę trzymającego w rękach aparat, ten sam, którym daremnie usiłowała zrobić mu fotkę Twiggy.

– Wolę zdechnąć – powiedział i rzucił się na kolana.

– No to zdechniesz, najwyżej sfotografujemy trupa – odparł Małpa, podnosząc z ziemi pierwszy lepszy kamień. Popędził Pluskwę: – Trzaskaj. Muszę mieć te zdjęcia, żeby nie wiem co. – Don Diego skulił się na ziemi i zakrył twarz. – Dawaj, do roboty! – rozkazał Małpa.

Pluskwa zaczął pstrykać.

– Zasłania się – powiedział. – Co nam po takich zdjęciach, nikt go nie rozpozna.

– Moment – rzucił Małpa i zawołał do pomocy Carlitosa i Chwasta. – Ściągnijcie mu ubranie. – Cała trójka spojrzała na niego. Małpa bawił się kamieniem, przerzucając go z ręki do ręki. – Ogłuchliście?

– Wszystko? – spytał Chwast.

– Wszystko. – Zbliżyli się ostrożnie, a don Diego, choć stary i ledwo żywy, poczęstował ich kopniakami. – Pluskwa, zostaw aparat i pomóż im.

Chwast zdołał chwycić starca za nogi, a Carlitos unieruchomił jego rękę. Don Diego charczał i przeklinał. Pluskwa rozpiął mu spodnie i zsunął je do kolan, po czym usiadł na udach, aby Chwast mógł je ściągnąć do końca. Don Diego przekręcił się i spróbował wyrwać, lecz gdy ujrzał swoje żałosne, brudne gatki, cienką i zwiotczałą skórę powlekającą kości, coś w nim pękło i zaniósł się płaczem. Pluskwa i pozostali zerknęli na Małpę, dezorientowani.

– Kończyć! Na co czekacie? – warknął Małpa, gotując się ze złości. Carlitos wziął się do rozpinania guzików koszuli don Diega, lecz Małpa krzyknął: – Nie certol się, Carlitos! – Dосkoczył do don Diega i jednym szarpnięciem rozerwał koszulę starego, obrywając wszystkie guziki. – Koszula i gacie! – rozkazał.

Już nawet nie patrzyli na Małpę.

Don Diego zawodził rzewnie:

– Dranie, tchórze, łajdaki...

– Skarpetki też? – spytał Carlitos.

Małpa krążył wokół don Diega, stawiając długie kroki i parszcząc jak rozjuszony byk. Przypominał dziką bestię szukającą odpowiedniego miejsca w ciele ofiary, by zatopić w niej swe kły. Zataczał kolejne koła, nie spuszczając oka ze starego. Wciąż ścisnął w dłoni kamień.

– Nie, skarpetek nie – powiedział.

Pluskwa podniósł z trawy aparat, a Chwast i Carlitos przytrzymali don Diega. Ścisnęli go za ręce i kostki u nóg, aż stary zawył błagalnie.

– Zabijcie mnie – prosił, upokorzony, wyczerpany szarpaniną, płaczem i zimnem.

Pluskwa naciskał spust migawki raz za razem, starając się robić ujęcia pod różnymi kątami. Don Diego zaciskał powieki i szarpał głową to w jedną, to w drugą stronę. Uspokoił się, dopiero gdy usłyszał, jak Pluskwa mówi:

– Małpa, klisza się skończyła.

Wtedy wszystkich zaskoczyły krzyki odbijające się echem po całych górach. Byli tak wstrząśnięci, że nie od razu się połapali, że to głos zapuszkowanego Brewki. Małpa złapał się za głowę i potargał włosy. Uniósł rękę, w której trzymał kamień, i cisnął nim w don Diega, ale chybił i kamień spadł bezgłośnie w trawę. Wyprowadzony z równowagi, ryknął jak zranione zwierzę, podbiegł do don Diega i kopnął go w żebra. Zgięty wpół, z szeroko otwartymi ustami, don Diego próbował złapać oddech. Małpa rozpostarł ramiona i wykrzyczał niehumanym głosem:

– Co za kurewski los!

Izolda wychodzi do ogrodu. Ma na sobie białą bluzkę zawiązaną na supeł powyżej pępka i czerwoną minispódniczkę, a na nogach pantofle swojej mamy na wysokim obcasie. Koślawym krokiem idzie po kostce brukowej jak nowo narodzone źrebię. Wyciąga ręce w bok, żeby utrzymać równowagę. Nie posiada się z radości, że udało się jej uwolnić od sukienek przypominających ubranka staroświeckich lalek.

Guwernantka woła ją jęśliwym głosem po niemiecku, ale Izolda nic sobie z tego nie robi. Opiera się o ścianę i przyśpiesza kroku, dusząc się ze śmiechu.

Wybraliśmy się do zamku zrywać owoce *corozo* rosnące na palmach. Kiedy państwa nie ma w domu, ogrodnik pozwala nam wchodzić do środka. Jeśli są na miejscu, strącamy je zza płotu za pomocą długich tyczek. A później w długą, co lubimy jeszcze bardziej – uchodzić wyimaginowanym zagrożeniom, nieścigani przez nikogo, po prostu biec co sił w nogach do bezpiecznego, według naszych wyobrażeń, miejsca. Zaśmiewamy się do łez, z trudem łapiąc powietrze; wykończeni klepiemy się w dłonie i napawamy łupem.

– *Isolde, komm sofort herein!* – woła Hedda, z rękami opartymi na balustradzie portyku. Jej włosy są w nieładzie i wygląda tak, jakby przed chwilą zwlekła się z łóżka. Od dawna nie opuszcza zamku. Sprawia wrażenie postarzałej i zaniedbanej. Nie ubiera się też tak grubo jak kiedyś, żeby chronić się przed słońcem. Ma na sobie koszulę ze źle zapiętymi guzikami i niemodne spodnie nad kostkę. – Guzmán! – krzyczy.

Wcześniej widzieliśmy, że ogrodnik jest po drugiej stronie zamku, tam, gdzie rosną orchidee.

Izolda dochodzi już do rogu, przyklejona do muru, żeby Hedda jej nie zauważyła. Wchodzi na trawnik i obcasy matczynek pantofli zapadają się w miękkiej ziemi. Jesteśmy pewni, że zaraz się przewróci, ale jakoś dociera do domku lalek i zamyka się w środku.

Hedda staje w połowie schodów i osłania dłońią twarz od oślepiającego słońca. Mówi coś po niemiecku i wraca do portyku. Wchodzi do zamku i zatrzaskuje z impetem drzwi.

My zaś, za pomocą długiej tyczki z bambusa *guadua*, strącamy z wielkim mozołem kiście *corozo*. Uzbieraliśmy już dosyć, ale chcemy więcej. Wchodzimy

jeden drugiemu na ramiona, ale trudno jest nam utrzymać równowagę. Im większe opały, tym więcej śmiechu i uciechy. Nagle rozlega się głośna muzyka. Jest całkiem różna od tej, jaką zwykle słycać w zamku. To tropikalne, swawolne rytmy, bardziej przypominające muzykę, którą w swoim radiu nastawia po cichutku Guzmán, gdy pracuje w ogrodzie. Raptem piosenka urywa się. Izolda wychodzi z domku lalek w tym samym przyodziewku, ale krzykliwie umalowana. Podchodzi do krzaków, w których jesteście ukryci. Rozkłada ramiona i mówi głośno:

– Panie i panowie, witamy na najbardziej oryginalnym show kontynentu. Od term Karakalli po paryski teatr Lido. Dzisiaj, nareszcie w Medellín, wielki show Izoldy!

Kończy zapowiedź i znika w domku. Spoglądamy na siebie, skonsternowani. Mówiła do nas?

– Wiejemy – radzi jeden, ale nikt, nawet pomysłodawca, nie rusza się z miejsca na milimetr.

Izolda wychodzi ponownie. Jest bosa, trzyma przenośny modny adapter. Znowu idzie w naszą stronę. Łypimy jeden na drugiego i każdy z nas myśli, że teraz to już naprawdę powinniśmy zmiatać.

– Proszę o uwagę – oznajmia Izolda. – *Your attention, please. Darf ich um Ihre Aufmerksamkeit bitten. Votre attention s'il vous plaît.*

Kładzie na ziemi adapter, z którego równie głośno co przed chwilą rozbrzmiewa znana już nam piosenka. Ogród wypełnia gorąca muzyka. Izolda, z zamkniętymi oczami, wprawia swoje ciało w ruch. Jej dłonie wirują, kolana uginają się, a głowa obraca na wszystkie strony. Kołysze nieśmiało biodrami, lecz gdy do akcji wchodzi trąbki, spuszcza nogi z uwięzi, otwiera oczy, wznosi ręce, potrząsa włosami i rzuca się w niepohamowane, ekstatyczne pląsy.

Któryś z nas chichocze, ale ona tego nie słyszy, a może tylko udaje. Z rozdziawionymi ustami patrzymy, jak przysiada i zaraz prostuje nogi, jak skręca się i wygina, jak wstrząsa ramionami. Kręci się wokół własnej osi, a jej włosy fruną za nią, falując żywiołowo w powietrzu. Obraca się z cudowną naturalnością, jakby jej w tym pomagał wiatr, dwa kroki w jedną stronę, dwa w drugą, do przodu i w tył, zapamiętała w swym tańcu, bezustannie kołysząca czerwoną minispódniczką.

Mimowolnie wynurzamy się z krzaków. Izolda kręci się w kółko. Jeszcze jeden obrót i jeszcze, wstrząsa barkami i rękami do ostatniego dźwięku piosenki. Potem, rozplómienna i zziębnięta, przykuca i podnosi ramię gramofonu. Wstaje, wyprostowana jak struna, i poprawia minispódniczkę, która trochę jej się obsunęła. Sprawia wrażenie, jakby czekała na oklaski, ale żaden z nas nie ma śmiałości. Patrzymy na siebie i nie wiemy, co robić. Któremuś znów wrywa się nerwowy śmiech i Izolda z zażenowaniem pochyla głowę. Włosy zakrywają część jej twarzy.

– Chodu! – rzuca jeden z chłopaków.

Niektórzy zrywają się do ucieczki, a my, którzy nie ruszamy się z miejsca, nie rozumiemy, co ich do tego skłoniło. Izolda podnosi wzrok, zdyszana tańcem, odgarnia włosy z twarzy, odrzuca je do tyłu. Jest nas trzech, ale ona patrzy tylko na mnie. Prosto w moje oczy. I zanim jestem w stanie pojąć, co chce mi powiedzieć tym swoim spojrzeniem, za jej plecami, ze wzniesioną maczetą wyrasta Guzmán.

– Wynocha stąd! Już was tu nie ma! – wrzeszczy. Mimo że przecież nas zna, zasłania sobą Izoldę jak tarczą, wymachuje w powietrzu maczetą i dalej krzyczy: – Wynocha! Żebyś tu więcej nie widział, gówniarze! – Chwyta ją za ramię i odprowadza do zamku.

Odchodząc, Izolda uparcie wpatruje się w moje oczy.

– Wyglądała jak kurewka z dzielnicy Lovaina. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Gdyby ją pan zobaczył, przyznałby mi pan rację. Moim zdaniem wszystkiemu winna była ta wariatka, która miała o nią dbać, a tak naprawdę ją zaniedbywała. Ta kobieta po całych dniach siedziała zamknięta w swoim pokoju albo robiła inne rzeczy, o których jeszcze opowiem. Ale niech pan sobie wyobrazi, co ja przeżyłem, gdy zobaczyłem ją w tej spódniczce, podrygującą w taki sposób na oczach podglądających ją małolatów. Ja, który znałem ją od dziecka i który zawsze widziałem w niej księżniczkę z bajek. To, że tańczyła nie dla mnie, ale dla nich, zabolowało mnie, don Diego, bardzo mnie zabolowało, po tylu latach poświęceń, żeby ją zobaczyć, po tylu latach wypatrywania w deszczu, w zimnie... – Don Diego dygotał na pryczy. Izba tonęła w mroku, oświetlana jedynie latarką, którą Małpa błyskał na wszystkie strony. Od czasu do czasu celował snopem światła w twarz don Diega, a ten bronił się przed nim, zaciskając powieki. – Oni mieli ją na wyciągnięcie ręki. Przesuwałem się po trochu po gałęzi, żeby być bliżej, ale gałąź zaczęła się uginać i dałem sobie spokój. Tak czy inaczej, zdołałem ujrzeć, jak podniosła ramiona i jak jej bluzka podciągnęła się do góry. Ujrzałem jej talię i pępek. Jaką ona miała białą skórę, inżynierze! – Małpa podetknął sobie pod brodę latarkę i patrzył przed siebie w bezruchu. Po chwili wyrecytował zmienionym głosem: – „Kragłe pączki jej piersi, kiełki szkarłatu i gronostaja śnieżnego, bodły satynę gorsetu skąpego, wiążącego ich kształt helleński”. – Znowu przyświecił na don Diega, ciekaw wyrazu jego twarzy, lecz nie drgnął w niej ani jeden mięsień, nie poruszyły się powieki zamkniętych jak zwykle oczu mężczyzny. Małpa zaśmiał się. – Pan, inżynierze, musi mieć jakąś domieszkę czarnej krwi w swoich żyłach, bo Izolda, mimo że biała, na wpół Niemka, poruszała się jak... – Małpa zawahał się. – Jak by to powiedzieć, żeby znowu pana nie urazić...

– Boli mnie szyja – poskarżył się don Diego. Małpa ponownie zaświecił mu w twarz. – Człowieku, przestańże mnie już nękać tym światłem!

– A czyja to wina? Zachował się pan bardzo agresywnie, inżynierze.

– To z braku artiselu. Od dawna go nie zażywam.

– A skąd go wziąć, don Diego? Przy każdej aptece waruje policjant czyhający na każdego, kto spróbuje o to zapytać. Z wielką przyjemnością mogę panu zaoferować

mejoral.

– Lepiej mnie pan zastrzel.

– I na to przyjdzie czas, trochę cierpliwości. – Małpa bawił się latarką, oświetlając co popadnie. Smugą światła kreślił koła wokół rozbitej żarówki, rysował ósemki na suficie. – Zrobiła na mnie ogromne wrażenie, nie ma co – ciągnął. – I muszę wyznać, że tamtego popołudnia zmieniła moje życie.

– Nie chcę o tym więcej rozmawiać.

– Przecież to ja ciągle gadam.

– To niech pan przestanie. Wiem, co się wówczas wydarzyło, nie musi mi pan tego przypominać.

– Nie, don Diego, pana tam nie było. Pan nie zobaczył jej w tym wydaniu. Zanim wrócił pan do zamku, służba zdążyła doprowadzić ją do porządku i na powrót zapakować w strój księżniczki. Ano tak, o tym właśnie chciałem opowiedzieć. – Małpa zgasił latarkę. – Tamtego popołudnia Izolda zmieniła się w moich oczach. Stała się małą kobietką, zwykłą dziewczyną. Co noc myślałem o niej, ubranej w tę czerwoną spódniczkę, pokazującej uda, obracającej się w kółko i kołyszącej pośladkami. Czy może pan sobie wyobrazić, co to znaczy dla kogoś takiego, jak ja? To, że Izolda zaczynała być bliżej mnie niż pana?

– Dość! – przerwał mu don Diego.

Małpa włączył latarkę i zobaczył, że stary ocieka potem i szczeka zębami. Podeszedł do niego i położył mu dłoń na czole. Później wziął ze stołu szklankę z wodą.

– Napije się pan, don Diego. Zdaje się, że spacer nie wyszedł panu na dobre.

Pomógł mu usiąść na wyrku i podetknął szklankę. Don Diego ledwie zwilżył usta.

– Która godzina? – spytał, owinięty w derkę.

– Wpół do siódmej.

– Rano?

– Wieczorem.

Małpa wrócił na krzesło. Światełko latarki zamigotało na ścianie i przygasło.

W niedzielę lokaj Hugo miał wychodne i Dita zeszła na dół, żeby włączyć światło. Najpierw w holu głównym, potem w ogrodzie za zamkiem. W sali kolonialnej było już jasno, gdyż tam, na swoim stanowisku przy telefonie, trwał niezmiennie któryś z agentów służby bezpieczeństwa DAS. Dita przeszła do salonu muzycznego i zapaliła żyrandol. Wystraszyła się, zobaczywszy Marcela Vandernoota, zatopionego w głębokim fotelu. On również był zaskoczony nagłym blaskiem.

– Co pan tu robi? – spytała.

– Nic – odparł i poprawił się w fotelu.

– Myślałam, że wybrał się pan na przejażdżkę. Powinien pan poznać miasto. Od przyjazdu nie ruszył się pan stąd na krok.

– Nie przyjechałem tu, żeby zwiedzać. – Marcel wstał z fotela, oparł ręce na biodrach i wyprężył się do tyłu. – Krótki spacer po ogrodzie w zupełności mi wystarczy.

Dita podeszła do okna.

– Gdyby nie oni, byłby o wiele przyjemniejszy – rzekła w zamyśleniu. – Przedtem uwielbiałam spacerować.

– Wkrótce wróci pani do swoich przyzwyczajzeń.

– To przepowiednia?

Marcel ponownie usiadł w fotelu.

– To tylko kwestia czasu – odparł.

Dita przeszła do drugiego okna, wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła dwóch gawędzących policjantów, opartych o drzewo.

– Jakże obrzydł mi czas, wszystko, co przynosi, bezlitośnie zabiera. Przynosi miłość, wyciska z niej ostatnie soki i zabiera. Zabiera pamięć, wspomnienia, zabiera nam siły. Zsyła na nas ból, a jeśli nawet potrafimy jakoś go znieść, zostaje rana, z którą przychodzi nam żyć, dopóki przekłety dobroczyńca nie postanowi zabrać i nas. I nie to, żeby nas zabierał łagodnie i bezboleśnie, wcale nie. Przygniata nas jakąś chorobą, abyśmy przed odejściem mogli posmakować wieczności. – Dita zamilkła i usiadła w fotelu naprzeciwko Marcela. Belg patrzył na nią w skupieniu. – Czas to piekło – dodała.

Marcel pokręcił głową.

– Mówi pani o czasie „on”, jakby nie był jej częścią. Czas to my, szanowna pani. Jesteśmy utkani z czasu.

Dita westchnęła i potarła z niepokojem ramiona, jakby nagle przeniknął ją chłód.

– Nie rozumiem życia. Wszystkie obecne wydarzenia i to, co się stało z Izoldą, skłaniają mnie do konkluzji, że moje szczęśliwe lata były zaledwie generalną próbą przed czymś, co ostatecznie okazało się klapą. – Spojrzała na Marcela, oczekując jakiegoś komentarza. – Nie wiem, być może oczekiwałam od życia o wiele więcej.

– Tego oczekujemy wszyscy – odrzekł.

Dita opadła plecami na oparcie fotela, odrzuciła głowę do tyłu i głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Diego zostanie zamordowany – wyrzuciła z siebie szybko.

– To ja powinienem był to powiedzieć – zauważył Marcel. – Mój zawód polega również na wróżeniu.

– W takim razie niepotrzebnie pana sprowadzili. Sama mogłam ich uprzedzić o tym, co się stanie.

– Moim zadaniem jest dopomóc w jego odnalezieniu.

– Martwego.

– Wciąż żyje.

– Czego panu jeszcze potrzeba, żeby go odnaleźć?

– Niełatwo jest nawiązać kontakt z jego rzeczami – westchnął Marcel. – Jak gdyby nie chciały mi o nim mówić. W całym domu dominuje inna energia, bardzo dużą siłą emanują przedmioty należące do niej.

– Do Izoldy? – weszła mu w słowo Dita.

Marcel dotknął skroni, wyraźnie znużony.

– Nie ma w tym domu choćby jednego przedmiotu, który by czegoś o niej nie mówił.

Oczy Dity wypełniły się łzami.

– Co mówią? – zapytała.

– Nie mówią. Przekazują jedynie bardzo czystą, emitującą blask energię. To tak jak wówczas, kiedy otwiera pani okno, aby przewietrzyć pokój.

– Czuje ją pan? – Głos Dity łamał się.

– A pani nie?

W ogrodzie, pośród wieczornego skrzypienia cykad, rozległ się dźwięk radiotelefonu któregoś z policjantów. Dita zatrzymała się przed zegarem Meissen stojącym na komodzie i z jednej z szuflad wyjęła mały kluczyk. Otworzyła ostrożnie złożone, okrągłe drzwiczki, okolone czerwonymi, żółtymi i niebieskimi różyczkami z porcelany, i włożyła kluczyk do dziurki, aby nakręcić zegar. Z wielką starannością wykonała kilkanaście obrotów, patrząc na lśniące wskazówki zegara zbliżające się do godziny siódmej.

Sprzedawca zapiął pasek na nadgarstku młodego. Ten podniósł rękę, aby ocenić, jak leży zegarek. Zaraz też spojrzął na Małpę.

– No i co? Jak myślisz? – spytał.

Małpa ujął jego przegub i przyjrzał się z bliska.

– Ładny – stwierdził z uznaniem. – Autentyczny klasyk.

Młody odsunął od siebie rękę i przechylił głowę w jedną, potem w drugą stronę.

– Ach, sam nie wiem – westchnął.

Sprzedawca obserwował ich w milczeniu.

– Czego nie wiesz? – rzucił Małpa. – Jest elegancki, ładny i drogi. Czego jeszcze chcesz?

– Nie wiem – powtórzył młody. – Coś mi się w nim nie podoba.

– Mam inne modele – powiedział sprzedawca.

Małpa podrapał się w głowę.

– Może coś bardziej nowoczesnego? – podpowiedział młody.

Sprzedawca przykucnął i wyciągnął jeszcze jedną szufladę pełną zegarków.

Młody uśmiechnął się.

– Pamiętaj, że czas mnie nagli – napomniał go Małpa.

– Dobra, Małpa, nie truj tyle.

Sprzedawca zerknął na młodego, potem badawczo na Małpę, który zaśmiał się fałszywie i bąknął:

– Ci dzisiejsi smarkacze nie mają szacunku nawet dla własnych wujków.

– Przepraszam, wujku – powiedział młody, przebierając w zegarkach, i dodał: – Te też są raczej jak dla starszego gościa.

– Zaraz będziesz starszym gościem – zauważył Małpa. – Kończysz uniwersytet.

– No, niby tak. – Młody przyłożył sobie zegarek do ręki. – Nie wiem, nie wiem – bił się z myślami.

– Matko Boska... – Małpa nie wytrzymał i odszedł od lady.

Młody podniósł głowę i zaczął spojrzeć o witrynę w głąbi. Wyteżył wzrok i pokazał zegarek wyeksponowany na cokole okrytym aksamitem i oświetlonym smugą światła.

– A tamten w witrynie, co to za marka?

– Seiko – powiedział sprzedawca. – Seiko Astron.

– Mogę go zobaczyć?

– To kwarc.

– Wow! – zawołał młody i oczy mu zalśniły.

Małpa wrócił pod ladę, a sprzedawca wyjął z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzył witrynę.

– Pamiętaj, co ci mówiłem – wycedził Małpa przez zęby. Młody cmoknął ze zniecierpliwieniem. Sprzedawca położył zegarek na ciemnej, welurowej szmatce. Młody z namaszczaniem musnął go palcem. – Ile? – spytał Małpa.

– Tysiąc pesos – odparł sprzedawca.

– Musiałbym chyba na głowę upaść.

– Mogę przymierzyć? – spytał młody i nie czekając na odpowiedź, podsunął mu rękę.

– Jest droższy od innych, bo ma kwarcowy mechanizm – objaśnił sprzedawca, zapinając pasek.

– Jak to?

– To elektronik. W środku jest kryształ kwarcu, jego drgania wytwarzają sygnał służący do odmierzenia czasu. Nie trzeba go nakręcać.

– Zapomnij – powiedział Małpa. – Jeśli tylko to cię gnębi, to bierzemy zwykłego klasyka i mogę ci go nakręcać codziennie.

– Ale to jest kwarc, Małpa.

– Wujku.

– To kwarc, wujku – powtórzył młody błagalnie, składając ręce jak do modlitwy.

Małpa potrząsnął głową i potarł włosy.

– Nie, nie, teraz nie da rady, ściągnij to, migiem.

– Ale wujku!

– Już! – Małpa przeszył go wzrokiem i młody, chcąc nie chcąc, odpiął zegarek i zwrócił go sprzedawcy.

– Niech go pan nie chowa, jeden momencik – powiedział, po czym chwycił Małpę pod ramię i wyprowadził ze sklepu.

Mężczyzna patrzył przez szybę, jak się kłóć. Gestykulowali i przerywali jeden drugiemu, zaglądając sobie z bliska w oczy. Nie spuszczać z nich wzroku, włożył szuflady na swoje miejsce. Potem zobaczył, jak młody klaruje coś Małpie do ucha, kładąc rękę na jego ramieniu. Małpa słuchał w milczeniu, a gdy młody skończył, popatrzyli na siebie przez chwilę. Później młody wrócił do sklepu.

– Niech go pan zapakuje – rzucił, rozpromieniony.

Wyjechali z centrum na pełnym gazie, wciskając się między samochody toczące się w żółwym tempie ciasnymi ulicami. Już sam ryk silnika bultaco torował im drogę. Młody jechał z podwiniętym rękawem koszuli, aby zademonstrować zegarek

całemu światu. W przyływie euforii wyrzucił w górę zaciśniętą pięść i wrzasnął:

– Dziękuję, wujku!

Małpa, w o wiele mniej radosnym nastroju, odkrzyknął:

– Ech, młody, co ja się z tobą mam!

Dojechali do parku Boston i młody zatrzymał się na rogu, żeby kupić fajki.

Po drugiej stronie parku przejeżdżali właśnie Świniak, Beczka i Twiggy, wracający z robótki w dzielnicy Buenos Aires, gdzie wypatroszyli pewien dom. Twiggy liczyła dolary, gdy Beczka trąciła ją łokciem.

– Co jest? – obruszyła się.

– Tamten gościu to przypadkiem nie Małpa? – spytała Beczka.

– Który? Gdzie?

– Tam.

Pokazała na Małpę siedzącego na motorze. Przy nim stał młody, który przypalał sobie papierosa.

– A ten to kto? – spytała Twiggy.

– Małpa.

– Nie, kretynko, ten drugi.

– Stajemy czy grzejemy do dziupli? – spytał Świniak.

– Podjedź do niego na sekundę – powiedziała Twiggy.

– Odlotowa maszyna – skostatowała Beczka.

Świniak skręcił w tamtą stronę, ale Małpa i młody już się zbierali.

– Daj po klaksonie! – krzyknęła Twiggy do Świniaka.

Sygnał przepadł w decybelach wytwarzanych przez motocykl, który razem z kierowcą i pasażerem zdążył się skryć pośród chmury aut.

– Kto to był? – uparcie zastanawiała się Twiggy.

– Słodziutka ptaszyna – zauważyła Beczka.

– A co ty możesz wiedzieć o facetach? – zaperzyła się stropiona Twiggy.

Beczka znowu szturchnęła ją łokciem. Świniak po raz kolejny zapytał, czy jechać do dziupli.

– Do dziupli – rzuciła jak automat Twiggy, patrząc oszołomiona w dół ulicy, którą ulotnił się motocykl.

Małpa i młody pomknęli aleją La Playa. Gdy przejeżdżali obok budowy wieżowca Coltejer, dokładnie na rogu, ujrzeli zbiegowisko ludzi i błyski kogutów wozów policyjnych.

– Ostrożnie – powiedział Małpa.

– Skręcić? – spytał młody.

– Nie, zatrzymaj się.

Stanęli kwartał wcześniej i Małpa zagadnął przypadkowego przechodnia.

– To napad – odpowiedział zwięźle mężczyzna.

– Gdzie?

– Tam, w zakładzie fotograficznym. – Pokazał palcem i poszedł dalej.

– Zabili kogoś?! – zawołał za nim Małpa.

– Zdaje się, że tak! – odkrzyknął mężczyzna, już z oddali.

Małpa zamyślił się na chwilę.

– Pluskwa – szepnął w końcu.

– Co? – Młody nie dosłyszał.

Jechali pomału dalej.

– Jeszcze wolniej – powiedział Małpa, gdy przejeżdżali obok grupy ludzi próbujących zajrzeć do środka lokalu. Światła radiowozów i złe przecucie zmroziły mu krew w żyłach. – Gazu! – krzyknął do młodego. – Zawieź mnie do Santa Elena, muszę coś sprawdzić.

Stół konferencyjny wykonany na zamówienie największej fabryki tekstylnej w Kolumbii był jednym z największych tego typu stołów w Medellín. Mogło przy nim wygodnie pracować dwadzieścia osób, dziewięć z każdej strony i po jednej u obu szczytów. Do jego budowy użyto litej dębiny, blat lśnił niczym lustro, a uzupełniały go wygodne i obszerne krzesła, wykończone naturalną skórą. Ludzie niezmiennie zadawali sobie pytanie, w jaki sposób wtaszczono go na górę, do sali konferencyjnej, i ile trzeba było do tego osób. Według jednej z wersji stolarze dokończyli dzieła już w środku.

Tego ranka, wygodnie rozparci w krzesłach i delektujący się świeżo zaparzoną kawą, bracia i kuzyni don Diega rozprawiali o jego niemieckiej żonie. Jak dotąd nie mieli okazji jej poznać, chociaż para już od czterech miesięcy mieszkała w hacjendzie La Carola, na przedmieściach Medellín. Don Diego był wzorem punktualności, ale dzisiaj, przed zebraniem zarządu, chciał jeszcze skontrolować postęp prac przy budowie zamku, co stało się przyczyną zwłoki. Wykorzystali to skwapliwie krewni, którzy nie mogli się powstrzymać od pełnych podejrzeń komentarzy dotyczących nieznannej cudzoziemki. Rudesindo starał się usprawiedliwić enigmatyczną Ditę:

- Na pewno się aklimatyzuje. Niełatwo jest się przenieść z Niemiec w tropiki.
- Przecież tamtejsze upały są gorsze od naszych – zauważył jeden z kuzynów.
- Może nie najlepiej znosi wysokość?
- Też mi wysokość.
- Byłem u niego w domu dwa razy i ponoć nie wychodzi, bo jest niedysponowana.
- A kiedy indziej mówi, że czuje się dobrze.
- Może jesteśmy dla niej zbyt indiańscy.
- Też coś. Jeśli wyszła za Diega, mogła się chyba domyślić, z jakiej rodziny pochodzi, nieprawdaż?
- A może wcale nie jest taką arystokratką, jak głosi fama?
- Jak to?

Mężczyzna wykrzywił usta, jakby chciał zasiać wątpliwość. I zaraz dodał:

- Panowie, Diego to wspomniał facet, ale dla nikogo nie jest tajemnicą, że lubi alkohol i kobiety.

– Chcesz powiedzieć, że ta Niemka jest...?

Przedmówca pokiwał głową i uśmiechnął się szelmowsko.

– Mój drogi – zaproponował Rudesindo – Diego nie wybrałby kobiety tego pokroju na swoją żonę.

– A tym bardziej na matkę swoich dzieci – dodał jeden z kuzynów.

– Jak to? – spytał inny. – Niemka jest w ciąży?

– Nie, ale prędyj czy później będzie.

– Mnie osobiście bardziej niż sprawa tej kobiety martwi budowa zamku – przyznał jeden z braci.

– Mój drogi, to już historia całkiem innego kalibru.

Gorącą dyskusję przerwał głos don Diega:

– Dzień dobry, panowie. – Krewni poderwali się na krzesłach. Jeden nawet zakrztusił się kawą. – Wybaczcie moje spóźnienie. Zatrzymały mnie komplikacje na budowie.

– Usiądź, Diego. Poprosiłeś już o coś do picia?

– Tak, dziękuję – odparł don Diego, usiadł na swoim miejscu i spytał: – O czym rozmawiacie?

– O tym, o czym mówią wszyscy – powiedział Rudesindo. – O ustąpieniu Rojasa Pinilli.

– O jakim ustąpieniu? Przecież to farsa – odezwał się ktoś. – Za sterami zostawił swoich wojskowych zauszników.

– Tylko na okres przejściowy – sprostował inny.

– Doprawdy? Można ich będzie stamtąd wykurzyć wyłącznie za pomocą prochu.

– Nie sądzę. Dla Frontu Narodowego nie ma już alternatywy.

Sekretarka przyniosła kawę don Diegowi i napełniła filiżanki pozostałym.

– Dobrze – powiedział Rudesindo i otworzył teczkę. – Zaczynamy?

Don Diego przechrzczył swoją posiadłość La Carola na Ditaires, na cześć Dity. Był to wielki, stary dom z przestronnymi pokojami, otoczony ogrodami, sadami i pastwiskami. Na jego tyłach rósł gaj czapetek jambos, a dalej rozciągały się uprawy warzyw, kukurydzy, manioku i bananów. Dom wymagał przebudowy i modernizacji, ale Dita z wielkim zapałem stawiała czoło codziennym wyzwaniom. Ucieszyła się, że może wrócić do wiejskiego życia.

– Nie myśl, że Medellín ma do zaoferowania wiele więcej. Tutaj nic się nie dzieje – podkreślał stale don Diego, który sam niezbyt często opuszczał posiadłość.

Dita rzuciła się zatem w wir pracy w gospodarstwie, każdej krowie nadała imię, sama wybierała owoce na soki i jajka na śniadanie. A przy okazji uczyła się hiszpańskiego, rozmawiając ze służącymi i z robotnikami zatrudnionymi przy przebudowie domu. Nauczyła się też przy nich użyźniać krowim nawozem glebę

pod krzewy, mieć kukurydzę na arepy i niestrudzenie roztrzepywać mleko na *arequipe*¹¹.

Połowa kufrów z zamkową wyprawą przywiezionych z Europy pozostała nietknięta. Wypakowano jedynie niektóre sprzęty niedostępne w Medellín, których, swoją drogą, wcale nie było mało. Don Diego miał stylowe meble, dzieła sztuki i bibeloty jeszcze z czasów kawalerskich. Wiejska rezydencja Ditaires szybko przeobraziła się w elegancki dom, chociaż niewielu uzyskało przywilej przestąpienia jego progów.

– Od razu widać tu kobiecą rękę – powiedział kiedyś jeden z krewnych don Diega.

Ale właścicielka tej ręki nigdy się nie pojawiała – albo źle się czuła, albo była daleko na pastwisku, asystując przy porodzie cielaka.

Wieczorami czytali, słuchali muzyki lub wiadomości radiowych z Europy. Niekiedy wybierali się na przejażdżkę samochodem.

– Przejedźmy się gdzieś – mówił don Diego, bardziej powodowany poczuciem winy niż wewnętrzną potrzebą.

Dita poznawała miasto zza szyb samochodu.

– Tam jest budynek rządu Antioqui, to katedra metropolitalna, to teatr Junín, tutaj magazyn tkanin Juana B. Restrepy, to szpital San Vicente de Paúl, założony przez mojego ojca, a ten napis, „Coltejer”, tam wysoko, to pomysł moich braci, którzy się uparli, żeby wyeksponować obecność firmy. Moim zdaniem oszpecili tylko to wzgórze.

W niektóre popołudnia Dita wybierała się do miasta jedynie z Gerardem. Wówczas wychodziła z auta i zaglądała do sklepów znajdujących się w pasażach handlowych. Kupowała na targu wyplatane kosze, spacerowała po Junín i wstępowała do Astora na sok z mandarynek. Don Diego patrzył na te jej samotne eskapady nieprzychylnym okiem i ostrzegał przed złodziejami kieszonkowymi grasującymi w centrum.

– Nie widziałam ani jednego – dziwiła się Dita.

– Są niebezpieczni, właśnie dlatego, że ich nie widać. Wyrastają jak spod ziemi i tak samo znikają.

Don Diego zmełł jakieś słowo w ustach, patrząc w sufit. Dita już wcześniej wyczuła, że jest w złym humorze.

– Co ci jest? – spytała.

Nie odpowiedział od razu, bijąc się z myślami.

– To przez zamek.

– Aha.

– W rzeczy samej, nie o zamek tu nawet chodzi. Arcuri nie daje znaku życia. Nie odbiera telefonów, nie odpowiada na telegramy. Od trzech tygodni nie wiem, co się z nim dzieje. A ci młodzi architekci, Rodríguezowie, mają wątpliwości i chcą

zasięgnąć jego opinii.

– Cóż, odezwie się prędzej czy później – pocieszała go Dita.

– A co w międzyczasie?

– Przypuszczam, że można robić co innego.

Don Diego zmarszczył czoło. Podeszedł do regału i zabrał się do wertowania płyt.

– Chyba będzie mi potrzebny lekarz – powiedziała cicho Dita.

Odwrócił się z jakąś płytą w rękach i zaniepokojony zapytał:

– Źle się czujesz?

– Jeszcze nie – odparła.

Patrzył na nią z zakłopotaniem, nic nie rozumiejąc. Dita położyła dłonie na swoim brzuchu i wówczas płyta wysunęła się z koperty.

– Jesteś pewna?

Z uśmiechem skinęła głową. Płyta, zatoczywszy kilka kółek, upadła pod nogi Dity. Na okrągłej etykiecie ujrzała logo wytwórni Deutsche Grammophon i tytuł utworu: *Tristan i Izolda*, akt pierwszy.

[11](#) Kajmak (przyp. tłum.).

– Gadaj, Pała, co się stało. Wszystko, co wiesz. – Małpa nie golił się od kilku dni, oczy miał czerwone z niewyspania, włosy potargane od ciągłego czochrania się, a język sztywny jak kołek od marihuany i wódki. Zabrał do chaty butelkę alkoholu i po raz pierwszy pił razem z chłopakami. – Na początek chciałbym wiedzieć, dlaczego Pluskwa zmienił plany.

– Bo to kretyn – wyskoczył Rudy.

Małpa uniósł rękę, aby go uciszyć.

– Dlaczego strzeliło mu do łba działać według własnego widzimisie, skoro ustaliliśmy zupełnie co innego? – spytał.

Pała miał na sobie policyjne spodnie i przepoconą, znoszoną koszulkę z krótkim rękawem. Pokręcił głową.

– Nic nie wiem, Małpa, nie mam zielonego pojęcia – odparł.

Małpa wbił się plecami w oparcie zdezelowanego fotela i schował ręce pod ruanę.

– No, nawijaj.

– Mogę? – Pała wskazał na kieliszek z wódką. Małpa skinął przyzwalająco.

– Wy też – powiedział do pozostałych.

Dopiero gdy Pała odstawił na stół pusty kieliszek, zdał Małpie relację, według której Pluskwa nie poszedł szukać, jak uzgodnili, pierwszego lepszego ulicznego fotografa, który miał wywołać film.

– Na pewno było już późno. Pewnie nie spotkał nikogo i dlatego wpakował się do tego zakładu fotograficznego. – Pała powtórzył Małpie to, co zeznał agent zakładu, że kiedy Pluskwa wszedł, w środku był tylko jeden klient, dochodziła piąta i już mieli zamykać. Pluskwa zaczekał, aż ów klient wyjdzie, wtedy wyciągnął spluwę i wycelował w ajenta. Zmusił go do opuszczenia kraty i wepchnął na zaplecze, gdzie pracowały jeszcze dwie dziewczyny. – Jak zobaczyły, co się dzieje, uderzyły w lament. Agent, z rękami w górze, trząsł się jak galareta i zaczął błagać Pluskwę: „Mam żonę, czworo małych dzieci, najmniejsze ma trzy lata, trójka pozostałych chodzi już do szkoły, mieszkam w wynajętym mieszkaniu, jeśli coś mi się stanie, znajdą się na ulicy”... Pluskwa lutnął go w dziób z otwartej i gościu się zamknął, ale wtedy te dziewczyny znów zaczęły wrzeszczeć.

Małpa wyciągnął rękę spod ruany i potarł sobie twarz. Pała przerwał.

– No, jedź, na co czekasz? – Małpa spojrzał na niego, zdziwiony.

– No to wtedy Pluskwa, nieźle już nabuzowany, zagonił całą trójkę w róg zaplecza i powiedział, pokazując rolkę, że muszą mu wywołać ten negatyw. Agent i dziewczyny patrzyli na siebie, zbici z pantałyku. Pluskwa ostrzegł ich: „Muszę to mieć na już, no, ruszyć dupy, bo jestem bardzo wkurwiony i mogę zrobić kuku!”, wrzeszczał.

Brewka zawył ze swojej celi i Małpa wysłał Chwasta, żeby przywołał go do porządku. Dał znak Pale, żeby zaczekał. Po chwili dało się słyszeć głuche uderzenie, zdławiony jęk i zaraz potem zapadła cisza. Małpa pokazał Pale, że może kontynuować.

– Ponoć agent próbował wytłumaczyć, że wywołanie trochę potrwa, bo właśnie załadowali do maszyny komplet negatywów, a że jest całkowicie automatyczna, muszą poczekać, aż skończy się cały cykl. Wtedy Pluskwa dostał białej gorączki i spytał, co za maszyna, gdzie ta maszyna i że ma gdzieś jakąś tam maszynę.

– Wiesz, czy coś pił? – spytał go Małpa.

Pała zaprzeczył. Pozostali również pokręcili głowami.

– Może i coś chlapanął dla odwagi przed wejściem do środka, kto go tam wie – dodał po chwili Pała.

– Zasuwasz dalej.

– Pluskwa wpadł w szal, jak usłyszał o tej maszynie. Zaczął pytać, jaka maszyna, gdzie ta maszyna...

– To już było – przerwał mu Małpa.

– Faktycznie – zreflektował się Pała i spojrzał w sufit, szukając zgubionego wątku. – Aha, już mam. Na to agent pokazał Pluskwie ogromną maszynę pełną światełek i guzików, a ten, jak ją zobaczył, to zdębiał. I zapytał: „Taka landara, żeby zrobić takie małe zdjęcie?”. Agent uspokoił się nieco i wyjaśnił, że maszyna wywołuje kilkanaście negatywów naraz. „Myślałem, że to się robi ręcznie”, powiedział Pluskwa, a agent na to: „Proszę pana, to tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy rok”. Wtedy Pluskwa rozeźlił i powiedział: „To wyjmij wszystko ze środka i wywołasz mi tę kliszę w try miga”. A że był roztrzęsiony, nie zauważył, że za jego plecami zjawiała się jeszcze jedna pracownica, która szybko skumała znaki, jakie dawały jej koleżanki, żeby uciekała i szukała pomocy. Ulotniła się tak, że Pluskwa się nie kapnął. I zadzwoniła po pomoc. Agent próbował tłumaczyć Pluskwie, że choćby nie wiadomo jak się śpieszyć, maszyna nie wywoła negatywów wcześniej niż za dwie godziny. Nie wiem, czy ściemniał, czy mówił prawdę, ale ewidentnie grał na zwłokę, licząc na to, że coś się wydarzy i że z boską pomocą tamta dziewczyna dryndnie na policję.

– I dryndnęła – dopowiedział Małpa, oddychając ciężko przez nos.

– Byli bardzo blisko. Zjawili się w pięć minut, podnieśli kratę i doszło do

strzelaniny.

– Bronił się?

– Pierwszy do nich wygarnął. Agent zakładu zeznał, że gdy usłyszeli hałas podnoszonej kraty, Pluskwa zbladł jak ściana. Spytał, kto to może być. Dziewczyny zaczęły płakać, a agent powiedział, że to pewnie jakiś klient... – Nagle Małpa podniósł rękę, dając mu znak, żeby się wstrzymał. – Co jest? – spytał Pała.

– Jakiś motor tu jedzie – powiedział Małpa.

Wszyscy nastawili uszu.

– To lambretta Twiggy – odetchnął z ulgą Rudy.

– A ta tu znowu czego? – zachnął się Małpa.

– Ciebie szuka – rzekł Rudy.

– Albo dowiedziała się o Pluskwie – powiedział Carlitos.

– Polej – zażądał Małpa i Carlitos napełnił kieliszek. – Wy też się napijcie.

– Opowiadać dalej? – spytał Pała.

– Nie, zaczekaj. Zaraz wejdzie piękna i znowu nam przerwie.

Twiggy miała na sobie niebotycznie krótką, kończącą się tuż pod pośladkami trapezową sukienkę i czarną, skórzaną kurtkę, a na nogach długie kozaki do kolan i wełniane pończochy do połowy uda.

– Czołem – rzuciła. Nie wyglądała na zaskoczoną, że piją razem wódkę. Zatrzymała się przed Małpą i z surowym wyrazem twarzy oznajmiła: – Muszę z tobą pogadać.

– Już wiesz? – spytał.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

– No to siadaj, Pała właśnie zdaje nam relację.

– Jaką relację? – zapytała, nie rozumiejąc.

– No, o Pluskwie.

Zmieszana Twiggy potrząsnęła głową.

– Mendi zastrzelili Pluskwę – wyjaśnił Chwast.

– Co?

– I nie myśl, że będziemy ci teraz opowiadać wszystko od początku – ostrzegł Rudy.

– No, jazda, Pała, kończ – niecierpliwił się Małpa.

Twiggy osunęła się na krzesło i położyła torbę na udach. Rudy łypnął na jej nogi.

– No, słyszałaś, co powiedział Chwast – podjął wątek Pała. – Pluskwa zginął, bo otworzył ogień do przedstawicieli prawa.

– Pała, szanuj się, nie tym tonem, dobra? – przerwał mu Małpa.

Pała chrząknął i kontynuował:

– Pluskwa wyjrzał, myśląc, że to może rzeczywiście jakiś klient, ale gdy zobaczył funkcjonariuszy, cofnął się, złapał jedną z dziewczyn i chowając się za nią, wypadł,

pociągając za cyngiel. Myślał, że policja nie będzie chciała narażać życia kobiety, ale miał pecha, bo na jego drodze stanął prawdziwy skurwiel, który głuchy na błagania dziewczyny, nie patrząc, że Pluskwa skrywa się za nią, wycelował i puk, łupnął mu kulkę w samo czoło.

Wszyscy w milczeniu pospuszczali głowy. Małpa znów zakrył twarz dłońmi i przetarł oczy.

– Polej jeszcze, Carlitos.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Twiggy.

– Czego nie rozumiesz? Rozwalili Pluskwę – wkurzył się Małpa. – Co tu trudnego do zrozumienia?

– Tak, wiem, ale po prostu nie jarzę – rzuciła Twiggy i poprosiła Carlitosa, żeby jej też nalał.

– Wiadomo, kto do niego strzelił? – spytał Małpa.

– Taki jeden nadęty buc, kapral...

– Jak się nazywa? – Małpa czekał na odpowiedź. Pała unikał jego wzroku. – Jak się nazywa? – powtórzył nieustępliwie Małpa.

– Kapral Tivaquichá. – Małpa uderzył kilka razy pełnym kieliszkiem w stół, nie spuszczając wzroku z Pały. – Alcides Tivaquichá – poprawił się Pała.

– Dobra – mruknął Małpa i wychylił resztkę z kieliszka. – Kiedy to wszystko się skończy, przypomnij mi, że mam do wyrównania rachunki z panem Alcidesem Tivaquichá.

W tym momencie rozległo się walenie do drzwi w głębi korytarza.

– Tego tylko brakowało – syknął Chwast.

– Chcę do ubikacji! – zawołał don Diego ze swojej klitki.

– Idź – polecił Małpa i ostrzegł Chwasta: – Pamiętaj, język za zębami.

Zamilkli, zmęczeni i zamroczeni alkoholem, wpatrując się tępo przed siebie. W końcu Małpa zapytał:

– I co teraz będzie z tymi kurewskimi zdjęciami?

– Zobaczymy je w gazetach – powiedział Rudy. – O to ci chyba chodziło, no nie?

Carlitos poszedł do kuchni, Pała nalał sobie wódki, nie czekając na pozwolenie Małpy, Rudy krążył po izbie, zaś z głębi, z kibla, słychać było nucenie don Diega: „Ten błękitny ptaszek to miłość jest ma...”.

Twiggy usiadła obok Małpy i zagadnęła półgłosem:

– Musimy pogadać.

– O czym? – zapytał, zirytowany. – Co się stało?

Twiggy przysunęła się bliżej.

– Kto to jest ten małolat?

– Jaki małolat?

– Ten, z którym jechałeś na motorze.

– Kto? Na jakim motorze?

– Małpa, widziałam was.

Małpa schował ręce pod ruanę i wybąkał:

– A tak, motor, całkiem zapomniałem.

– Kto to jest, Małpa?

– Sąsiad. Dodge mi się rozkraczył i ten młody podrzucił mnie do domu.

Twiggy widziała, że nie potrafi ukryć zmieszania.

– Małpa, spójrz mi w oczy.

– O co ci chodzi?

– Nikt w twojej dzielnicy nie ma takiego motoru. – Przymrużyła powieki i wysunęła podbródek. – Małpa, pamiętaj, kłamstwo jest jak blizna, zostaje na całe życie.

– O czym ty mówisz? Jakie kłamstwo? – Małpa zerwał się z krzesła. Zawołał Carlitosa i Chwasta i oznajmił: – Ubyło nam dwóch ludzi, odtąd będziemy mieć więcej roboty i musimy się pilnować jeszcze bardziej.

– Małpa, zastanów się – powiedział Rudy. – To wszystko za długo się ciągnie i zaczyna śmierdzieć.

Małpa był już zawiany. Odwrócił się do niego plecami i popatrzył przeciągle na Twiggy.

– Chodź, piękna. Bierz flaszkę i chodźmy na boczek. – Ścisnął dłoń swoją jądra i dodał: – Skoro się tu pofatygowałaś taki kawał drogi, nie mogę pozwolić, żebyś odjechała z kwitkiem.

Chociaż byliśmy jedynymi świadkami sławetnego show z czerwoną minispódniczką i Izoldą w roli głównej, dowiedzieli się o nim wszyscy. Pewnie któryś wypaplał swojej siostrze, ta chlapnęła mamie, mama sąsiadce i tak rozniosła się cała historia, którą ja ze wszystkich sił zazdrośnie pragnąłem zachować tylko dla siebie. Pocieszało mnie, że nikt nie wspomniał o tych kilku sekundach, które dla mnie były całą wiecznością, kiedy Izolda wpatrywała się tylko w moje oczy. Nie pisałem o tym nikomu, chociaż z drugiej strony chciałem, żeby cały świat wiedział. Moja bojaźliwość nie pozwala mi chełpić się jednym spojrzeniem.

Wróciły też pogłoski, że szaleństwo Izoldy należy przypisać odosobnieniu, w jakim żyła, i że krnąbrność przekazała jej w genach niemiecka matka, i że stała się hipiską, i że nikogo już nie dziwiły osobliwe fryzury, którymi od czasu do czasu częstowała mieszkańców zamku. Ja zawsze broniłem jej, jak tylko mogłem, starając się przy tym nie zdradzić, że tamto spojrzenie pozostało we mnie na całe życie.

Każdego popołudnia podchodzę pod ogrodzenie w nadziei, że zjawi się znowu. Czekam na nią do szóstej, licząc, że wyjdzie do lasu. Ale nie ujrzałem jej już nigdy, choćby wyglądającej przez okno. Czasem słyszę jakieś gwizdy i wtedy ogarnia mnie wzruszenie, bo myślę, że to znak od niej, ale gwizd oddala się, niknie między drzewami i dochodzi z coraz to innego miejsca.

W zamku również sporo się wydarzyło. Gdy don Diego dowiedział się o show w wykonaniu córki, wściekł się tak, że nikt go jeszcze takim nie widział. Swój gniew wyładował głównie na Heddzie, która miała nie odstępować dziewczynki na krok. Guwernantka oskarżyła Izoldę o nieposłuszeństwo. „Oka z niej spuścić nie można, don Diego, zaraz gdzieś ucieka, naturalnie szukam jej, ale wie pan przecież, że nie mogę wychodzić na to słońce”, tłumaczyła, skąpana we łzach. „To jeszcze dziecko”, broniła Izoldy Dita. „Dziewczynki nie eksponują się w taki sposób”, trwał przy swoim don Diego, którego najbardziej zabolalo to, że córka odegrała takie widowisko przed obcymi ludźmi. I podniesionym, niespotykanym u niego szorstkim głosem zapowiedział wszystkim, że Izolda nie wyjdzie z zamku dopóty, dopóki on nie zadecyduje inaczej.

Izolda słuchała tego wszystkiego w milczeniu, ze spuszczoną głową. Podnosiła

wzrok jedynie, gdy ojciec strofował ją: „Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię”, ale zaraz na powrót wbijała spojrzenie w podłogę.

– Myślę – mówi teraz don Diego do Dity – że powinniśmy wysłać Izoldę za granicę.

– Nie przesadzasz?

– To nie kara za to, co zrobiła. Chodzi mi o szerszy kontekst. W tym kraju młodych ludzi ogarnęło jakieś szaleństwo, w ogóle ich nie rozumiem, spójrz, jak wyglądają, jak się ubierają. I te ich włosy! Słyszałaś o tym festiwalu muzyki rockowej?

– Taka młodzież jest wszędzie – mówi Dita. – Przypomnij sobie, co stało się we Francji.

– Tak, ale mogłaby pojechać na wieś, do twojej rodziny. Albo do Stanów Zjednoczonych, nauczyć się porządnie angielskiego.

Dita spaceruje nerwowo po salonie. Mechanicznie przestawia rzeczy na stole, żeby zająć czymś ręce.

– To nasza jedyna córka – mówi. – Nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy bez niej żyć.

– Możemy ją odwiedzać – tłumaczy don Diego. – Wyjeżdżać do niej na dłuższe pobyty.

Dita przesuwa na prawo zdjęcie w ramce, ale zaraz cofa je na poprzednie miejsce. Wzdycha głęboko. Później patrzy na don Diega i mówi:

– Będzie, jak zechcesz.

Festiwal, o którym mówił don Diego, jest na ustach wszystkich. Ma się odbyć na południu Medellín, w Ancón. Gazety trąbią o „kolumbijskim Woodstock” i o trzech dniach miłości i pokoju z udziałem grup Los Monsters, Los Flippers, La Banda del Marciano, Carne Dura i jeszcze trzech innych, czczonych przez miłośników rocka.

Wiele osób, wśród nich arcybiskup Botero, twierdzi, że festiwal w Ancón to najgorsza rzecz, jaka mogła przytrafić się Medellín. Inni, jak moja rodzina i ja, chcą poznać prawdę z pierwszej ręki i zobaczyć na miejscu, jak się sprawy mają.

– Tam ponoć wszyscy chodzą na golasa – mówi mama.

– Golasy są nawet w muzeach – twierdzi tata.

– Ale ponoć ci tutaj robią te rzeczy.

– Jakie rzeczy?

Mama otwiera szeroko oczy, dając tacie znaki ostrzegawcze.

– Bzykają się – odpowiada mój brat, rodzice wykrzykują unisono jego imię. On zaś, zadowolony z siebie, rozwała się wygodnie na przednim siedzeniu auta.

Kolumna ciekawskich jest długa, a ruch ślamazarny. Z oddali słychać huk muzyki rockowej i z wolna zaczynają ukazywać się gromadki ludzi. Są rozproszeni na

zboczach sąsiadujących ze sobą wzgórz jak stadka kóz. Inni zalegają na dole, nad rzeką, jeszcze inni skaczą przed drewnianą sceną, na której występują muzycy. Wszystko zamieniło się w jedno wielkie grzęzawisko, bo przez ostatnie dni lało jak z cebra. Na zdjęciach z Woodstock widzieliśmy, że tam też wszyscy byli upačkani w błocie.

Są namioty, ogniska, dużo pikapów, ludzie, którzy próbują przeprowić się przez rzekę, żeby wejść na teren festiwalu za friko, ludzie, którzy śpią, tańczą, stoją, siedzą. W pewnej chwili wydaje mi się, że widzę nagą kobietę. Mój brat patrzy na mnie podejrzliwie, ale ona odwraca się i z żalem konstatuje, że ma na sobie bikini. Brat wystawia głowę przez okno i głęboko wciąga powietrze przez nos.

– Nic nie czuć – mówi.

– Ponoć teraz palą grzybki – odzywa się mama.

– Grzybków się nie pali, mamó.

– Co chciałeś poczuć? – pyta ojciec, ale brat udaje, że nie słyszy.

– Założę się, że ta dziewczyna nie ma pod spodem stanika – mówi mama.

– Ja wysiadam – oznajmia brat.

– Jasne – odpowiada ojciec i proponuje, żebyśmy pojechali prosto do La Estrelli na wafle z *arequipe*.

– Burmistrz zapłaci stołkiem za nastęczenie tego festiwalu – mówi don Diego.

– Mój drogi, nie taki diabeł straszny, jak go malują – odpowiada Rudesindo. – Zachowują się całkiem spokojnie.

– A jakże, całkiem spokojnie palą marihuanę i śpią z kim popadnie. Ładny przykład, nie ma co.

W końcu don Diego traci cierpliwość i czyni drastyczne kroki z powodu czegoś, co każdej nocy wymyka się tylnym wyjściem z jego własnego domu.

Dita lubi zostawiać otwarte okno w swoim pokoju, zwłaszcza kiedy dzień jest upalny. Jest już późno, podchodzi do okna, żeby je zamknąć, i widzi jakąś białą plamę przesuwającą się ogrodem i niksącą po chwili pośród listowia. Zdaje się jej, że słyszy głos Heddy. Schodzi do jej pokoju, aby upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Puka kilkakrotnie, woła ją po imieniu, lecz Hedda nie odpowiada. Dita otwiera drzwi. W pokoju nie ma nikogo. W pierwszej chwili chce zawołać Hugona, ale patrzy na zegarek i stwierdza, że ten pewnie już śpi. Idzie do kuchni i widzi, że drzwi dla służby są uchylone. Wychodzi do ogrodu i znów nawołuje Heddę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, idzie dalej.

– Hedda, nic się pani nie stało?! – woła, licząc na to, że guwernantka ją usłyszy. Podąża tropem plamy dostrzeżonej z okna pokoju i dociera do domku ogrodnika. – Guzmán! – wzywa go, żeby pomógł jej szukać Heddy.

Ogrodnik nastawił muzykę w radiu i nie słyszy jej wołania. Dita podchodzi

jeszcze bliżej i ku swemu zdumieniu rozpoznaje dochodzący ze środka głos Heddy. Intuicja każe jej popchnąć drzwi. Zastaje ich w łóżku – nagich i postępujących.

Guzmána zwolniono nazajutrz, nie pozwolono mu złożyć żadnych wyjaśnień. Tydzień później Hedda udaje się w drogę powrotną do Niemiec, prawie z tym samym dobytkiem, z którym przyjechała tu przed dziesięciu laty. Don Diego podejmuje decyzję dojrzewającą w nim od dłuższego czasu.

Hugo i Gerardo znoszą walizki i wkładają je do limuzyny. Pomaga im nowy ogrodnik. Czekam, aż wyjdą, ale nikt się nie pojawia. Po dłuższej chwili w portyku ukazuje się Dita. Woła Izoldę. Gerardo wraz ogrodnikiem idą jej szukać do ogrodu. Hugo nawołuje ją z drugiej strony. Nie rozumiem, kiedy mogła się wymknąć, bo sterczę tu od dłuższego czasu i przecież musiałbym ją widzieć. Dita wychodzi znowu i prosi Gerarda, aby poszedł do lasu, może tam ją znajdzie. Biegnę co sił w nogach, do góry, wzdłuż płotu, aby dotrzeć tam pierwszy.

Wspinam się do miejsca, w którym kończy się ogrodzenie, i natrafiam na gęste chaszczki broniące dostępu do lasu. Udaje mi się jakoś przez nie przedrzeć, ale nie wiem, w którą stronę iść. Szukam środka czy czegoś, co w moim przekonaniu powinno być centrum lasu. Posuwam się naprzód i widzę jakąś ścieżkę. Nagle, niczym duch, zjawia się ona. Zbiega z góry, lawirując między drzewami. Ujrawszy mnie, zatrzymuje się z przestraszeniem. Prawdę mówiąc, oboje jesteśmy wystraszeni. Ja może nawet bardziej, bowiem w pierwszej chwili jej nie poznaję. Ubrana jest w elegancką sukienkę i lakierowane pantofle, które zdążyła już utyłać w ziemi. Jej oczy patrzą na mnie tak samo, jak tamtego dnia, na zakończenie jej tańca. Jest w nich ten sam smutek. Ale teraz jej włosy są krótkie, jak moje, i dziwnie rozwichrzone, jakby je ciachnięto w pośpiechu nożyczkami. Z ramion Izoldy zwieszają się w nieładzie długie odcięte pukle, które zdmuchuje wiatr. Obserwuje mnie, zdyszana, łapiąc szybko powietrze.

– Cześć – mówię, żeby w ogóle coś z siebie wydusić.

Bez wahania podchodzi do mnie, chwyta moją twarz obiema dłońmi i odciska na moich ustach pośpieszny pocałunek. Potem biegnie w dół lasu ku nawołującym ją głosom.

Mam wrażenie, że w ślad za nią, kryjąc się po krzakach, kicają jakieś króliki.

– Widziałem ją wiele razy, jak wykradała się drzwiami dla służby. Wychodziła późną nocą, kiedy pańska małżonka była już w swoim pokoju, a pan słuchał muzyki w bibliotece. Najpierw pomyślałem, że to Izolda, ale szła tak jakoś niezgrabnie, potykała się, a rozpuszczone, zmierzwione włosy zakrywały jej twarz. Pomyślałem też, że to nie mogła być pańska córka, bo nie poszła do lasu, tylko prosto pod domek ogrodnika. Krążyła w pobliżu przez jakiś czas, aż w końcu wchodziła do środka i zabawiała tam dłuższą chwilę. – Małpa wyciągnął spod ruany opróżnioną do połowy flaszkę i pociągnął mały łyk. Skrzywił się z niesmakiem i odstawił butelkę na podłogę, obok świeczki. – Za drugim razem – kontynuował – nie mogłem pohamować ciekawości i poszedłem wzdłuż ogrodzenia, żeby znaleźć się jak najbliżej domku. Gdyby tam poszła tylko raz, weszła na krótko i zaraz wyszła... ale kolejne odwiedziny o tak późnej porze wydały mi się bardzo podejrzanym. Widzi pan, inżynierze, jaki ja jestem prostoduszny, w swojej naiwności myślałem, że ta poprzednia wizyta... nie wiem, to nie było to samo, co przyszło mi do głowy za drugim razem. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby zamknąć okno, i zobaczyłem jak na dłoni, jak ogrodnik chędoży nauczycielkę pańskiej córki. – Don Diego zakaszłał i spróbował usiąść na pryczy. Na dworze padał deszcz. Małpa zaczekał, aż się wyprostuje, ale don Diego opadł z powrotem na plecy, nakrył twarz derką i kaszłał dalej. – Ależ miglanc z tego pańskiego ogrodnika. Żeby dmuchać takiego koczodana. – Małpa zarżał i uniósł do ust butelkę. – Chociaż myślę, tak po sprawiedliwości, że to ona złapała go za jaja. No a w takiej sytuacji facet musi, jak by nie było, stanąć na wysokości zadania, tak czy nie? – Przechylił butelkę i pociągnął kolejny łyk, tym razem delectując się alkoholem. Po podłodze przeciągnął zimny podmuch, od którego zadygotał płomień świeczki. Don Diego leżał nakryty po sam czubek głowy. – Niech mi pan powie jedną rzecz, don Diego. To dlatego wywiózł pan swoją córkę? Z powodu tej wariatki? – Małpa obserwował nieruchomy kształt na wyrku. Po chwili don Diego znów zaczął kaszleć. – Byłem święcie przekonany, że wróci, jak tyle innych razy. Chociaż z drugiej strony dziwiło mnie, że pakują do samochodu tak dużo walizek. A jak już wyszła z lasu z obciętymi prawie do gołej skóry włosami, całkiem zgłupiałem. – Chciał się napić, ale w ostatniej chwili opuścił rękę i jęknął żałośnie: – Czy ktoś jest w stanie

to zrozumieć? Te jej włosy. Boże mój... – Międlil w ustach jakieś słowa, jakby usiłował złowić wiersz w otchłaniach pamięci. W końcu powiedział: – „Wielki złoty płaszcz, jedwabisty wiatr wonnych włosów jej lekko falujących, złocistym welonem spowił kryształ drżący brylantowych kropli, co zronił jej płacz”. – Don Diego odsłonił twarz, była złana potem. Usiłował usiąść i dopadł go kolejny atak kaszlu. – Może strzeli pan sobie łyżeczka? – zaproponował Małpa. Mężczyzna machnął słabo ręką. – Niech mi pan powie, to dlatego ją pan stąd wywiózł?

– Wody... – wymamrotał don Diego.

– Musiałem zmienić plany. Wszystko było zapięte na ostatni guzik, już miałem wziąć pod swoje skrzydła pańską pociechę i nagle przyszło mi powiedzieć chłopakom, że trzeba będzie poczekać do jej powrotu, miesiąc, dwa, czy ja wiem ile. I wtedy zrobiliśmy ten bank, no bo, niech pan sam powie, don Diego, z czego mieliśmy żyć przez cały ten czas?

– Chce mi się pić.

– Ale z pana upierdliwy typ, przecież piętnaście minut temu był pan w kiblu.

– Nie chcę do kibla. Chcę wody.

Małpa poderwał się rozdrażniony, chwycił szklanekę ze stolika i wyszedł. W dużej izbie zobaczył wyciągniętego na kanapie, śpiącego w najlepsze Chwasta. Podeszedł do niego i już miał poczęstować go kopniakiem, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Usłyszał don Diega duszącego się od kaszlu. Wszedł do kuchni, napełnił szklanekę i wrócił do izby.

– Tak czy inaczej, chodziłem tam dalej – podjął. – Poza planowaniem tego wypadu do banku nie miałem nic innego do roboty. I z tej beczynności przyszło mi na myśl, żeby wejść do środka. Tyle lat filowania z za płotu, podglądania tego, co się dzieje za oknami. Ale zawsze z daleka. Wtedy właśnie coś we mnie drgnęło i uznałem, że pora na wizytę pełną gębą. Zasłużyłem na to. – Pijąc łąpczywie, don Diego rzucił mu wściekłe spojrzenie. – Zamek świecił pustkami. Nawet ogrodnik gdzieś wybył – ciągnął Małpa. – Wszedłem od tyłu, wejściem, którym Izolda wychodziła do lasu i którym wypuszczała się na dupczenie ta wariatka. – Zarechotał. – Poszło mi łatwiej, niż myślałem. Zafundowałem sobie spacer po salonach, dotknąłem zastawy stołowej, wziąłem w ręce łyżeczki... Ale tak naprawdę pragnąłem tylko wejść na górę, do jej pokoju, zobaczyć z bliska jej ubrania, dotknąć prześcieradła, powąchać ręczniki, którymi wycierała swoje ciało. Mówię panu, inżynierze, marząc o tym, dostawałem prawdziwego kręćka.

Don Diego przerwał mu kolejnym atakiem kaszlu. Wypił wszystką wodę i wyrzucił:

– Jeszcze...

Co za przejebane życie – zaklął Małpa. Rozeźlony, chwycił butelkę, napił się i warknął: – Sam pan sobie idź i żebyś mi pan więcej nie przerywał. – Don Diego

podźwignął się z trudem i narzucił na siebie derkę. – Żeby się panu nie ubzdurało wybrać na spacer w tę ulewę. W pańskim stanie nie radziłbym, inżynierku. – Odprowadzając wzrokiem wychodzącego ze szklanką don Diega, wyrecytował: – „W sadzawce już ledwie ostała się woda, wysycha źródółko, z żelaza rudego kanciasta ławka w toni złocistego piachu grzęźnie głucho, obumarła kłoda”.

Usłyszał jeszcze, jak stary powłóczy w korytarzu nogami, a potem kroki zagłuszył potężny grzmot.

Don Diego minął zamknięte na rygiel drzwi. Popatrzył na nie i poszedł dalej, do kuchni. Po drodze ujrzał Chwasta pogrążonego w głębokim śnie. Odkręcił kran i nalał wody do szklanki.

W drodze powrotnej ponownie zatrzymał się przed zaryglowanymi drzwiami. Ostrożnie odciągnął rygiel, żeby nie narobić hałasu, chociaż ulewa i tak tłumiła wszelkie dźwięki. Popchnął drzwi i stanął przed siedzącym na podłodze Brewką. Nieszczęśnik cały był posiniaczony, trząsał się i obejmował ramionami kolana. Wybałuszył oczy na don Diega, trzymającego w rozdygotanej ręce szklankę z wodą. Don Diego rozejrzał się, a później pokazał Brewce, żeby uciekał. Ten rozplakał się, zagryzając wargi. Don Diego położył palec na ustach, dając mu do zrozumienia, żeby był cicho, po czym wrócił do swojej celi.

Małpa siedział na krześle, opierając się o ścianę. Zakręcał pustą już prawie butelkę. Don Diego usłyszał, jak mówi:

– To tego dnia zabrałem czerwoną spódniczkę.

Major Salcedo zwołał krewnych don Diega, aby zapoznać ich z najświeższymi informacjami. Chciał porozmawiać z nimi, zanim poinformuje o wszystkim panią Ditę. Poprosił również o obecność belgijskiego jasnowidza.

– Przystępcom zawsze wydaje się, że popełniają zbrodnie doskonałe – powiedział major. – Ale wystarczy chwila nieuwagi, a wszystko zaczyna im się rozłazić w szwach. – Przez cały czas gdy tak perorował i chodził wokół zebranych, trzymał w dłoni dużą kopertę. Rudesindo tłumaczył po cichu jego słowa Marcelowi Vandernootowi. – Jedno odosobnione zdarzenie, na pierwszy rzut oka nieistotne, może kryć w sobie brakujące ogniwo innej sprawy. Nakrętka odkryta w jednym miejscu może pasować do śrubki znalezionej gdzie indziej. Przecież w jakimś zakamarku musi się znajdować zgubiona skarpetka od pary. – Krewni zaczęli wiercić się nerwowo na krzesłach. Jeden z nich dał znak Hugonowi, prosząc o drinka. Po krótkiej pauzie major wznowił swoją mowę: – Na szczęście dla tego kraju jesteśmy my, obdarzeni inteligencją i poczuciem odpowiedzialności obrońcy prawa, zbierający wszystkie te okruchy zbrodni doskonałej zawieruszone przez bandytów, nakrętki bez śrubek i skarpetki bez pary, pozwalające nam przeniknąć tajemnicę każdego przestępstwa.

– Majorze, niech pan będzie łaskaw przejść do meritum – powiedział Rudesindo. – Nie mamy najmniejszych wątpliwości co do chwalebego posłannictwa policji, ale...

Major uniósł rękę.

– Rozumiem doskonale, z jak wielką niecierpliwością oczekujecie panowie ujawnienia zawartości tej koperty, ale moim obowiązkiem jest również ostrzec o szokującej i drastycznej treści znajdujących się w niej materiałów, mogących poważnie zranić uczucia panów.

– Majorze – upomniał go taktownie Rudesindo.

Major położył kopertę na stole. Pomiął pewien drobny szczegół, a mianowicie to, że owego pojedynczego okrucha bynajmniej nie wywęszyła policja. W ręce stróżów prawa oddał go agent zakładu fotograficznego. Po tym, jak zabrano ciało Pluskwy, podniósł z podłogi rolkę filmu, który z taką bezkompromisowością chciał wywołać bandytę, i następnego dnia, z samego rana, włożył ją do maszyny.

Zobaczywszy wywołane zdjęcia, natychmiast pobiegł pokazać je swoim pracownikom. „To straszne”, chwyciła się za głowę jedna. „To trup?”, spytała druga. „Nie sądzę”, odpowiedział agent. „A ta? Co to za jedna?”, spytała inna, ujrawszy zdjęcia, które były przemieszane ze zdjęciami don Diega. „Są z tego samego negatywu?” Te fotki wzbudziły żywszą ciekawość u dziewczyn niż zdjęcia, na których widniał don Diego. „Gdzieś już ją widziałam. Zdaje się, że w jakimś czasopiśmie. Aha, ona jest chyba modelką”. „Modelką z tymi zwałami tłuszczu?” W czasie gdy kobiety snuły w najlepsze domysły na temat tożsamości dziewczyny ze zdjęć, agent zadzwonił na policję, informując, że ma do przekazania bardzo ważną informację.

– Intensywne śledztwo doprowadziło nas do przechwycenia zdjęć don Diega wykonanych przez porywaczy – powiedział major Salcedo i rozłożył na stole piętnaście dużych fotografii.

Krewni zbliżyli się, wyraźnie poruszeni. Podawali sobie zdjęcia z rąk do rąk, opatrując je od czasu do czasu dosadnym komentarzem. Zbrodniarze. Łotry. Tchorze. Ścierwa. Bydlaki.

– Ale czy on żyje? – spytał jeden.

– Z ekspertyzy technicznej wynika, że tak – odpowiedział major.

– Przecież od razu widać, że żyje – odezwał się Rudesindo.

– Wykręcają mu ręce – zauważył inny członek rodziny. – Widać, że się wyrwa.

– Nie tak łatwo złamać Diega.

Marcel wziął jedną z fotografii i odszedł pod okno. Obserwował ją w zamyśleniu, dotykając palcami.

– W jaki sposób policja weszła w posiadanie tych zdjęć? – spytał Rudesindo.

– Przystępca chciał je wywołać w jednym z zakładów fotograficznych – odparł major.

– Aresztowaliście go?! – zawołał z entuzjazmem któryś z krewnych.

– Lepiej. Został wyeliminowany.

Krewni spojrzeli na siebie.

– W takim razie nic już nie powie – podsumował jeden z nich.

Rozeszli się po salonie. Rudesindo odszukał Marcela.

– Czy potrafiłby pan ustalić miejsce jego pobytu? – zapytał.

Na twarzy Belga dostrzegł powątpiewanie.

– Czuję tu obecność jakiejś nieprzyjaznej, niezwykle negatywnej siły, która utrudnia mi widzenie. Mogę jednak spróbować ją rozproszyć.

Rudesindo zmarszczył brwi. Przeprosił Marcela, podszedł do jednego z krewnych i szepnął:

– Z Belgiem i tym majorem za sterami ten statek pójdzie na dno. Sytuacja jest beznadziejna. Nie wiem, co z Ditą. Czy powiedzieć jej o tym?

– Można by jej powiedzieć, ale bez pokazywania zdjęć – poradził rozmówca. – Są szokujące.

– O to im właśnie chodzi, żeby nami wstrząsnąć – stwierdził Rudesindo.

– Drepczemy w miejscu – skonstatował krewniak i obaj pokiwali głowami.

– Doleciał już do ciebie aromat Belga? – spytał Rudesindo. Krewny zaprzeczył i spojrzał na niego pytająco. – Zaczyna gnić – szepnął Rudesindo, na co jego rozmówca zasłonił usta, żeby ukryć śmiech.

Małpa wyciągnął z kieszeni garść monet i trącił młodego.

– Masz, włącz sobie coś. Ale zaraz wracaj, żadnych pogaduszek.

Młody wysypał wszystkie drobniaki na stół i wybrał te, którymi można było nakarmić grającą szafę.

– Tutaj nie mają tego, co ja lubię. Tego się słucha gdzie indziej.

– Ach tak? – zdziwił się Małpa. – A dokąd ty chodzisz? Gdzie jest to „gdzie indziej”?

– Znam jedno fajne miejsce.

– I czemu mnie tam nie zabierzesz?

– Bo nie pozwoliliby nam tam wejść razem.

– Jak to?

– Małpa, wiesz przecież.

Młody uniósł znacząco lewą brew i poszedł w stronę szafy grającej. Małpa patrzył za nim, wykręcając głowę, dopóki nie zaboląta go szyja. Złapał za butelkę i nalał wódki do kieliszków.

Młody nie wysilił się nawet, żeby przeczytać tytuły piosenek. Naciskał cyfry i litery na chybił trafił, aż pozbył się wszystkich monet. Było już późno i przy kilku stolikach siedziały niedobitki. W kantine wisiał gęsty, nagromadzony przez całą noc papierosowy dym.

Gdy młody wrócił do stolika, Małpa wlewał już w siebie następny kieliszek.

– Jak tak dalej pójdzie, zlecisz z motoru i stłuczesz sobie dupsko – uprzedził go młody.

– W razie czego mam się za co złapać. – Małpa zarżał zjadliwym śmiechem.

Młody klapnął i omiół spojrzeniem towarzystwo przy sąsiednich stolikach – pół tuzina ramoli i kilka przysadzistych, rechoczących na całe gardło kurew.

– Nie rozumiem, dlaczego zawsze muszą się tak śmiać – rzucił młody i wypił swoją wódkę.

– To ty sobie stłuczesz dupsko – stwierdził Małpa.

– Ja tą maszyną mogę śmigać z zamkniętymi oczami.

– Co ty chrzanisz? Co się z tobą dzisiaj dzieje?

– Eeech...

- Co?
- Sprzykrzyło mi się to kręcenie w kółko. Potrzebuję akcji.
- Akcji?
- Chcę coś zrobić. Potrzebuję zastrzyku gotówki.

Małpa rozparł się na krześle i spojrzał na niego badawczo. Młody siedział skrzywiony w jedną stronę. Zdawał się skupiać całą swoją uwagę na zgredach siedzących obok.

- To brzmi jak skarga – powiedział Małpa.
- To jest skarga.
- Niewdzięcznik.
- Niby dlaczego?
- Bo nikt w twoim wieku nie ma tego, co dam ci ja. Spójrz na swój zegarek. Czy ktoś w okolicy ma podobne cacko, co?
- Nie mówię, że dajesz mi mało. Po prostu chcę mieć dużo więcej i tyle.
- Aha. – Małpa pokiwał głową i beknął.

Młody zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- Chodźmy, jesteś już napruty.
 - Pójdę, kiedy mi przyjdzie ochota – uciał Małpa.
- Młody patrzył na niego w milczeniu. Potem przeniósł wzrok na starych przyków i zobaczył, że któryś wyszedł z jedną z kurew do kibla.

- Obciążnie mu druta i przetrzepie kieszenie – spuentował.

Małpa odwrócił się powoli, ale nie zdążył zobaczyć, o kim mowa. Na powrót wbił wzrok w młodego i spytał:

- No to jak to jest z tą kasą?
- Coś mi tam sypniesz, no nie? – odburknął młody. Małpa kiwał głową jak w transie, to w przód, to w tył. – Przestań się kiwać i usiądź prosto, bo w końcu spadniesz z krzesła – upomniał go młody, na co Małpa przygrzmocił otwartą dłońią w blat stołu, aż podskoczyły kieliszki.
- To jak to jest z tą kasą? – powtórzył.
- Małpa, co w tym złego, że ktoś chce mieć więcej?
- Chcesz więcej?
- Jasne, że chcę więcej. Każdy chce więcej.

Małpa pochylił się nad stołem, chwycił butelkę i podał ją młodemu, nie odrywając od niego wzroku.

- Polej.

Patrzył, jak napełnia kieliszki i przesuwają jeden z nich przed siebie. Złowił jego ukradkowe spojrzenie rzucone w stronę zgredów.

- Coś tam zgubiłeś? – spytał, lecz ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, podjął:
- Mam więcej forsy niż którykolwiek z tych starych łajz. A niedługo żaden

szmacciarz w tym mieście nie będzie miał do mnie startu. – Młody obserwował go spod przymrużonych powiek. Małpa podniósł kieliszek i już miał go przechylić, gdy jego pierś szarpnęło zdrowo. – Znowu chwyciła mnie czkawka – mruknął z niezadowoleniem i dodał: – Dostanę dwadzieścia milionów za mój biznes.

– Za ten w Santa Elena?

Małpa skinął głową. Teraz mógł się już napić, ale czkawka go nie opuszczała. Postawił kieliszek na stole.

– A to i tak jeszcze nie wszystko, bo mam więcej.

– Więcej czego? – spytał młody.

– Jak to czego? Szmalu, kolego.

Młody wyprężył się.

– Gdzie?

– W bezpiecznym miejscu.

– W banku?

Małpa wybuchnął śmiechem, obryzgując młodego śliną.

– Ech, ty szczawiu! – zawołał. – Jak mógłbym w tych niebezpiecznych czasach, kiedy grasuje tylu bandziorów, trzymać forszę w banku.

– W takim razie masz ją w domu – zawyrokował młody.

Małpa chciał odpowiedzieć, ale znów dopadła go czkawka.

– Co za przejebane życie! – zaklął. Wziął głęboki wdech i wyciągnął rękę, żeby przywołać kelnerkę. – Powiedz jej, żeby mi przyniosła szklankę wody – rzucił i ponownie nabrał powietrza.

Młody wyczył moment, kiedy Małpa niczego się nie spodziewał, i wrzasnął mu nad uchem, aż ten podskoczył ze strachu. Szemrane towarzystwo odwróciło się w ich stronę.

– Wystraszyłem cię? – spytał młody, pierwszy raz od dłuższego czasu chichocząc.

– Co się stało? – spytała kelnerka.

– Nic, przstraszył mnie – powiedział Małpa, pokazując na młodego. – Przynies mi szklankę wody z cukrem, co?

Gdy kelnerka odeszła od stolika, młody, innym już tonem, spytał:

– A gdyby coś ci się stało, to co wtedy z tą forszą?

– Nic mi się nie stanie. Co żeś się tak uczeplił? – Młody położył rękę na stole i przesunął ją w stronę Małpy, który nie przestawał czkać. – Ta forsa jest dla nas obu – zapewnił Małpa. – Roztrwonimy ją razem.

Młody wyciągnął pod stołem nogę i czubkiem buta dotknął łydki Małpy.

– Jeśli to nasza wspólna kasa – szepnął przymilnie – to nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć, gdzie ją trzymasz?

Cofnął rękę ze stołu, gdy kelnerka wróciła z wodą.

– Będziemy już zamykać – oznajmiła. – Życzą sobie panowie czegoś jeszcze?

– Tak – powiedział młody, nie patrząc na nią. – Przynieś nam rachunek.

Małpa wypił duszkiem wodę, nabrał powietrza, przytrzymał je w płucach, aż zrobił się czerwony, i dopiero kiedy poczuł, że dłużej już nie da rady, głośno je wypuścił. Wtedy młody zbliżył twarz do jego twarzy i szepnął:

– Zawiozę cię w miejsce, gdzie grają moją ulubioną muzykę, chcesz?

Małpa czknął i uśmiechnął się.

Dita zeszła do jadalni, gdzie rozbawieni krewni don Diega oglądali zdjęcia, które pokazywał im major Salcedo. Gdy tylko zauważyli jej obecność, natychmiast spoważnieli, a major schował zdjęcia za plecami.

– Szanowna pani – powiedział i stuknął butami.

– Życzy sobie zobaczyć zdjęcia – rzekł Rudesindo.

Krewni spojrzeli po sobie.

– Dita, nie trzeba, najważniejsze jest to, że Diego żyje – przekonywał jeden z nich.

– Chcę je zobaczyć. – Dita stanowczym ruchem wyciągnęła rękę przed siebie.

Ktoś wziął kopertę, wyjął zdjęcia i podał je kobiecie. Nie spojrzała na nie od razu, tylko przeszła z nimi do przyległego salonu.

– Bez obaw – powiedział Rudesindo. – Już ją uprzedziłem.

Widzieli jej plecy i wiedzieli, że ogląda fotografie. Raptem oparła dłoń na oparciu fotela, postąpiła krok naprzód i usiadła. Każdemu zdjęciu przyglądała się długo. Widzieli, jak podnosi dłoń do twarzy, jakby chciała otrzeć łzy. Niektórzy z obecnych przechadzali się po jadalni, ktoś usiadł w kącie pokoju, inny stanął przy oknie, skąd ujrzał Marcela przechadzającego się po ogrodzie.

Po jakimś czasie zobaczyli, że Dita wstaje. Wróciła do nich i oddała zdjęcia.

– Dziękuję – powiedziała.

– Najważniejsze jest to, że żyje – powtórzył swoje słowa sprzed paru chwil ten sam krewny.

Dita skinęła głową na znak, że przyznaje mu rację. Później spojrzała na zegarek i przeprosiła obecnych.

– Odprowadzę cię – powiedział Rudesindo, ale ona odwróciła się niespodziewanie i spytała:

– Czy mogę zobaczyć pozostałe zdjęcia?

– Jakie zdjęcia? – z udanym zdziwieniem odezwał się ktoś.

– Te, które wprowadziły panów w tak radosny nastrój – odparła Dita.

Panowie poczuli się niezręcznie.

– Szanowna pani – zabrał głos major Salcedo – to zdjęcia niemające żadnego znaczenia, niemające związku ze sprawą.

– Co to za zdjęcia? – nalegała Dita.

– Widnieje na nich żona bądź narzeczona bandyty, któremu skonfiskowaliśmy

negatyw.

– Chcę je zobaczyć.

– Szanowna pani, ta kobieta została sfotografowana w obscenicznym pozach – przekonywał major.

Ale Dita raz jeszcze wyciągnęła rękę, żądając fotografii.

– Chcę mieć dostęp do wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Diegiem – powiedziała nieustępliwie.

Tym razem pozostała w ich gronie. Gdy tylko zaczęła przeglądać zdjęcia, przyłożyła jedną rękę do piersi i zawołała:

– O mój Boże!

– Co się stało? – zaniepokoił się Rudesindo.

– Przecież ja ją znam.

– Co? Znasz tę kobietę?

– Była tutaj. To ta sama dziewczyna, która czytała mi fragmenty Biblii.

– Co takiego?

– Jesteś pewna?

Zdjęcia znowu ruszyły w obieg, tym razem jednak w nieco szybszym tempie.

– Pamiętacie ją? – spytał Rudesindo.

– To ta kobieta, która nie miała niczego pod spodem – konfidencjonalnym szeptem przypomniał inny krewny.

– Nie miała czego? – zapytała Dita.

Krewny zaczął się jąkać.

– Czy szanowna pani pamięta może, jak się nazywała ta kobieta? – spytał major.

Dita zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mówiła, że należy do jakiegoś kółka modlitewnego czy czegoś w tym rodzaju... ale nazwy nie pamiętam.

– Proszę się jej przyjrzeć raz jeszcze – zaapelował major Salcedo.

Dita usiadła i obejrzała po kolei zdjęcia, które pewnego dnia Twiggy zrobiła sobie przed lustrem całkiem naga i w różnych pozach – to w kapeluszu, to w apasce, to w okularach przeciwsłonecznych, uśmiechając się albo z ustami złożonymi do pocałunku. Figlarna, ciesząca się życiem.

Śmierć upodobała sobie piętnastoletnią księżniczkę, zakradła się do jej ciała, zawładnęła układem nerwowym i zabrała tak szybko, że nawet nie zdążyła pożegnać się ze swoimi rodzicami, tak nieoczekiwanie, że nie było mi dane zobaczyć jej po raz ostatni, że ona sama nie zdawała sobie sprawy z tego, że umiera.

Smutna wiadomość poszybowała w dół lotem błyskawicy, a ponieważ nie dałem jej wiary, obłąkańczym pędem pogałem do zamku, aby usłyszeć sprostowanie tej straszliwej niedorzeczności. Zamek pogrążony był w absolutnej ciszy. Nawet las oniemiał. Nie słyszałem własnego trwożliwego ziajania. Cisza zawładnęła wszystkim, swą mowę straciła woda w fontannach i w strumieniu. Zamilkły ptaki. To było tak, jakby w zamku wszystko umarło. Nikogo na zewnątrz, za szybami okien nie przemknął jeden cień. Aż w końcu ową mroczną tajemnicę zgruchotał rozdierający płacz. Dobywał się ze środka i wibrował w powietrzu tak długo, że musiałem zakryć uszy dłońmi, aby się od niego uwolnić. Mógł to być lament jednej tylko istoty – matki.

Wróciłem do domu zdruzgotany, a tam mówiło się tylko o jednym. Po raz pierwszy dowiedziałem się wówczas o chorobie, która zabrała Izoldę. Nazwę tego schorzenia każdy wymawia na swój sposób – zespół Guillaina-Barrégo, tak było napisane w encyklopedii.

Na suficie mojego pokoju zobaczyłem wszystkie obrazy związane z Izoldą, jakie przechowuję w pamięci. Widziałem ją, jak biegnie, jak wchodzi na drzewa, pędzi w dół na rowerze, znika w lesie, brodzi w fontannie, w sukience podciągniętej nad kolana, i ten najważniejszy – jak zniecka całuje mnie w środku lasu. Nie mogłem jej sobie wyobrazić martwej, ale zanim usnąłem, już prawie o brzasku, pojąłem w końcu, że z tego świata mogła ją zabrać tylko jakaś niespotykana, niepospolita śmierć, jak przystało na księżniczkę z bajki.

Miałem zamiar wrócić do zamku po szkole, ale dowiedziałem się, że wczesnym rankiem służba zapakowała walizki do limuzyny i don Diego wraz z małżonką wyjechali. I że nic więcej nie wiadomo. Tak czy inaczej, powlokłem się tam i zobaczyłem jedynie nowego ogrodnika ścinającego wszystkie róże z krzewów.

Minął tydzień. Usłyszałem, że państwo wracają z ciałem Izoldy w piątek, ostatnim lotem. A jeśli to wszystko jest tylko wierutnym kłamstwem? Jeśli to zwykła plotka, z tych, które wędrują codziennie w tę i z powrotem po całym wzgórzu? A jeśli Izolda żyje, może jest chora, ale żyje?

Gnam co tchu w piersi. Przed bramą wjazdową zgromadził się tłum gapiów, a i wzdłuż płotu okalającego posiadłość pełno ciekawskich. W środku widać stłoczone samochody i dwóch krewnych popalających w portyku. W tłumie można usłyszeć najrozmaitsze historie: to nie była choroba, zabiła ją samotność za granicą. Umarła ze smutku w internacie. Wraca do domu zabalsamowana. Zostanie pochowana na terenie zamku, a jej domek dla lalek przerobią na mauzoleum. A co to takiego to mauzoleum? Pewnie coś jak muzeum. Posadzą jej zabalsamowane zwłoki przy pianinie. W środku jest ze sto wieńców albo i lepiej...

To ostatnie akurat może być prawdą. Posępna woń cmentarza dociera aż do bramy.

– Jada już, jada! – podnoszą się spontaniczne krzyki.

Na czele kawalkady samochodów sunie karawan z zapalonymi światłami. Tuż za nim jedzie limuzyna. Przy wjeździe kłębi się ciżba. Ogrodnik zamyka bramę za ostatnim autem. Gawieź milknie i nieruchomieje, jak na mszy. W milczeniu wysiadają również pasażerowie samochodów. Z limuzyny wychodzi don Diego wraz z małżonką, oboje w czerni. Stąd prawie nie widać twarzy, ale można sobie wyobrazić ich wyraz. Mężczyźni z zakładu pogrzebowego ostrożnie wyjmują białą trumnę, lśniąca w półmroku wieczoru. Usta mi drżą. Staram się opanować, ale wilgotnieją mi oczy. Kobiety ocierają łzy chusteczkami. Czterech mężczyzn w garniturach i krawatach wnosi trumnę po kamiennych schodach. Za moimi plecami ktoś wybucha płaczem. Odwracam się, ale nikogo nie widzę. Może wstydzi się i skrywa między drzewami.

Już nie płacze, poszeptuje, jakby odmawiał modlitwę.

– „Wszystko późno przychodzi... śmierć nawet! Nigdy nam dosyć, darmo ścigać szczęścia słodkiego nadziei posieć, gdy pragnienie w nas dzikie i krwawe. Wszystko przyjść może, lecz miej tę obawę, że wszystko późno przychodzi” – wyrecytował Małpa, wpatrzony w płomień świecy, jak to robił podczas swoich recitali sam Julio Flórez, kiedy mężczyźni przełykali ślinę, a kobiety, z trudem powstrzymując się od płaczu, wycierały nos w chusteczkę. – Przyszedłem późno na spotkanie z pańską dzieciną, don Diego, i dopiero pod zamkiem dowiedziałem się, że umarła. Nie było mnie tam od dnia, w którym wziąłem tę czerwoną spódniczkę, i nie wiem dlaczego, ale właśnie tego wieczoru coś mnie tknęło, żeby wrócić. Nadziałem się na tłum ludzi i wtedy poznałem prawdę. – Ostatnie słowa wymówił łamiącym się głosem. Wziął głęboki oddech i zamilkł.

Don Diego siedział na łożku, wsparty o wezglowie. Świszczało mu w piersi, kiedy oddychał. Odezwał się zduszonym głosem:

– Być może. – Urwał na chwilę i zaraz powtórzył: – Być może Izolda umarła w samą porę. – Małpa uniósł na niego wzrok. – Tak, wiem – rzekł don Diego – nikt nie ma prawa tak mówić, a już na pewno nie ojciec. Ale chyba pański wierszokleta się myli i śmierć zabrała moją Izoldę w odpowiednim momencie. Odeszła, zanim zdążyła poznać potworność tego świata. Nie doświadczyła małoduszności, przewrotności, zawiści... Mógłbym tak wymieniać bez końca.

– To idiotyczna pociecha – stwierdził Małpa.

– Uniknęła też spotkania z panem – dodał don Diego.

– Ja nie pozwoliłbym jej cierpieć.

Don Diego położył się na boku.

– Jest pan złym człowiekiem, panie Riascos. Nie budzi w panu odrazy to, co pan robi?

– Nikt się nie brzydzi własnego gówna – odparł Małpa, stawiając świeczkę na podłodze.

– Czy naprawdę sądzi pan, że moja córka choć przez sekundę zaznałaby z panem spokoju?

– A czy z panem była szczęśliwa?

– Oczywiście, że tak. – Chciał dodać coś jeszcze, ale zaniósł się kaszlem, od którego aż zgiał się wpół. Małpa wstał i podał mu szklanekę z resztką wody. Don Diego wypił i zapadło milczenie. Doszedłszy do siebie, powiedział: – Zostałem ojcem w późnym wieku. Być może nie miałem dość energii, aby dotrzymać jej kroku. Nie tryskałem humorem, byłem zbyt oschły. Tak zostałem wychowany. Z pewnością mogłem częściej ją przytulać i całować, częściej mówić, że ją kocham, ale wszystko, co robiłem w moim życiu, robiłem wyłącznie po to, aby ją uszczęśliwić.

– Każdy tak mówi – przerwał mu Małpa. – Nawet moja matka.

– Mówią wszyscy, ale tylko nieliczni robią.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Kiego? – rzucił Małpa.

– To ja, Carlitos.

– Wejdz.

Carlitos przyniósł żarówkę.

– Wkręcić? – spytał.

– Nie, zjeść – sarknął Małpa. – Po co niby kazałem ją skombinować?

Carlitos wlażł na skrzypiący stołek i wkręcił żarówkę.

– Gotowe – rzucił, otrzepując ręce.

– Pstryknij światło – polecił Małpa.

Carlitos wyszedł na korytarz i przekręcił kontakt.

– Aj! – jęknął don Diego, zaciskając powieki.

– Co pan w końcu woli, światło czy ciemnicę? – spytał Małpa.

– To bardzo proste. W dzień światło, a w nocy ciemność, jak każdy normalny człowiek.

– Izoldę pochował pan w nocy.

– Zaskoczyła nas noc, to zasadnicza różnica. Było bardzo dużo ludzi i późno dotarliśmy na cmentarz.

– Byłem tam – wyznał Małpa.

– Niech pan zgasi świeczkę, już nie jest potrzebna.

– Bardzo wzruszyła mnie muzyka, którą grała nauczycielka Izoldy. – Małpa zdmuchnął płomień świecy.

– To jakaś obsesja – mruknął don Diego. – Dlaczego my? Dlaczego Izolda?

– Nie wiem – odparł Małpa i zamyślił się. – Ciągle siedziała mi w głowie, była jak uporczywe swędzenie.

Don Diego parsknął tym swoim śmieszkiem, który tak bardzo irytował Małpę, i znowu się rozkaszał. Małpa spojrzął na zegarek.

– Czas wlecze się tu niemiłosiernie – stęknął.

– A co ja mam powiedzieć? – wykaszał don Diego.

– To nie moja wina. Gdyby pańska rodzina szybciej się uwinęła...

– Tak. Teraz nie mam najmniejszych wątpliwości. – Mężczyzna wszedł mu w słowo. – Całe szczęście, że umarła, jeśliby miała doświadczyć tego, co ja. – Podźwignął się z mozołem i usiadł prosto na wyrku. – Nie dotknął jej żaden mężczyzna – powiedział. – Nie zbałamucił i nie zaciągnął do łóżka, nie zdołała skalać się brudnymi myślami.

Małpa zaśmiał się szyderczo. Nie zdążył nic powiedzieć, bo w progu, bez pukania, znów stanął Carlitos. Był blady jak ściana.

– Co ja ci mówiłem? – upomniał go Małpa.

– Pała chce z tobą gadać. Mówi, że to bardzo pilne.

– Co się stało? Znalazł Brewkę?

– Nie, mendi zrobiły kipisz w twoim domu.

Małpa skoczył ku drzwiom i odepchnął Carlitosa. Don Diego odrzucił na bok derkę. Spróbował się podnieść, lecz nie dał rady i opadł z powrotem na wyrko. Usłyszał szcęk zamykanej kłódki i zamieszanie na zewnątrz. W końcu udało mu się wstać i powłókł się pod żarówkę. Wystawił twarz do światła jak do słońca. Uśmiechnął się.

Wiatr wpadający przez otwarte okno auta rozwiewał tłuste włosy Marcela Vandernoota siedzącego z zamkniętymi oczami na tylnej kanapie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Medellín opuszczał zamek, ale sądząc z jego zachowania, wolał patrzeć do wewnątrz niż na zewnątrz. Za kierownicą siedział Rudesindo, a obok niego, z mapą rozłożoną na kolanach, major Salcedo, wydający rozkazy przez radiotelefon.

– Powtarzam, nie włączać sygnałów świetlnych ani dźwiękowych, otoczyć teren z zachowaniem największej dyskrecji. Zbliżamy się do celu.

– Nigdy tu nie byłem – powiedział Rudesindo i skręcił swoim mercedesem w ulicę pnącą się stromo w górę przez osiedle skromnych domków.

– W jaki sposób wyciągniemy od niego dokładny adres? – spytał major.

Rudesindo zerknął w lusterko wsteczne.

– Musimy czekać – powiedział. – Zdaje się, że jest mocno skoncentrowany.

– A mnie się zdaje, że gnije – mruknął major i opuścił szybę.

Włosy Marcela rozwichrzyły się jeszcze bardziej, ale nie otworzył oczu.

– Panie majorze, piętnastu ludzi zajęło swoje pozycje – odezwał się głos w radiu.

– Nie afiszować się z bronią, dopóki nie zostanie potwierdzony QTH.

Major patrzył na numery ulicy i zaznaczał je na mapie. Z radia bezustannie dochodziły trzaski i piski.

– Jesteśmy o cztery kwartały od sektora – poinformował Rudesinda. – Proszę go obudzić. – Minęli kościół w Campo Valdés. W niewielkim parku kilku młokosów odprowadziło wzrokiem auto. – Blancierze – rzucił major.

– Mówiłem, że lepiej wziąć jeden z pańskich wozów, żeby nie zwracać na siebie uwagi – wytknął mu Rudesindo.

– Ma pan na myśli radiowóz? – spytał kpiąco major.

– Sądzę też – podjął Rudesindo, nie zwracając uwagi na jego ton – że w pogotowiu powinna czekać karetka, na wypadek gdyby Diego potrzebował pierwszej pomocy.

– Już o tym pomyślałem – pochwalił się Salcedo. Minęli jeszcze dwa kwartały, po czym skręcili w lewo. – Jesteśmy na miejscu. – Major przytknął palec do czerwonego kółka zaznaczonego na mapie przez Marcela.

Rudesindo nie musiał uprzedzać Belga, bowiem ten otworzył oczy sekundę przed tym, jak się zatrzymali. Poprosił, aby pokazano mu dokładną lokalizację. Popatrzył na plan i polecił Rudesindowi jechać do środka koła.

Gdy tylko ruszyli, ponownie zamknął oczy.

– Tygrys do klatki, Tygrys do klatki – powiedział major do radiotelefonu. – Jesteśmy w sektorze.

– Karetka – przypomniał Rudesindo.

– Możecie mi potwierdzić przyjęcie zlecenia na wyjazd pogotowia ratunkowego? – spytał major.

Radio najpierw wyemitowało serię charczących dźwięków, a zaraz potem ktoś spytał:

– Jakiego zlecenia, panie majorze?

– Co za durnie! – Salcedo pokręcił głową z niedowierzaniem.

Gdy dotarli do miejsca wskazanego przez Marcela, major spojrzął na mapę i skonstatował, że sektor obejmuje od ośmiu do dziesięciu kwartałów.

– Obszar w dalszym ciągu jest bardzo rozległy – stwierdził.

– Co w takim razie pan proponuje? – Rudesindo zwrócił się do Marcela.

– Proszę objechać sektor, najpierw na północ, a potem zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od zewnątrz do środka – padła odpowiedź, a Rudesindo przetłumaczył ją majorowi. – I niech wyłączy radio – dodał Belg.

– Co mówi? – spytał Salcedo.

– Żeby pan to wyłączył.

– To niemożliwe. Muszę koordynować operację.

– Nie sądzi pan, że przede wszystkim powinniśmy znaleźć ten dom?

– Nie mogę stracić kontaktu z moimi ludźmi.

– O co chodzi? – spytał Marcel.

– Panie majorze – Rudesindo był coraz bardziej zniecierpliwiony – w pierwszej kolejności odszukajmy dom, a później włączy pan swoje urządzenie i zacznie koordynować przebieg akcji, co pan na to?

Rad nierad, major powiadomił swoich ludzi, że zniknie z eteru i włączy się ponownie po zlokalizowaniu poszukiwanego budynku. Wyłączył radio i położył je sobie między nogami.

– Majorze, na północ to którądy? – spytał Rudesindo.

Marcel opuścił szybę i pochylił się nieznacznie do przodu, wciąż z zamkniętymi oczami. Poprosił Rudesinda, aby trochę zwolnił. Salcedo stukał palcami w odbiornik radiowy i patrzył na ulicę, jakby liczył na to, że nagle ujrzy don Diega wyglądającego przez okno.

– Proszę mnie uprzedzić, gdybym znalazł się poza sektorem – powiedział półgłosem Rudesindo.

Wykonali pierwsze okrążenie po ustalonym obwodzie, ale nic się nie wydarzyło. Za drugim razem zawężili promień, kierując się bardziej ku środkowi.

– Stać – powiedział nagle Marcel. – Proszę trochę cofnąć.

– Co mówi? – spytał major.

Rudesindo nie odpowiedział. Wrzucił wsteczny bieg i powoli cofnął.

– Stać! – zawołał Marcel. Otworzył oczy i wychylił się przez okno. – To ten dom.

– Dyskretnie wskazał jednopiętrowy budynek, stojący w połowie kwartału.

– Co się dzieje? Co on mówi? – dopytywał major.

– To ten dom – wyjaśnił Rudesindo.

– Który, do diabła?

– Ten z zielonym garażem.

– Jedźmy – ponaglił Marcel.

Major chwycił za rękojeść pistoletu spoczywającego w kaburze przypiętej do paska i włączył radiotelefon. Rudesindo ruszył, zakręcił na najbliższym rogu i zatrzymał się naprzeciwko piekarni.

– Niech pan się wstrzyma sekundę, majorze – poprosił, zanim wysiadł z auta. – Muszę najpierw zadzwonić. – Salcedo jednak już wydawał rozkazy swoim ludziom, podając im dokładną pozycję. – Najpierw muszę zawiadomić Dite – powtórzył z naciskiem Rudesindo.

Ale Major wysiadł i kontynuował rozmowę na ulicy. Rudesindowi opadły ręce. Wszedł do piekarni w poszukiwaniu publicznego telefonu.

Gdy wrócił po dwóch minutach, majora już nie było.

– Gdzie on jest? – spytał Marcela. Belg tylko wzruszył ramionami i poprosił, żeby zawieźć go do zamku. – Niech pan tu chwilę zaczeka – poprosił Rudesindo i pobiegł na róg ulicy.

Zdążył zobaczyć, jak hurma policjantów wyłamuje kopniakami drzwi domu wskazanego przez Marcela.

Gdy Lida usłyszała gwałtowne uderzenie, pomyślała, że Małpa kolejny raz zgubił klucz. Zanim jednak zdążyła zareagować, potworny rumor sprawił, że stanęła jak wryta w połowie schodów i z przerażeniem wbiegła z powrotem na górę. Z kuchni usłyszała huk wyłamywanych drzwi. Przeżegnała się i wrzasnęła:

– Kto tam?!

Dobiegł ją tylko tupot kroków pośpiesznie zmierzających w jej stronę. Rzuciła się do telefonu wiszącego na ścianie i gdy już miała wykręcić numer, jej oczom ukazali się czterej policjanci z wycelowanymi w nią pistoletami.

– Stać, nie ruszać się! – krzyknął jeden z nich.

Lida uniosła ręce wraz ze słuchawką.

– Kim pani jest? – spytał drugi.

Zobaczyła innych mężczyzn biegających po domu.

– Co się stało?! Co panowie tu robią?! – wykrzyknęła, zatrwożona.

– Gdzie pani chciała dzwonić? – spytał ją kapral.

– Jak to gdzie? Na policję.

– Nazwisko?

– Lida Lucía Osorio Ledezma.

– W kuchni nie ma nikogo – rzucił jeden z funkcjonariuszy.

– A niby kto miałby być! – zawołała Lida. – Mój syn pracuje, a ja jestem sama.

– Nikt pani nie pytał – uciął obcesowo kapral i rzucił do swoich: – Zawiadomcie pana majora, że teren jest czysty.

– Co tu się wyprawia? – spytała kolejny raz Lida. – Co panowie robią?

– Proszę usiąść na krześle i nie ruszać się – usłyszała w odpowiedzi.

Major Salcedo wszedł po schodach nonszalanckim, nieśpiesznym krokiem, jakby był tu nie pierwszy raz. Wzgardliwym spojrzeniem omiatał przedmioty i wnętrza pomieszczeń, nie zatrzymując się nigdzie nawet na chwilę. Na jego rozkaz policjanci prowadzili w całym domu dokładne oględziny. Zajrzał do kuchni i zobaczył płaczącą Lidę, która wciąż domagała się wyjaśnień.

– Co zeznaje podejrzana? – zapytał jednego z funkcjonariuszy.

– Mieszka sama z synem. Mówi, że wychodzi tylko na mszę i do sklepu i nic nie wie o poszukiwanej przez nas osobie.

– A syn?

– Twierdzi, że jest w pracy.

Major pokręcił się po małym salonie jak dezorientowany pies, po czym opadł ciężko na fotel.

– Idźcie na ulicę i zobaczcie, czy są tam jeszcze faceci, z którymi przyjechałem – polecił. – I szukajcie dalej śladów – dodał głośno, tak aby wszyscy słyszeli. Później zaczął gryźć kciuk i mruknął pod nosem: – Urwę jaja temu żabojadowi.

Po kilku minutach zjawili się Rudesindo i Marcel. Na ich widok Salcedo pokręcił smętnie głową.

– Tutaj go nie ma – oświadczył.

Rudesindo chciał to przetłumaczyć Marcelowi, ale ten uniósł rękę na znak, że nie trzeba, i zamknął oczy.

Major wstał z fotela.

– Więcej nie dam zrobić z siebie balona – warknął.

Rudesindo położył palec na ustach, dając znak, żeby zamilkł. Marcel otworzył oczy i zrobił dwa kroki, ponownie je zamknął, znowu otworzył, wykonał jeszcze dwa kroki. Takim sposobem ruszył w obchód po całym domu.

Wszedł do pokoju Lidy, gdzie na podłodze ujrzał kilka sztuk porozrzucanej, ubogiej garderoby, powysuwane szuflady i oparty o ścianę materac.

Przemaszerował przez pokój, wciąż otwierając i zamykając oczy. Następnie wyszedł i skierował się w stronę kuchni. Tam też wszystko było rozbebeszone. Lida siedziała na taborecie i rozpaczała. Mówiła właśnie przesłuchującemu ją policjantowi:

– Mój syn jest tak przyzwoity, że nawet się nie ożenił... – Wtedy jej wzrok padł na Marcela. – A to co za jeden? – zainteresowała się.

Belg opuścił kuchnię z tym samym nieprzeniknionym wyrazem twarzy, z jakim do niej wszedł. Minął obojętnie jedyną w domu łazienkę. Przedefilował powtórnie przed majorem i Rudesindem. Salcedo chciał coś powiedzieć, ale Rudesindo ostrzegł:

– Proszę nie przeszkadzać. Niech pan zostawi go w spokoju.

W końcu Marcel wszedł do pokoju Małpy. Kluczył między walającymi się ubraniami, omijał ciśnięte na podłogę szuflady, zaczerpnął powietrza, zamknął oczy i wyciągnął przed siebie jedną rękę z dłonią skierowaną ku dołowi. Na oczach dwóch skonsternowanych policjantów zrobił obrót dookoła własnej osi. Potem przypadł do podłogi i w kucki zaczął grzebać między ciuchami. Nagle spod sterty koszul i spodni wy dobył lepką, wydzielającą dziwną woń czerwoną minispódniczkę.

– Diego tu był – poinformował, podając spódnicę Rudesindowi. – Lub przynajmniej miał kontakt z tą częścią damskiej garderoby.

– Co on mówi? – spytał major. Czuł, że zaraz trafi go szlag. Rudesindo przetłumaczył i przekazał mu spódniczkę. Salcedo pomacał ją, powąchał i skrzywił się z odrazą. – Przeprowadźcie mi tę kobietę! – rozkazał.

Lida weszła rozdygotana, z nerwów podskakiwał jej jeden bark.

– Czy to należy do pani? – spytał major.

Potrząsnęła głową.

– Jakżebym miała się w to zmieścić? – zdumiała się.

– A czy poznaje ją pani? – Lida znowu zaprzeczyła. – Znaleźliśmy ją w pokoju pani syna.

– To może spódnica jego narzeczonej. Tylko ona nosi tak skąpe rzeczy.

– Gdzie ona jest?

Na twarzy kobiety pojawił się grymas niezadowolenia.

– A skąd ja mam wiedzieć? Ta dziewczucha od początku mi się nie podobała.

– Jestem zmęczony – powiedział Marcel, nachylając się do Rudesinda. – Chcę już wracać.

– Co mówi? – zapytał Salcedo.

– Chce już iść.

– Chwileczkę. Niech go pan zapyta, czy to pewne, że ofiara miała kontakt ze spódnicą.

- Majorze, przecież już raz powiedział. Proszę mi nie kazać pytać go o głupstwa.
- W dodatku – wtrącił jeden z funkcjonariuszy – poszedł prosto jak w dym i wyciągnął ją spod sterty łachów, jakby wiedział, gdzie szukać.
- Wychodzę – rzucił Marcel, kierując się do drzwi.
- Chwileczkę! – krzyknął za nim major, ale kroki Belga już dudniły na schodach.
- A pani – Salcedo pokazał palcem na Lidę – niech się nie rusza z domu i przekaże synowi, że chcemy z nim porozmawiać. Z jego narzeczoną też. – Następnie potrząsnął czerwoną spódniczką, jakby była cennym trofeum, i oznajmił na cały głos: – Niniejszym konfiskuję ten materiał dowodowy.

Małpa siedział w jednej z kantyn w centrum miasta, w samym sercu dzielnicy Guayaquil. Choć dopiero zapadł zmrok, w jego butelce prześwitywało dno. Kiedy zjawiała się Twiggy, był już mocno dziabnięty. Naskoczył na nią, że się spóźnia, a ona wypomniała mu, że chleje.

– Małpa, z całym tym bałaganem na głowie musisz zachować zimną krew, inaczej dasz dupy – przekonywała.

– Odeślę im tego dziadygę w kawałkach – zapewniał Małpa.

– Wyślij im go, jak chcesz, ale musisz przestać pić.

– Zapakuję go do pudełka po butach – nakręcał się, coraz bardziej wściekły.

Twiggy zawołała kelnerkę i zamówiła piwo. Potem rozejrzała się podejrzliwie.

– Nie podoba mi się to miejsce – stwierdziła. – Nie lubię zapuszczać się w te rejony.

– Cały urok tego lokalu polega na tym, że wcześniej otwierają i późno zamykają – wyłuszczył Małpa.

Twiggy wyjęła papierosa z torby, którą od wejścia przyciskała do piersi. Kelnerka wróciła z piwem i szklanką, ale Twiggy napiła się prosto z butelki.

Nagle Małpa zaczął się trząść i poczerwieniał na twarzy.

– Co z tobą? – zaniepokoiła się. Małpa zacisnął oczy i zęby, pąsowiejąc coraz bardziej. – Co ci się stało? Oddychaj, Małpa, łap powietrze! – Chciała wziąć go za rękę, ale cofnęła ją gwałtownie, strącając na podłogę kieliszek. Gdy wydawało się, że zaraz krew tryśnie z jego twarzy, zaniósł się głębokim płaczem. – Małpa... – Twiggy po omacku szukała jego dłoni, ale on uniósł je do twarzy i zaszlochał.

Kelnerka przyglądała się im od barowej lady, nawijając na palec gumę do żucia.

– Najbardziej boli mnie... – odezwał się w końcu, zaciskając pięść – do żywego dopiekło mi to, w jaki sposób potraktowali moją mamę. – Twiggy kiwnęła na kelnerkę i poprosiła o serwetkę. – Sponiewierali ją, przewrócili dom do góry nogami, grozili jej.

– Spytała cię o powód tego najścia?

Małpa przytaknął.

– I co jej powiedziałaś?

– A jak myślisz? Zasunąłem na odczepnego, że nie mam pojęcia i że pójdę się

dowiedzieć. Że zmuszę ich, żeby zapłacili za wszystkie zniszczenia.

Kelnerka wróciła z serwetką.

– Wytrzymaj się – powiedziała Twiggy. Pociągnęła z butelki, gdy Małpa wycierał oczy. – Chodzą za tobą – stwierdziła. – Może Brewka cię sprzedał?

– Brewka nie wie, gdzie mieszkam. – Małpa wydmuchał nos i dodał: – Podobno jeden z nich gadał w obcym języku.

– Belg?

Małpa skinął głową.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że ten Belg nam nabruździ.

– Obserwują cię. Jak amen w pacierzu.

– Dlatego do ciebie zadzwoniłem.

– O nie, Małpeczko, proszę cię, żadnych przysług.

– Ja nie mogę już tam wrócić.

– A po co masz wracać do domu? Wypuść starego i pryskaj do innego miasta.

– Zatlukę go.

– W porządku, sprzątniesz go i w nogi. Ale musisz ruszyć dupę. Inaczej cię zgarną.

– Nie mogę się urwać bez czegoś, co tam jest.

– Gdzie?

– W domu.

– Mama ci to przyniesie, gdzie tylko będziesz chciał.

– Nie. Mamy nie mogę więcej w to mieszać.

– A mnie możesz? – Małpa podniósł butelkę i stwierdziwszy, że jest w niej jeszcze przynajmniej na dwa łyki, odkręcił zakrętkę i przechylił. Gdy tylko oderwał usta od szyjki, machnął ręką na kelnerkę. – Nie, Małpa – zaprotestowała Twiggy. – Nie pij więcej.

– Daj mi spokój.

– Jak chcesz dalej pić, to ja spadam.

Kelnerka podeszła do nich leniwym krokiem.

– Taaa? – mruknęła.

Małpa spojrzał na Twiggy.

– Nic, nic, pomyłka – powiedział kelnerce, a gdy ta prychnęła i wróciła przed kontuar, zwrócił się do Twiggy: – Ufam ci jak nikomu na świecie.

– Coś ty? Co za komplement!

– Mówię poważnie.

Twiggy pochyliła się nad stołem i wypuściła z ust cienką smużkę dymu.

– Mam skakać z radości, bo po czterech latach wyznałeś mi, że masz do mnie zaufanie? – Małpa popatrzył na nią i znowu zebrało mu się na płacz. – Jezu, Małpa, znowu? Coś ty się taki płaczliwy zrobił ostatnio?

Wytarł oczy zmiętą serwetką. Przez chwilę milczeli, słuchając piosenki Julia Iglesiasa. Twiggy zgasila papierosa, dopila piwo i zanucila: „Ja wciąż pamiętam tamte dni, gdy bylas przy mnie blisko tak, mowilas: kocham, kocham cie, ja jeszcze sie umialem smiac...”. Malpa ujal jej dloni.

– Jesteś moim kompasem, piękna – wyszeptal. – Moimi stopami dotykającymi ziemi. – Twiggy usmiechnela sie i scisnela jego reke. – Calte zycie cziezko tyralem – ciagnal. – Od szczeniaka ryzykowałem, zeby przyoszczedzic kilka pesos. Nie szastalem forsa, od czasu do czasu jakis drink, jeden glębszy, ale to wszystko, na co sobie pozwalalem. Nie jestem hazardzista, nie trwone kasy na kobiety, raz od wielkiego dzwonu zapale skreta, ale poza tym zadnych nalogow...

– I na co mi teraz twój kryształowy zyciorys? – przerwala mu Twiggy.

Wciaz trzymali sie za rece. Malpa wyraźnie dusil cos w sobie, az w koncu sie przemogl:

– W domu mam wszystkie oszczednosci.

Twiggy wytrzeszczyla oczy.

– Wszystkie?

– Wszystkie.

– Co za brak wyobrazni, Malpa!

– A gdzie mialem to zbunkrowac? Wiesz przeciez, ze w bankach raczej mnie nie lubia.

– Niby tak, ale... – Twiggy zawahala sie. – A ta rewizja?

– Nic nie znalezli. Kasa jest dobrze schowana. O to wlasnie chcialem cie prosic, zebyś po nia poszla.

Twiggy poruszyła sie niespokojnie na stolku.

– A ile tego jest? – spytala.

– Nie wiem, nigdy nie liczyłem.

– Gdzie to masz zadekowane?

– Pójdiesz? – spytal Malpa z blyskiem nadziei w oczach.

Twiggy wciaz bila sie z myslami.

– A co z twoja mama?

– Wyczaisz, jak wyjdzie na msze – odparl Malpa i spytal: – Pamietasz lampe, ktora dalas mi w prezencie?

– Te czerwona, na suficie?

– Tak.

– Tam? – Twiggy nie kryla zdziwienia.

– Nad lampe – rzekl Malpa. Dziewczyna oddychala cziezko. – Kochanie – szepnal Malpa – masz reke zimna jak lod.

Na chodniku vis-à-vis domu Małpy Riascosa jakiś cieć wzniecał miotłą kłęby kurzu. Twiggy zatkała nos, kiedy przechodziła na drugą stronę ulicy. Otworzyła drzwi jak gdyby nigdy nic, jakby wchodziła do własnego domu – tym razem miała oryginalne klucze i nie musiała majstrować przy zamku wytrychem czy spinką do włosów. Lida poszła na szóstą do kościoła. Twiggy spóźniła się, ale była spokojna – jak zapewniał Małpa, temat miał jej zająć góra dziesięć minut.

Bardziej z przyzwyczajenia niż z ostrożności bezszelestnie wspięła się po schodach i wparowała prosto do pokoju Małpy. Przekroczywszy próg, przeraziła się jak nigdy w życiu. Młody też struchlał.

– A ty coś za jeden? – spytała, roztrzęsiona.

– Ja? – Młody udawał głupiego, żeby zyskać na czasie.

– Tak, ty.

W pokoju wszystko było wywrócone do góry nogami, drzwi szafy otwarte na oścież, szuflady wywalone na podłogę wraz z zawartością. Twiggy miała w torbie mały nóż sprężynowy, niezbędnik, którym zwykle otwierała zamki. Chciała wyjąć go niepostrzeżenie, ale młody od razu się zbystrzył.

– Ej, ej, spokojnie! – zawołał. – Bez takich!

– Coś ty za jeden? – ponowiła pytanie. – I co tu robisz?

– Małpa mnie przysłał.

– Małpa? Po co?

– Mam mu coś przynieść.

– Ach tak? A co takiego?

– Coś, co jest mu pilnie potrzebne.

Twiggy założyła ręce, pomyślała chwilę i spytała:

– To ty jesteś ten chłoptaş z motocyklem?

– No.

– A co masz wspólnego z Małpą?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? Znam wszystkich przyjaciół Małpy. Ciebie jakoś nie kojarzę. – Znowu rozejrzała się po splądrowanym pokoju. – A co się tu stało?

Młody wzruszył ramionami.

– Nie mogłem tego znaleźć i tak jakoś...

– Co za dziwny przypadek – powiedziała Twiggy. – Mnie też tu po coś przysłał. Młody uniósł jedną brew.

– Po co?

– Słuchaj – rzuciła zniecierpliwiona – jestem dziewczyną Małpy. Ten dom traktuję jak własny. Zwijaj więc żagle, bo nie mam czasu.

– Nie mogę odejść z pustymi rękami. Małpa będzie zły – odrzekł młody.

Twiggy łypnęła kątem oka na wiszącą pod sufitem lampę.

– Jak tu wszedłeś? – spytała. – Tylko mi nie mów, że otworzyłeś drzwi kluczem, bo klucz mam ja. – Młody milczał, lustrując ją z góry na dół. – No więc? Jak tu wszedłeś?

Postąpił krok naprzód. Twiggy nawet nie drgnęła.

– Drzwiami – odpowiedział i pokazał jej klucz, który wyciągnął z kieszeni.

– Nie wierzę. – Jeszcze raz spojrzała na niego, po czym wyszła z pokoju.

– Dokąd to?! – zawołał za nią.

– Idę dryndnąć do Małpy.

Ruszyła żwawo do kuchni, a on za nią. Podniosła słuchawkę telefonu, ale chwycił ją za przedramię.

– Zaczekaj – powiedział.

– Puść – fuknęła wściekle Twiggy. – Śpieszy mi się. – Szarpnęła ręką. Zmierzyli się wzrokiem i młody zwolnił uchwyt.

– Niech ci będzie. Bierz, co masz wziąć, ja zaczekam.

Twiggy wróciła do pokoju. Zanim zniknęła za drzwiami, młody zdążył obrzucić wzrokiem jej minispódniczkę i nogi. Potem usłyszał trzask zasuwki.

Twiggy zdjęła torbę, odłożyła ją na bok i stanęła pod lampą. Wyciągnęła rękę, żeby ocenić odległość. Czuła, że poci się pod pachami. Wzięła taboret spod okna i stanęła na nim, jednak ledwie zdołała popchnąć do góry gipsowy panel podwieszanego sufitu. Potrzebna jej była drabina. Albo jakiś wysoki fotel.

Zdesperowana wyszła z pokoju i zorientowała się, że młody gdzieś zniknął. Zaraz jednak usłyszała szum wody w łazience. Zbiegła do garażu i przeprowadziła ekspresową kwerendę starych gratów. Nie znalazła nic, co mogłoby się nadać. Gdy wróciła na górę, młody wciąż siedział w łazience. Zamknęła się na powrót w pokoju. Spojrzała na łóżko i nie bez trudu przeciągnęła je na środek. Na materac postawiła stołek i spróbowała wspiąć się na tak zaimprovizowaną piramidę, ale stołek, nie mając solidnego oparcia, zachwiał się i Twiggy runęła na łóżko. Spróbowała raz jeszcze, jednak znowu wywinęła orła. Nie zamierzała się poddać. Po kilku próbach zdołała zaczepić się palcami o krawędź profilu, na którym spoczywał panel, lecz chociaż naprężyła się jak struna, nie udało jej się zajrzeć do środka.

Usiadła na łóżku zła jak wszyscy diabli i zaczęła gryźć kostki palców. Wyszła z pokoju i stwierdziła, że drzwi do łazienki nadal są zamknięte. Zbliżyła się na palcach, aby podsłuchać, co się tam dzieje, ale usłyszała tylko jakieś nikłe szmery, które nic jej nie mówiły. Wtem przenikliwy hałas w salonie rozpruł ciszę, o mało nie przyprawiając Twiggy o zawał serca. Ze ściennego zegara wyskoczyła kukułka, kukając pełną godzinę.

Twiggy wróciła do pokoju i sfrustrowana zaczęła kopać rozsypane na podłodze ciuchy. W końcu oparła się plecami o drzwi, próbując ochłonać. Czas uciekał. Msza, na którą poszła Lida, pewnie dobiegła już końca. Twiggy zagryzła wargi i krzyknęła na korytarz:

– Ej, ty, wyłaź!

Młody wyszedł z łazienki obnażony do pasa. Wycierał twarz ręcznikiem. Twiggy mimochodem zerknęła na krople wody ściekające po jego klatce piersiowej, umięśnionym brzuchu i znikające pod dzinsami. Zdało się jej, że pachnie wodą kolońską, której używał Małpa.

– Co jest? – spytał.

– Co ty tam wyprawiasz?

– Odświeżałem się.

– Chodź no tutaj. – Młody podszedł do niej nieśpiesznie. Uśmiechnął się jakoś tak, że poczuła się nieswojo. – Muszę coś stamtąd wyjąć. – Pokazała otwór w suficie. – Podniesiesz mnie do góry.

Młody znowu się uśmiechnął i Twiggy poczuła przebiegające po plecach mrowie.

– A co tam jest?

– Ważne dokumenty Małpy.

– I co mam zrobić? – Tym razem on wpatrywał się w kropelki potu perlące się na jej piersi.

– Usiądę ci na ramiona, a ty mnie podniesiesz – powiedziała Twiggy.

Młody posłusznie przysiadł na krawędzi łóżka, a dziewczyna usiadła mu na barana. Wstał i kiedy zacisnęła uda na jego szyi, poczuł na karku ciepło, wilgoć i włosy jej sromu. Potknął się, idąc pod lampę.

– Bardziej na lewo – dyrygowała Twiggy. – Jest, jest, widzę! – zawołała, gdy w końcu udało się jej zajrzeć do dziury.

– Możesz sięgnąć?

– Chyba tak. – Rozluźniła nieco mięśnie ud, aby wyciągnąć się w górę. Za każdą taką próbą ocierała się sromem o kark młodego. Zamknął oczy i zacisnął szczęki. – Prawie, prawie – stęknęła z wysiłku, jeszcze mocniej zaciskając uda i jeszcze mocniej przywierając sromem, który pieścił kark młodego wilgotnymi pocałunkami. – Mam ją! – krzyknęła w końcu radośnie.

– Co to jest?

- Walizka.
- Dasz radę ją wyciągnąć?
- Chyba tak.

Twiggy stęknęła z wysiłku. Pociągnęła walizkę, nie zdążyła jej jednak złapać obiema rękami i walizka spadła wprost na głowę młodego. Ten stracił równowagę i obydwójce runęli na łóżko. Lampa kołysała się pod sufitem jak gliniany garnek ze słodyczami w niedzielę zapustną.

Walizka otworzyła się i wyleciały z niej pliki banknotów, zaścielając niemal całą podłogę. Twiggy wsparła się na łokciu, żeby ogarnąć je wzrokiem, i niemalże w tym samym momencie, wystraszona, spojrzała na młodego.

– Mówiłaś, że to miały być papiery – powiedział.

– Tak twierdził Małpa – rzuciła szybko, ale młody nie patrzył na forszę, tylko wślepiał się w jej cipkę.

Dziewczyna nawet nie drgnęła, żeby się zasłonić. Taksowała wzrokiem wyraźnie zarysowane mięśnie jego klatki piersiowej i brzucha, nabrzmiałą fałdę w okolicy rozporaka, a na koniec spojrzała mu w oczy. Młody rzucił się na nią. Twiggy odskoczyła nerwowo. On zaczął ją całować i dotykać wszędobyłskimi rękami. Twiggy nie mogła wyjść ze zdumienia.

– A ja myślałam, że jesteś ciotą – szepnęła.

Dziewczyna nawet nie drgnęła, żeby się zasłonić. Taksowała wzrokiem wyraźnie zarysowane mięśnie jego klatki piersiowej i brzucha, nabrzmiałą fałdę w okolicy rozporaka, a na koniec spojrzała mu w oczy. Młody rzucił się na nią. Twiggy odskoczyła nerwowo. On zaczął ją całować i dotykać wszędobyłskimi rękami. Twiggy nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Co wy wyprawiacie w moim domu?!

W drzwiach pokoju ujrzeli rozwścieczoną Lidę. Obydwójce znieruchomieli w osłupieniu. Dopiero po chwili Twiggy nakryła się prześcieradłem.

Lida pędem zawróciła w stronę kuchni.

– Łap ją! – krzyknęła Twiggy, gdy młody wyskoczył z łóżka jak go matka na świat wydała i pomknął za kobietą.

Dopał ją ze słuchawką przy uchu, próbującą drżącym palcem obrócić tarczę telefonu.

– Ratunku, pomocy, mordują! – wrzeszczała Lida, gdy młody usiłował ją spacyfikować. – Ratunku! – powtórzyła, zanim zatkał jej usta dłonią.

Po chwili, omotana prześcieradłem, zjawiała się Twiggy.

– Poszukaj jakiegoś sznura, zwiążemy ją! – polecił jej młody.

Dziewczyna podbiegła do kuchennych szuflad, ale nic nie znalazła. Lida za wszelką cenę próbowała oswobodzić się z dławiącej ją ręki.

– Chwila – rzuciła Twiggy i pokłusowała do pokoju Małpy. Z szafy wyciągnęła jakieś buty i wysupłała z nich sznurowadła.

Młody zaciągnął szarpiącą się Lidę na krzesło, to samo, na którym przed pięcioma dniami przesłuchiwała ją policja. Zmusił ją, żeby na nim usiadła, Twiggy zaś związała jej nogi i ręce. Zakneblowali ją szmatą znaną z kuchni. Gdy upewnili się, że jest dobrze skrepowana, oparli się plecami o ścianę, żeby odsapnąć.

– I co teraz? – spytał młody, ciężko dysząc.

Twiggy patrzyła na jego lśniące od potu, muskularne ciało i nie mogła uwierzyć, że zaledwie kilka minut wcześniej kochała się z nim.

– Będziemy musieli się zbierać – powiedziała z lękiem.

– Nie zdążyłem skończyć – odparł młody.

Twarz Twiggy rozpromienił uśmiech. Lida bujnęła się na krzesło i wyrzęziła coś spod szmaty.

– Mnie też zabrakło odrobinę – szepnęła Twiggy. Młody pocałował ją w usta.

Lida potrząsnęła wściekle głową. Jeden bark podskakiwał jej bezwiednie.

– Chyba nie da stąd drapaka, co? – zapytała Twiggy i nie czekając na odpowiedź, pociągnęła młodego z powrotem do pokoju.

Lida szarpnęła się raz i drugi, próbując podsunąć się do szuflady, w której trzymała noże, lecz jej desperackie wysiłki spełzły na niczym. Po jednym z takich podskoków krzesło przechyliło się i kobieta z impetem runęła na podłogę. Zaryczała głucho przez szmatę, gdy z pokoju Małpy dobiegły ją kaskady śmiechu Twiggy i młodego. Dostała spazmów, usłyszawszy, jak śmiechy przechodzą w jęki rozkoszy, choć teraz już o wiele spokojniejsze i łagodniejsze.

Kiedy wyszli na ulicę, cieć z miotłą ciągle jeszcze tam sterczał. Młody niósł walizkę, Twiggy wyglądała na szczęśliwą. Bez pośpiechu zwarli usta w długim, głębokim pocałunku. Potem każde poszło w swoją stronę. Cieć cisnął miotłę i ruszył za Twiggy.

Don Diego spędził całe przedpołudnie w bibliotece, przeglądając niemieckie gazety, które docierały do niego nawet z dwutygodniowym opóźnieniem. Nie przejmował się tą zwłoką, ponieważ sytuacja w Niemczech była względnie spokojna. Tylko od czasu do czasu pojawiały się plotki o szpiegach lub prowokacyjne komentarze tego czy innego szefa rządu. Bardzo trafnie nazwano ten stan rzeczy – zimna wojna.

Rano słuchał utworów fortepianowych Mozarta, aż zjawiła się Dita i powiedziała, że obiad już gotowy. Była niedziela i domem zajmowała się tylko jedna służąca, która posprzątała pokoje i przygotowała im lekki posiłek. Podczas obiadu don Diego przeglądał zaległą korespondencję. Dita jadła w milczeniu.

– No, nareszcie wieści od Mirka – ucieszył się i z miejsca zabrał się do czytania. W połowie listu zawołał: – Nie do wiary, wraca do Berlina! – Dita uśmiechnęła się, ale pogrążony w lekturze, nie zauważył tego. – Całe szczęście – rzucił półgłosem – w Argentynie nigdy się nie zaaklimatyzował.

– Sądysz, że to właściwy moment do powrotu? – spytała Dita.

– Minęło już tyle lat – odparł. – Poza tym nigdy nic mu nie udowodniono, to były tylko plotki. Arcuri to całkiem inna historia. Ten rzeczywiście miał na swoim koncie ciemne sprawy, kto wie, w jakiej dziurze się zaszył.

– I nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy widział zdjęcia ukończonego zamku – wspomniała Dita i delikatnie zadzwoniła leżącym na stole dzwoneczkiem. Gdy weszła służąca, Dita poprosiła ją o zabranie talerza. – Zająłeś się czytaniem i nic nie zjadłeś – wypomniała don Diegowi, ten jednak już zabrał się do kolejnego listu. Dita spojrzała na zegarek. – Pójdę trochę odpocząć – zdecydowała.

– Nie pojedziesz ze mną do Itagüí? Przygotowali na dziś mały koncert – powiedział don Diego.

– Nie czuję się najlepiej.

– Coś ci dolega?

– Myślę, że to, co zwykle.

Tym, co zwykle, był smutek. Głębokie cierpienie i pustka po śmierci Izoldy, chociaż mogłoby się wydawać, że córka nigdy nie opuściła zamku. Jej pokój nie zmienił się w najmniejszym szczególe, domek dla lalek był w takim stanie, w jakim

go zostawiła, na swoim miejscu leżała ostatnia partytura, podobnie jak ręcznik przygotowany do wytarcia się po kąpieli, budzik na nocnym stoliku nastawiony na wpół do siódmej, ubrania w szafie. „Pozwól jej odejść”, prosiła go wiele razy, ale don Diego niezmiennie odmawiał. Z czasem nie silił się już nawet na odpowiedź, a w końcu Dita przestała go o to prosić.

Don Diego skończył wreszcie obiad i wrócił do swojego gabinetu. Miał jeszcze pół godziny do wspomnianej, coniedzielnej wizyty w bibliotece, którą przekazał w darze miastu Itagüí. Usiadł w fotelu i jeszcze raz przeczytał list od Mirka. Od dawna nie miał od niego żadnej wiadomości i teraz na nowo odżyły w nim wspomnienia. Nalał sobie koniaku i zapragnął posłuchać muzyki. Nie szukał długo, bo płyta, o której pomyślał, leżała na wierzchu całego stosu. Zupełnie jakby to Mirko mu szepnął: „Posłuchaj Marii Callas”.

Opuścił igłę na czarny krążek z arią, która za każdym razem rozniecała w nim ten sam ogień bólu – *Dolce e calmo* z *Tristana i Izoldy*. Wysłuchawszy jej po raz pierwszy, zauważył w rozmowie z Mirkiem, że Wagner musi przewracać się w grobie, nie dlatego że śpiewa ją Callas, która nie miała sobie równych, ale dlatego że śpiewa ją po włosku. „Być może włoski pozwala Callas lepiej wyrazić liryczność, która jak wiadomo, jest jej mocną stroną”, stwierdził wtedy Mirko.

Don Diego wrócił na fotel z kieliszkiem koniaku w dłoni i zamknął oczy. Izolda wyśpiewywała zmarłemu Tristanowi przysięgi wiekuistej miłości na chwilę przed własną, u jego truchła, śmiercią. „Żadna primadonna, Mirko, nie umiera tak jak Callas”, mówił nabożnie don Diego za każdym razem, kiedy widział ją umierającą na scenie. „Żadna”, przyznawał mu rację Mirko. Jak umarła moja Izolda? zadręczał się teraz don Diego. Finalna nuta śpiewana przez Callas stapiała się z muzyką, a on usiłował koniakiem złagodzić cierpienie wywołane świadomością, że jego córka umarła w samotności.

Ocknął się z półsnu, w który zapadł podczas następnej arii. Spojrzał na zegarek. Już pora, by jechać na spotkanie w bibliotece. Czekają go też inne spotkanie, o którym nic jeszcze nie wiedział – spotkanie z własnym przeznaczeniem.

Aria *Dolce e calmo* rozbrzmiewała w całym zamku. W swoim pokoju Dita przeklinała, że oprócz budzika, ubrań, lalek i wszystkiego, co przedłużało tę nieistniejącą obecność, musi znosić jeszcze jedną torturę – słuchać o śmierci innej Izoldy. Wstała z łóżka i wyszła do ogrodu odetchnąć czystym, nieskażonym tragedią powietrzem.

Szła przed siebie bez celu, z jednego końca ogrodu w drugi, czasem zatrzymywała się, żeby popatrzeć na hortensje lub powąchać lilie, albo odprowadzała wzrokiem zaaferowaną swoimi sprawami wiewiórkę. Usłyszała, jak Gerardo uruchamia limuzynę, i pomyślała, że może to źle, że nie jedzie z don Diegiem do biblioteki. Z drugiej strony jednak chciała być sama, nie miała ochoty

uśmiechać się do nikogo, wysłuchiwać czy silić się na zdawkowe komentarze ani też znosić gestów i słów współczucia. Tym bólem nie można się podzielić, myślała, patrząc na anturia. Z oddali dobiegł ją szcęk łańcucha otwieranej bramy.

Zawędrowała na tyły zamku i w górze zobaczyła las. Ruszyła w kierunku strumienia, okrążając za kępami paproci domek dla lalek. Zerknęła na niego kątem oka. Ścisnęło ją w sercu i przyspieszyła kroku. Słońce paliło ją w twarz i poczuła, że znużenie obezwładnia jej ciało. Już miała wracać, gdy odniosła wrażenie, że coś cienkiego frunie w jej stronę, niesione wiatrem. Spojrzała na las i pomyślała, że jest bardziej rozkołysany niż zwykle. Gałęzie poruszały się gwałtowniej niż te w ogrodzie, jakby tam, w środku, szalał uwięziony wicher.

Jakaś nitka musnęła jej policzek i na ramieniu dostrzegła długi włos, który nie był jej włosem. Zdjęła go i nawinęła na palec, żeby go nie zgubić i po powrocie schować do szkatułki. Podniosła wzrok, znów spojrzała w kierunku lasu i ujrzała nad sobą kłębuszek splątanych, złocistych włosów. Szybował w powietrzu wysoko jak ptak. Zaczęła biec, aby wysforować się do przodu, usiłując odgadnąć, gdzie też poniesie go wiatr. Kłębuszek opadł nieco i oddzieliło się od niego kilka pojedynczych włosów. Dita zatrzymała się, cofnęła, a potem na nowo zaczęła biec, gdy kolejny podmuch wiatru porwał kłębuszek ze sobą.

Dotarła do spadzistej części ogrodu wznoszącej się nad strumieniem. Jeśli kłębuszek wydostanie się poza ogrodzenie, straci go na zawsze. Widziała, jak opada i wznosi się, by znów opaść. Z trudem biegła za nim po stromiźnie. Wyciągnęła ręce najwyżej, jak tylko mogła, ale nagle poślizgnęła się, upadła i pokoziołkowała w dół, zatrzymując się dopiero w strumieniu.

Leżała na wznak, do połowy zanurzona w wodzie. Odczuwała tępy ból w plecach, choć niewymownie bardziej bolało ją serce, gdy patrzyła w górę na niedosiężny, złocisty kłębuszek oddalający się na skrzydłach wiatru.

Na wprost biblioteki w Itagüí, w stojącym po drugiej stronie parku jeepie comando, tkwili Małpa, Pluskwa i Rudy. Wiercili się niespokojnie na siedzeniach w pełnej napięcia ciszy. Małpa strzelał nerwowo oczami na wszystkie strony. Wyciągnął rękę, żeby włączyć radio, ale odbiornik nie działał. Pokręcił gałką w tę i z powrotem kilka razy, bez skutku.

– Klawe auto zorganizował nam Chwast, nie ma co – syknął zjadliwie.

Rudy oparł głowę o zagłówek, a Pluskwa usiadł bokiem na tylnej kanapie.

– Nogi mi już cierpną – stęknął.

Małpa zabębnił palcami o kierownicę. Rudy zmierzył go karcącym wzrokiem. Wokół nich życie toczyło się w spowolnionym, niedzielnym rytmie. Małpa wciąż tarabanił w kierownicę. W końcu Rudy nie wytrzymał.

– Może byś tak się uspokoił?

Małpa nawet na niego nie spojrzał.

Wtem na przeciwległym krańcu pokazał się długi przód limuzyny. Małpa wyprostował się, zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział:

– Jedzie.

Każdy rynek ma swojego głupka. Rynek w Rionegro miał Misaela. Misael był jego samozwańczym szefem, najmniejszy liść nie poruszył się tam bez jego wiedzy. Słabością Misaela były dzieci, które wpadały w panikę na jego widok, gdy powłócząc nogami w za dużych klapkach, zbliżał się do nich radośnie, żeby je obściskać swymi wielkimi łapskami. Mógł szwendać się po drugiej stronie parku, lecz gdy tylko zwietrzył jakiegoś pędraka, błyskawicznie pokonywał dzielący ich dystans, śliniąc się i gulgocząc ciągiem niezrozumiałych dźwięków, z nieodłącznym kijem służącym mu za oparcie i oręż. Nie było dzieciaka, który nie spanikowałby w obliczu Misaela. Był całkowicie nieszkodliwy, ale jego niezdarność i słoniowatość sprawiały, że jednego czy drugiego mógł przygarnąć zbyt mocno.

Poza przytulaniem maluchów Misael miał baczenie na samochody, czyścił systematycznie obsrywany przez gołębie pomnik generała José Maríi Córdoby i trzymał na dystans amatorów gandzi, goniąc ich w razie potrzeby swoim kijaszkiem. Ludzie mówili, że gdy Misael wpada w furję, z głupka przeobraża się w wariata. Aby wiedzieć, z którym z nich ma się do czynienia, najlepiej było zapytać go wprost: „Misael, kim dzisiaj jesteś, wariatem czy głupkiem?”. Jeśli burczał, obudził się wariatem, jeśli opluł pytającego, zarykując się ze śmiechu, oznaczało to, że na powrót stał się miejscowym głupkiem.

Misael był do rany przyłoż, lecz gdy jego przestrzeń naruszał inny wariat czy głupek, zamieniał się w potwora, wpadał w szal i nikt nie wątpił, że jest gotów oddać życie w obronie swojego terytorium. Chociaż był krótkowidzem, potrafił namierzyć intruza, jak tylko taki wychylił głowę zza węgła. Wtedy z miejsca rzucał się za nim w pościg, wymachując kijem.

Jednakże według meldunku, który złożył porucznik Botía majorowi Salcedo, wariat, który pojawił się przed tygodniem w Rionegro, nie dał się wypłoszyć i chociaż nie stanął w szranki z Misaelem, nie opuścił miasteczka i krążył niestrudzenie w pobliżu katedry. Rozповідаł, że chcą go zabić jacyś żołnierze, i za każdym razem gdy widział księdza, z uporem chciał się wyspowiadać.

– Bzdury wyssane z palca, panie majorze – meldował porucznik Botía. – Bredzenie typowe dla wariata, pan major rozumie. I nie zawracałbym panu czymś

takim głowy, gdyby cała ta sytuacja nie naruszała porządku publicznego.

Aby wejść do kościoła, wariat musiał przejść przez rynek, nie było innej możliwości. A gdy tylko podejmował tę próbę, dostawał łomot. Grzmocony kijem, wpadał do kościoła i chronił się za majestatem księdza, który musiał temperować zapał Misaela i opatrywać rany pobitego. Kiedy tylko opuszczał kościół, wszystko zaczynało się od nowa.

– Proszę mi powiedzieć, poruczniku, ściągnął mnie pan z Medellín po to, żebym łagodził spór między dwoma szaleńcami? – spytał Salcedo.

– Niech mnie ręka boska broni, panie majorze – odparł porucznik Botía. – Ta historia ma drugie dno.

– Zamieniam się w słuch.

– Kiedy już przybysz zostawał sam na sam z księdzem, błagał, żeby go wypowiadać. Ksiądz zgodził się w końcu, żeby go spławić. Człowiek ten obwiniał się o to, że jakoby wyrządził komuś wielkie zło.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę – przerwał major. – Skąd pan o tym wie?

– Jak to skąd? Od księdza.

– A tajemnica spowiedzi?

– Wychodzi na to, że w przypadku wariatów nie obowiązuje – odparł porucznik i kontynuował: – Wyznał więc, znaczy się, ten nowy, że wspólnie z kilkoma współnikami uprowadził starszego człowieka, którego przetrzymywali w jakiejś chałupie, w pokoju bez okien.

Major otworzył szeroko oczy, zdjął z głowy kepi i przeciągnął ręką po włosach.

– Jak się nazywa ten facet?

– Tego nie wiemy. Nie ma przy sobie dokumentów.

– Nie podał swojego imienia, nazwiska?

– Nie, majorze. Powtarza tylko w kółko, że w każdej chwili spodziewa się ataku ponad tysiąca żołnierzy.

– Skąd się wziął?

– Tego również nie powiedział. Ale ponoć ktoś widział go, jak szedł drogą z Santa Elena.

Salcedo zażądał, aby pokazać mu delikwenta, i porucznik zaprowadził go do aresztu.

– Musiałem przyskrzynieć obydwu, boby się pozabijali – wyjaśnił.

– Powiedział coś więcej? – spytał major.

– Nic ponadto, co przekazał nam ksiądz.

Salcedo uśmiechnął się i mruknął pod nosem:

– Przydałby mi się taki spowiednik na dołku.

Gdy weszli do aresztu, uderzył ich nieznośny fetor, od którego major aż się skrzywił. W celach rezydowało ośmiu mężczyzn.

- Który to? – spytał.
- Tamten, panie majorze.
- Ten w zielonej koszuli?
- Nie, to Misael. Ten drugi.
- Ten z krzaczastymi brwiami?
- Tak jest, panie majorze.

Salcedo podszedł bliżej i przez chwilę patrzył na aresztanta.

– Doprowadzić gościa do porządku – rozkazał. – Zabieram go do Medellín.

Major wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza, a za nim podreptał wyraźnie spięty porucznik.

– Panie majorze, czy mógłby mi pan wyświadczyć wielką przysługę? – zapytał, po czym przełknął ślinę i wydusił: – Czy mógłby pan zabrać też Misaela?

Twiggy wywaliła na łóżko całą zawartość szafy i zaczęła wybierać ciuchy, które zmieszczą się w małym płóciennym plecaku. Zastanawiając się, co brać, a czego nie, śpiewała razem z Gigliolą Cinquetti piosenkę rozbrzmiewającą z gramofonu. Zapakowała jedną sukienkę, potem wymieniła ją na drugą, którą zresztą zaraz wyciągnęła i wcisnęła jeszcze inną. Młody uprzedził ją, żeby nie zabierała zbyt wielu ubrań. „Już ja się postaram, żebyś miała szafę pełną szalowych ciuchów, zobaczysz”, obiecał, a ona dostawała gęziej skórki na samo wspomnienie tego, jak szeptał jej te słowa na ucho, na zakończenie miłosnych uniesień. „Wystarczy, że napełnisz mnie sobą”, zaszczebotała, rozplómięta, po czym zsunęła dłoń po jego podbrzuszu i zawołała z uznaniem: „Lalka, jest twardy jak stal!”. Kochali się, odpoczywali chwilę i młody znowu gramolił się na nią, i jeszcze raz, i jeszcze. Którejś nocy zaliczyli cztery razy, aż w końcu Twiggy jęknęła: „Nie, proszę, trzęsę się już jak osika”. Chciała wetknąć jeszcze trzy pary butów, ale nie było miejsca. Opróżniła plecak.

– Przecież tu nic się nie mieści – westchnęła i śpiewała dalej.

W głowie wciąż jej się tłukły słowa młodego: „Pryskamy stąd, zostawimy to w diabły, pojedziemy moim motorem”, mówił, zabierając się do niej od nowa. Chciała wziąć też czasopisma, na okładkach których widniała ta inna Twiggy, ta prawdziwa, ale była ich taka sterta, że zdecydowała się tylko na jedno, francuskie wydanie „Vogue’a”, które zwędziła kiedyś z jakiegoś domu i strzegła jak oka w głowie. Wysunęła szuflady toaletki, żeby sprawdzić, czy nie przeoczyła czegoś ważnego, i natknęła się na pamiątkowe zdjęcie – ona i Małpa obejmują się na tle wodospadu. Nie poczuła nic. Od chwili poznania młodego przeszła gwałtowną metamorfozę, w wyniku której po wielkim uczuciu, jakim darzyła Małpę, nie został nawet ślad. Może tylko lekki niepokój. Poprzedniej nocy przyznała się do tego młodemu, kiedy zaproponował, żeby dać nogę z miasta.

„Co zrobi, jak myślisz?“, spytała. „Nie wiem, ty znasz go lepiej“, odparł. „Ostatnio padło mu na mózg. Myślę, że mnie zabije“, powiedziała. Spojrzała na młodego i dodała: „I ciebie też. No bo pomyśl tylko. Puszczasz go w trąbę, a potem znikasz ze mną i z jego forszą“.

Wyciągnęła kawowe kozaki z plecaka i na ich miejsce wepchnęła czarne. Spojrzała na zegarek i przeraziła się. Młody miał po nią przyjechać o trzeciej! Poprzedniej nocy nie zmrużyła oka. A jeśli to wszystko jest snem? Przecież ten szczeniak to jeszcze dziecko, ile on może mieć lat? O ile jestem od niego starsza? A jeśli za pół roku mu się znudzę?

Zadzwoił dzwonek u drzwi i Twiggy podskoczyła ze strachu. Niech poczeka. A może szybki numerek przed wyjazdem? Puściła się pędem do wejścia, uszczęśliwiona, promieniejąca i podniecona. Zamaszyście otworzyła drzwi, aby wessać się w usta kochanka, lecz zamiast na młodego nadzieiła się na tłąstą gębę majora Salcedo. Asystowało mu trzech policjantów.

– Pani Vanesa Montoya? – spytał major.

Biała jak kreda, Twiggy chwyciła się drzwi.

– Kim pan jest? – spytała cienkim głosem.

– Leonidas Salcedo, major policji metropolitalnej Medellín.

Chciała zatrzaskać drzwi, ale funkcjonariusz zdążył wcisnąć nogę w szparę.

– Zaraz wrócę – powiedziała. – Tylko wyłączę gramofon.

– Z przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa.

Twiggy spróbowała się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmówiły jej posłuszeństwa. Za to Salcedo przeciwnie – uśmiechał się zalotnie od ucha do ucha. Któryś z policjantów podszedł do niego i pokazał mu jedno ze zdjęć znalezionych w zakładzie fotograficznym, w którym wyzionął ducha Pluskwa.

– To ona – szepnął.

Oczy Twiggy napełniły się łzami. Salcedo popatrzył na fotografię, nie przestając się uśmiechać.

– Niech mi będzie wolno zauważyć, panienko – powiedział szarmancko – że w bezpośrednim kontakcie wygląda pani o niebo lepiej.

Małpa okrążył zamknięty już o tej porze cmentarz San Pedro. Szukał jakiejś dziury, przez którą mógłby wślizgnąć się do środka, jakiejś niedomkniętej furtki, występu, na którym mógłby oprzeć nogę i przeskoczyć przez mur. W końcu natrafił na bujne drzewo *carbonero*, którego gałęzie przechodziły nad murem na drugą stronę. Dawno już nie łaził po drzewach, ale tylko takim sposobem mógł dostać się na cmentarz. Nie stracił swojej małpiej smykałki, ale pewnie poszłoby mu łatwiej, gdyby nie był tak pijany.

Po drugiej stronie nie było niczego, na czym mógłby się wesprzeć. Przez chwilę wisiał na rękach, przebierając nogami w powietrzu. Nie martwił się o to, że może się potłuc, zależało mu jedynie na uratowaniu butelki wódki wciśniętej do tylnej kieszeni spodni. Szczęściem spadł na cztery łapy jak kot.

Kluczył między nagrobkami, zmierzając dobrze sobie znaną trasą. Kiedy dotarł do mauzoleum, upadł na kolana przed kariatydami strzegącymi zakratowanej furty.

– Wróciłem, moja dziewczynko – wybełkotał. – Dzisiaj przychodzę bez kwiatów, wybacz... – Podpełzł na czworakach do kraty i złapał za żelazne pręty, żeby się podnieść. Obrzucił wzrokiem zwiędłe, zeschłe badyle sterczące pod imieniem Izoldy i zaszlochał: – Jakie to smutne, przez cały ten czas nikt cię nie odwiedził. Przywarł twarzą do żelaza i zapłakał cichutko, żeby nie usłyszeli go stróże. Zaraz zapadnie zmrok i jeśli zwinie się w kłębek pomiędzy czarnym marmurem, nikt go nie dostrzeże. Nie przestając łkać, wydobyl butelkę i pociągnął kilka długich łyków. – Może jutro i ja nie będę żył – wyznał. Usiłował odgrzebać w pamięci wiersz zaczynający się od słów: „Coś we mnie kona każdego dnia, godzina, co tonie w mroku, wydziera mnie...”. Powtórzył od początku, mając nadzieję, że może z rozpędu uda mu się zaczepić o kolejne słowa, ale za nic nie mógł ich sobie przypomnieć. Przeleciał po łebkach cały wiersz do końca, do strofy, której szukał: „I w każdej sekundzie tak bardzom rozdarty, że oddech śmierci czując już na karku, widzę, jak wiele razy w życiu... byłem martwy”. Później kilka razy odetchnął głęboko i wyszeptał, jakby zdradzał jakąś wielką tajemnicę: – Wymogłem obietnicę na mojej mamie, że kiedy umrę, ma mnie pochować na tym cmentarzu. Jasne, że nie tutaj, wśród bogatych, tylko tam dalej, z biedakami. To najbliżej, jak możemy ze sobą być, moja dziewczynko.

Poczuł, że musi się odlać. Przez szacunek nie chciał tego robić tutaj. Zapadła noc i widać było tylko słabą poświatę ulicznych latarni za murem. Ruszył przed siebie na oślep, macając powietrze wyciągniętą ręką. Gdy uznał, że oddalił się wystarczająco, rozpiął rozporek i trysnął z ulgą. Skończywszy, wrócił do mauzoleum, namacał jedną z kariatyd i osunął się na ziemię. Pociągnął z butelki, czknał i zasnął.

Nie obudził go brzask wstającego dnia, lecz świadomość, że oto stracił wszystko. Dźwignął się i jedna tylko myśl zaprzętała jego głowę: Została mi do załatwienia ostatnia sprawa. Utkwił spojrzenie w nagrobku, na którym w świetle jutrzeńki mógł przeczytać imię. W oddali słychać było, jak otwierają bramę dla tych, którzy przychodzą o świcie odwiedzić swoich zmarłych.

Rudy stał na czujce, chociaż zwykle wciskał się w kąt werandy, żeby się kimnąć, kiedy miał pewność, że reszta śpi w najlepsze. Wciągnął na siebie dwie ruany, a na głowę założył czapkę z grubej wełny. Przed godziną wybił go ze snu stukot dzięcioła, ale ujrawszy tuman gęstej mgły, oparł się o jeden ze słupów werandy i na nowo zapadł w drzemkę.

Po jakimś czasie mgła w górze przerzedziła się i pierwsze promienie słońca połaskotały jego policzki. Zbliżała się siódma, Carlitos zaparzył już pewnie kawę. Rudy przeciągnął się, rozprostowując kości, zastane od nużącego, całonocnego czuwania. Właśnie wtedy dojrzał przy furtce ten kształt. Wyciągnął pistolet i zawołał:

– Kogo tam nosi?!

Nie doczekał się odpowiedzi. Podszedł trochę bliżej, z pistoletem w pogotowiu. Nie rozpoznał Małpy, który siedział na kamieniu, odwrócony do niego plecami.

– Ej, ty! – zawołał znowu.

Z chałupy wyszli Carlitos i Chwast z pukawkami w rękach.

– Co się dzieje? – zapytali chórem.

– Ktoś tam jest. – Rudy pokazał przed siebie.

– Może zabłądził? – zastanawiał się Carlitos, gdy już zrównali się z kompanem.

– A może to pułapka? – strwożył się Chwast.

– Ej, ty! – krzyknął ponownie Rudy.

Postać pojawiała się i znikła w kłębach mgły. Małpa podniósł się bardzo powoli i cała trójka wycelowała w niego pistolety.

– Idzie w naszą stronę czy się oddala? – spytał nerwowo Chwast.

– Idzie tutaj – odpowiedział Carlitos.

– To chyba Małpa – stwierdził niepewnie Rudy.

Wszyscy trzej zaniepokoiili się. Dreptali nerwowo w miejscu, ale żaden nie wysforował się naprzód. Małpa? Nie, to nie Małpa. Jak to nie? Jasne, że Małpa. Co

on tam robi, u diabła? Czemu nie wszedł normalnie do domu? Gdy Małpa-nie-Małpa podszedł dostatecznie blisko, przekonali się, że to jednak Małpa. Szedł chwiejnym krokiem, wzrok miał błędny, a spodnie obsikane. Rozchełstana koszula wyłaziła mu niechlujnie, a zza paska sterczał makarow.

– Czego się tu szwendacie? – spytał.

– A ty co tam robiłeś? – odpalił Rudy.

– Gdzieżeś się zadział? – z wyrzutem spytał Chwast. – Szukamy cię od trzech dni. Małpa wyminął ich.

– Pała wszystko nam opowiedział! – krzyknął Rudy, idąc krok w krok za Małpą.

Ten przystanął i odwrócił się do nich. Chciał coś powiedzieć, ale znowu mu się beknęło. Popatrzył na sylwetki drzew majaczące we mgle.

– No i dobrze – powiedział w końcu. – Zaoszczędził mi roboty. Nie będę się musiał pruć. – Zrobił kilka kroków i znów się zatrzymał. Nie patrząc na nich, rzekł: – Możecie już iść.

– Że co? – spytał Rudy.

– Spływać.

Popatrzyli na siebie, oszołomieni. Potykając się, Małpa dobrnął w końcu do werandy w obstawie całej trójki, nierozumiejącej ni w ząb, o co mu chodzi.

– A stary? – spytał Chwast. – Kto się nim zajmie?

– Małpa, gdzie niby mamy iść? – jęknął Carlitos.

– Nie mamy grosza przy duszy. Przehandluj starego za cokolwiek! – zawołał Rudy. – Nie możemy przecież teraz odejść z pustymi rękami.

– Nie o to wam chodziło?! – naskoczył na nich Małpa. – Nie chcieliście szybko skończyć?! No to już, koniec pieśni, droga wolna, możecie startować!

Wszyscy trzej sapali ciężko. Rudy zmienił ton:

– Nie musimy tego kończyć w taki sposób – powiedział ugodowo. – Może nie dostaniemy tego, co planowaliśmy, ale...

– Mają Brewkę i Twiggy. – Małpa wszedł mu w słowo. – W każdej chwili mogą tu być, o ile już nie jesteśmy okrążeni.

– Moglibyśmy przewieźć starego w inne miejsce – zaproponował Rudy.

– Gdzie? – Małpa zaśmiał się szyderczo. – A skąd weźmiesz na to szmal?

Chwast podszedł bliżej.

– Jak to? Przecież mówiłeś, że z kasą nie ma problemu? – Małpa oparł się o drzwi i pokręcił głową. – Gdzie jest forsa z banku? – cisnął Chwast, ale Małpa tylko spuścił głowę, kręcąc nią bez ustanku.

– Odpowiedz – domagał się Rudy.

Małpa spojrział na nich, szczęka mu drżała.

– Nie ma nic. Nie ma kasy, nie ma interesu, a jeśli nie chcecie, żeby was wzięli za dupy, to wynocha.

Wszedł do środka, a reszta została przed domem. Sapali gniewnie, drapali się po głowach i wymachiwali rękami.

– Jak to nie ma forsy?! – wrzasnął Rudy i kopnął wściekle metalowe pudełko po ciastkach, w którym zasadzili fiołki.

W domku Małpa rzucił się na zniszczoną, wyświechtaną kanapę. Docierały do niego podniesione głosy z zewnątrz, ale nie rozumiał ani jednego słowa. Na podłodze dojrzał niedopałek i schylił się po niego. Wszedł Carlitos i ujrzał go na czworakach, grzebiącego w śmieciach walających się na podłodze.

– Czego szukasz? – spytał.

– Zapałki.

– W kuchni mam całe pudełko.

Małpa poszedł za nim. Carlitos zestawił z ognia garnek, w którym grzał wodę na kawę. Wyciągnął w stronę Małpy zapaloną zapałkę.

– Chwast ma fajki – powiedział.

– To mi wystarczy – odrzekł Małpa. – Nie chcę więcej słuchać tych gorzkich żali.
– Sztachnął się dwa razy i spojrzął na peta.

– I co z nim zrobisz? – spytał Carlitos.

– A co on cię obchodzi? – mruknął Małpa.

– Pewnie, że mnie obchodzi. Za długo się nim zajmowałem, żeby mnie teraz miał nie obchodzić.

Małpa zaciągnął się znowu i niedopałek zaczął go parzyć w palce.

– Zaniosę mu kawę. – Cisnął peta na podłogę, przydeptał go i rzucił do Carlitosa:
– Nalej mi też.

– Pytam, co chcesz z nim zrobić później – nastawał Carlitos.

– Później? – Małpa potarł twarz dłońmi. – Żeby tak człowiek mógł wiedzieć, co to będzie później.

Don Diego czekał na niego, siedząc na brzegu łóżka, jakby mieli randkę. Chociaż kaszel nie przestawał go męczyć, wyglądał nieco lepiej. Małpa znowu rozlał kawę, gdy podawał mu kubek. Don Diego ujął naczynie obiema dłońmi i zajrzał do środka – lurę zabieliłi paroma kroplami mleka. Małpa też z obrzydzeniem rzucił okiem na swoją.

– Wydawałoby się prosta sprawa zrobić kawę – mruknął. – Ale dla tych tępaków i to okazało się za trudne.

– Ja też nie potrafię – przyznał don Diego. – Zawsze przynoszono mi gotową.

– Ja nauczyłem się w pierdlu.

– Był pan w więzieniu?

– Nie raz.

– Czeka pana przynajmniej jeszcze jeden pobyt.

– Nie sądzę, poprzysiągłem sobie, że nigdy już tam nie wrócę.

– Wróci pan, proszę zapamiętać moje słowa. – Don Diego odstawił kubek na podłogę obok pryczy i zaczął kaszleć.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi.

– Zwijają manatki – powiedział Małpa.

– Wszyscy?

– Wszyscy, don Diego. Zostajemy tylko pan i ja. – Małpa wyjrzał na korytarz. – Zabierają dupy w troki i nie powiedzą nawet zwykłego „dziękuję”. Przyglądał się don Diegowi przez chwilę i nagle zaproponował: – Wyjdźmy na dwór, mamy dzisiaj piękny dzionek.

Don Diego odwzajemnił spojrzenie.

– Ostatnie życzenie skazańca przed egzekucją?

– Ma pan na myśli siebie czy mnie? – spytał Małpa.

Don Diego uśmiechnął się. Wstał z trudem i powiedział:

– No, niech będzie. Chodźmy. – Powlókł się noga za nogą. Kiedy mijał Małpę, uderzył go ostry odór przetrawionej wódki. Raptem przystanął i rzekł: – Chwileczkę. – Odwrócił się i zgasił światło w swojej celi.

Usiedli na murku werandy, plecami do chaty. W milczeniu podziwiali mgłę ścielącą się po trawie i przepływającą między gałęziami drzew.

– Słyszysz pan? – spytał don Diego. – To strzyże. Potrafią wyśpiewywać najbardziej niezwykle dźwięki. Nie są może zbyt piękne, ale niedostatki urody rekompensuje im wokalny talent. – Małpa nadstawił uszu, jednak przenikliwy wizg w jego głowie zagłuszał wszystkie dźwięki. Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach, a potem zmierzwił sobie włosy. Don Diego dostrzegł kęsającą go rozpacz. – Begonie zmarniały – zauważył.

Małpa podniósł wzrok na zawieszane pod sufitem doniczki z obumarłymi roślinami.

– Nawet tego patałachy nie potrafiły przypilnować.

Don Diego zmrużył oczy i spojrzał w niebo.

– Taki świt wróży dotkliwy upał w ciągu dnia – powiedział.

– W nocy byłem u Izoldy – odezwał się Małpa. – U niej też wyschły kwiaty. – Don Diego uparcie patrzył w górę. Zakaszłał boleśnie. – Chciałem wziąć jakąś wiązanekę z sąsiedniego grobu, ale było bardzo ciemno. – Małpa zrobił krótką pauzę i dodał: – Spałem z nią.

Don Diego zachichotał zgryźliwie.

– Widzę, że kroczy pan wiernie śladami swojego poety, który recytował te wypociny na grobach.

– Odwiedzam ją, czego nie można powiedzieć o jej rodzicach.

Słońce ponownie wyjrzało przez wyrwę w chmurach i don Diego opuścił głowę.

– Wie pan, co Izolda pomyślałaby o panu, gdyby żyła? – zapytał.

– Nie żyje.

– Powiedziałem: gdyby żyła.

– Gdyby żyła, cieszyłaby się tym cudownym porankiem wraz ze mną.

Don Diego świdrował Małpę przenikliwym spojrzeniem.

– Niech pan nie będzie idiotą – powiedział. – Niech pan spojrzysz na siebie w lustrze, ale nie na tego obecnego Riascosa, strzęp człowieka. Proszę spojrzeć wstecz czy w przyszłość i zadać sobie pytanie: czy kiedykolwiek moja Izolda mogłaby być z panem z własnej, nieprzymuszonej woli? – Małpa nie patrzył na niego. Zdawał się być pochłonięty płasmi mgły. – Nigdy nie zetknąłem się z tak absurdalną uzurpacją – kontynuował don Diego.

– Może pan iść o własnych siłach? – zapytał Małpa.

– Moja córka nie urodziła się dla takiego tchórza jak pan.

– Może pan iść, don Diego?

– Nawet pańscy ludzie mają pana za idiotę. Nie wyobraża pan sobie, jak z pana drwią, z tych pańskich poetyckich zapędów, dworują sobie nawet z pańskiej męskości...

Małpa zerwał się rozjuszony. Stał przed don Diegiem i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Możesz pan iść czy nie?

– Nie chcę iść – odparł spokojnie don Diego.

– Do widzenia.

– Słucham?

– Precz. – Małpa dyszał ciężko.

Don Diego patrzył na niego w osłupieniu.

– Nie ruszę się stąd – oznajmił stanowczo. – Jeśli zwraca mi pan wolność, niech przyjadą tu i mnie zabiorą.

– Pan sobie pójdzie, a ja zostanę.

– W takim razie przyjadą tu po pana.

– Będę na nich czekać. – Małpa zrobił krok w stronę don Diega i uderzył w błagalny ton: – Niech pan odejdzie, proszę. – Don Diego siedział nieporuszony. Oddychał głęboko, nie spuszczał wzroku z Małpy. – Proszę po raz ostatni, niech pan stąd idzie – powiedział Małpa znużonym głosem, dając do zrozumienia, że chce już z tym wszystkim skończyć. Spojrzał na don Diega w taki sposób, jakby ich role się odwróciły i teraz stary był jego ciemną. – Idź pan sobie i zostaw mnie w spokoju, chcę być sam – skamlał Małpa.

– Powiedziałem już, że się stąd nie ruszę – odparł nieprzejednanie don Diego.

Małpa podniósł wzrok. Zobaczył, że niebo na powrót zaciąga się chmurami i z gór spływa gęsty tuman mgły.

– Zmusza mnie pan do robienia rzeczy, których nie chcę robić – oświadczył.

– Jakich rzeczy? – Małpa nie odpowiedział. Zmarszczył czoło, jakby na końcu języka miał coś bardzo ważnego do zakomunikowania. Don Diego popatrzył przed siebie – mgła płynęła prosto na nich. Rychło otuliła szczelnie obu, oddzielając od świata niczym dwa widma zawieszony w białej pustce. Don Diego zaczerpnął w słabowite płuca zimnego powietrza i rzekł: – Proszę się nie lękać i czynić to, co musi pan uczynić.

Policjanci pilnują jeszcze bramy wjazdowej i patrolują ogrody zamku, ale nie ma już ciekawskich, skończyły się wizyty. Tylko ja wypatruję zza płotu, choć w gruncie rzeczy dalej nie wiem, po co tu przyszedłem. Może szukam odpowiedzi na pytanie, którego sobie nie zadałem. Może w tym zamku skrywa się jakaś część mojej historii, która nigdy nie ujrzała światła dziennego. A może przyłazę, żeby sprawdzić, czy mój złoty sen nie doznał uszczerbku. Ale jedyną odpowiedzią jest cisza. Wrażenie wszechobecnej pustki jest tak silne, że nawet ja czuję się tu zbędny.

Nic się nie dzieje, aż tu naraz Gerardo wsiada w pośpiechu do limuzyny. Słysząc podniesione głosy dochodzące z zamku, potem wychodzi Marcel Vandernoot ze swoją walizką. Energicznym krokiem zmierza w stronę auta. W ślad za nim pojawia się Dita i wykrzykuje coś po francusku. Jest wściekła, przysła gdzieś jej codzienna elegancja, mimo iż ma na sobie surową, żałobną czerń. Limuzyna rusza i Dita odprowadza ją wzrokiem, oddalającą się drogą wysadzoną cyprysami. Przez krótką chwilę przypatruje się bramie wjazdowej. Kręci głową, jakby chciała czemuś zaprzeczyć, i schodzi po kamiennych stopniach. Ogrodnik wraca od bramy i pyta:

– Czy życzy pani sobie czegoś, doña Dita?

Ona odsuwa go i idzie zdecydowanym krokiem.

– Co panowie tu jeszcze robią? – pyta z oddali policjantów pilnujących bramy. Patrzą na nią zaskoczeni. – Proszę się stąd zabierać – nakazuje tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Funkcjonariusze spoglądają po sobie. – Proszę już iść, żegnam – powtarza Dita. – Tutaj nie ma już nic do roboty. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Zbliża się do niej ogrodnik.

– Proszę pani – mówi – proszę mi pozwolić, ja się tym zajmę.

– Pan także – zwraca się do niego. – Nie chcę tu pana widzieć. Niech wszyscy opuszczą zamek. Proszę powiedzieć wszystkim bez wyjątku, żeby sobie poszli. – Ostatnie słowa adresowane do ogrodnika Dita wypowiada niemal błagalnie.

Schodzi do ogrodu naprzeciwko i to samo powtarza reszcie policjantów:

– Precz stąd, nie chcę was tu więcej widzieć. Proszę mi zniknąć z oczu. – Popycha ich, czerwona z wściekłości. – Precz, wszyscy precz! – wykrzykuje, aż brakuje jej tchu i osuwa się na jedną z ławek pod pergolą, obok fontanny.

Szybko się uspokaja. Odwrócona plecami do zamku, patrzy na góry, na sępy

kołujące nad rzeką, dymy fabryk, zmierzch miasta, które właśnie zmieniało skórę, aby pokazać swoje prawdziwe oblicze.

W końcu wstaje, wyciąga rękę wysoko, jak tylko może najwyżej, i zamyka dłoń, jakby chwyciła garść powietrza. Przechodzi obok i nie zauważa mnie, jak zaglądam zza płotu. Idzie skrajem ogrodu pod górę, w stronę lasu. Przystaje, wpatruje się weń i wchodzi między drzewa, by wnet zniknąć w gąszczu.

Wczoraj o tej samej godzinie coś zachrobotało pod moimi stopami. Nie mogłem pojąć, że pośród tego całego zamętu możliwe jest tak ciche, senne popołudnie. W istocie nie rozumiałem nic. Poszwendiałem się po okolicy i nagle wystraszyłem się nie na żarty, że jestem sam i że może zaskoczyć mnie noc. Pobiegnę z powrotem z boczem na przełaj i ujrzałem pnącą się pod górę limuzynę. Nie miała jeszcze włączonych świateł. Jechała wolno i ociężale, jakby wtaczała się ze zgaszonym silnikiem. Było już zbyt późno, żeby się odwrócić i dać nogę, i w miarę jak się zbliżała, zaczynało brakować mi oddechu. Przejechała obok tak łagodnie, jakby musnęło mnie miękkie piórko lub ktoś szepnął mi coś do ucha, bez celu, jakby znikąd nie wracała i nie miała dokąd jechać. Byłem tak oszołomiony, że wziąłem ją nawet za limuzynę widmo.

– Co ty tu robisz? – spytała mnie mama, opuszczając szybę.

– Nic – odpowiedziałem zeszywniały i wsiałem do samochodu.

Tata włączył reflektory. Z tylnego siedzenia patrzyłem na ich ciemne sylwetki na tle zalanej światłem drogi. Nic do mnie nie mówili, można było odnieść wrażenie, że milczenie to jest milczeniem wtajemniczonych, przeczuwających, że tego dnia coś pękło nieodwracalnie. Dojeżdżaliśmy już do domu, kiedy mama potrząsnęła głową i powiedziała:

– To straszne.

Tata wciąż milczał. Widziałem tylko ich plecy, choć tak bardzo pragnąłem spojrzeć im w oczy i usłyszeć ich łagodne słowa: „Popłacz sobie, jeśli chcesz”. Nigdy wcześniej, nigdy nie zawładnęła mną tak straszliwa trwoga, że mogę ich stracić, nigdy przedtem nie doświadczyłem tak rozpaczliwej potrzeby, by błagać ich: „Proszę, nie umierajcie”.

Teraz po niebie suną skłębione chmury i czas biegnie równie ospale jak one. Nie wiem, co ja tu jeszcze robię. Może przyszedłem, żeby się pożegnać. Nie ma już chyba sensu wracać w te strony.

Po jakimś czasie Dita wyłania się z lasu. Nie poznaję jej. Kok, w który zebrane były jej włosy, gdy znikwała w gęstwinie, przepadł bez śladu. Teraz z obu stron jej głowy wyrastają kręte rogi, wygięte do tyłu, ze środka niczym fontanna tryska pęk włosów. Całą fryzurę zdobią azalie, lilie, płatki bratków i geranium oraz po jednej róży zatkniętej za każdym uchem. Także na jej twarzy maluje się całkiem nowy wyraz – jakby powróciła z innego świata.

Nie ja jeden dębieję na jej widok. Gdzieś z tyłu, za moimi plecami, spomiędzy gałęzi wysokich drzew daje się słyszeć czyjeś pogwizdywanie.

Podziękowania dla

Maríi Teresy Muriel, Benny'ego Duque, Sandry Naranjo, Luisa Felipe Echavarríi, Pabla Echavarríi oraz Jaimego Echeverriiego – bez ich nieocenionej współpracy napisanie tej historii nie byłoby możliwe.

Spis treści

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[Podziękowania dla](#)